WYBORY 2020 ▪ DUOPOL MA SIĘ ŚWIETNIE ▪ ZDECYDUJE NOWY ELEKTORAT ▪ TEN TRZECI ▪ SPIRALA PROPAGANDY ▪ OBALAMY MITY KAMPANII ▪ KOMU ZABRAKŁO KULTURY ▪ **INNEJ POLITYKI NIE BĘDZIE**

Kraków 5 lipca 2020 nr 27 (3704) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

ZBIGNIEW NOSOWSKI o przestępstwach władzy

Moje śledztwo w Kościele

DODATEK
NASZA WSPÓLNA EUROPA [2]

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

JEEP®. PODRÓŻUJ NA WŁASNYCH ZASADACH.

JEEP® RENEGADE Z RABATEM DO 12 000 ZŁ, A JEEP® COMPASS Z RABATEM DO 16 000 ZŁ W LEASINGU 100%.

Sprawdź w salonach i na jeep.pl

Jeep®
THERE'S ONLY ONE

Rabat dotyczy modelu Jeep® Renegade w wersjach Limited, S i Trailhawk, z wyłączeniem silnika benzynowego GSE T3, z roku produkcji 2019 oraz modelu Jeep® Compass w wersjach Limited i S 1.4 Mair A9 4×4 oraz 2.0 Mjet A9 4×4 z roku produkcji 2019. Liczba samochodów w promocji ograniczona. Leasingodawca: Leasys Polska Sp. z o.o. Oferta leasingu jest skierowana tylko do przedsiębiorców. Szczegóły promocji są dostępne u autoryzowanych dealerów Jeepa. Całkowity koszt leasingu wynoszący 100% jest osiągalny dla parametrów: okres 36 miesięcy, czynsz inicjalny 20% ceny pojazdu, 35 miesięcznych rat, wykup 1% ceny pojazdu. Podane warunki obowiązują przy skorzystaniu z ubezpieczenia GAP lub ubezpieczenia Bezpieczny Leasing – oferowanych przez Leasys Polska Sp. z o.o. (składka będzie doliczana do rat leasingowych). Szczegółowe warunki leasingu określone są w umowie, a jej zawarcie jest uzależnione od oceny zdolności leasingowej Klienta. Promocja ograniczona w czasie. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Rzeczywisty wygląd i cechy pojazdu mogą się różnić od prezentowanych w materiale reklamowym. Jeep® Renegade: emisja CO_2 od 127 do 173 g/km, zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,8 do 7,4 l/100 km. Jeep® Compass: emisja CO_2 od 127 do 190 g/km, zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,8 do 8,3 l/100 km. Szczegóły i informacje dotyczące spełniania wymogów ochrony środowiska są dostępne u dealerów sieci FCA Poland.

LEASYS
FCA BANK GROUP

KS. ADAM

Boniecki: *Kto was słucha*

Przy okazji sprawy kaliskiego biskupa Edwarda Janiaka pod znakiem zapytania stanął mit Episkopatu Polski jako jednomyślnego i bezwzględnie solidarnego grona następców Apostołów. Niby było wiadomo, że biskupi nie są całkiem jednomyślni, jednak to, co się ostatnio wydarzyło, nie miało w Polsce precedensu: informacja prymasa o tym, że przekazał do Watykanu oskarżenia przeciw bp. Janiakowi, atak tegoż na prymasa w liście do innych biskupów opublikowanym przez media, zawieszenie przez Rzym bp. Janiaka... To był szok dla tych, którzy wciąż jeszcze wierzą w doskonałość biskupów, i bolesne rozczarowanie dla tych, dla których Kościół jest duchowym domem.

Wielu hierarchów w świecie nie umiało sobie poradzić z problemem księży pedofilów, ale pierwszy raz nasz Episkopat uznał, że i polski biskup zachowywał się tu fatalnie. Jednak w tej sprawie, obok głównego wątku, wyszedł na jaw – dzięki dociekaniom Zbigniewa Nosowskiego, redaktora naczelnego „Więzi" – jeszcze problem władzy, a raczej wszechwładzy biskupa. Chodzi o sposób potraktowania księży Jana Grzeszczaka i Piotra Górskiego, rektorów seminarium duchownego. Biskup nie tylko nie uwzględnił opinii swoich najbardziej w sprawie kompetentnych współpracowników, ale podjął wobec nich działania noszące znamiona represji czy wręcz zemsty.

Podczas święceń kapłańskich ma miejsce obrzęd zwany homagium. Kandydat klęka przed biskupem i złożone ręce wkłada w jego ręce. Biskup pyta: „Czy mnie i moim następcom przyrzekasz cześć i posłuszeństwo?". Kandydat odpowiada: „Przyrzekam". Obrzęd pochodzi z czasów feudalnych, gdy wasal gestem włożenia rąk w ręce seniora potwierdzał umowę, w której senior zapewniał mu opiekę, a on zobowiązywał się do świadczenia seniorowi usług wojskowych i finansowych nieuwłaczających – co podkreślano – godności człowieka wolnego.

W Kościele ten gest ma znaczenie głęboko religijne. „Seniorem" jest Kościół, który się odwołuje do słów Chrystusa: „kto was słucha, Mnie słucha" (Łk 10, 16). Jeśli nawet przełożony kościelny się myli, to ty, będąc posłusznym, się nie mylisz, spełniasz wolę Boga. Tak umocniona władza biskupa nad księżmi, choć ograniczona prawem kanonicznym, jest ogromna. Jedyną instancją odwoławczą jest papież, uwzględnienie jednak przez papieża (czyli przez odpowiednią kongregację) rekursu prostego księdza od decyzji biskupa było (jest?) czymś absolutnie wyjątkowym.

Religijne posłuszeństwo ma starą tradycję, a Kościół – ogromne doświadczenie w jego praktykowaniu. Jezus w kwestii sprawowania władzy przez Apostołów (i chyba ich następców) zostawił klarowną instrukcję: „Wiecie, że władcy narodów uciskają je, a wielcy dają im odczuć swą władzę. Nie tak będzie u was. Lecz kto by między wami chciał stać się wielkim, niech będzie waszym sługą. A kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem waszym, na wzór Syna Człowieczego, który nie przyszedł, aby Mu służono, lecz aby służyć i dać swoje życie na okup za wielu" (Mt 20, 25-28).

Nie ma biskupa, który nie mówiłby o sobie, że jest sługą, że wszystko, co robi, jest służbą. Kłopot w tym, że każdy inaczej rozumie, co to znaczy. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Już 8 lipca, w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego", rozpoczynamy wakacyjny cykl dodatków

Włóczykij i Powsinoga

wakacje nad wodą i w górach, rowerem i boso, pod namiotem i w pociągu

W pierwszym odcinku:

UWIEDZENI DUCHEM MIASTA

maszyny do mieszkania, kosmiczne pasaże, wertepy przedmieść, bezdroża czasu

Olga Drenda: Całkiem inny Kraków
Krzysztof Story: Urbex, miejscy włóczykije

Organizujesz nietypowe wakacje?
Daj nam znać i zareklamuj się w naszym przewodniku – czekamy pod adresem **reklama@TygodnikPowszechny.pl**

TEMAT TYGODNIKA

14 Rasizm bez rasy
ROZMOWA Z OLGĄ STANISŁAWSKĄ, REPORTERKĄ:
Jesteśmy uzależnieni od wyzysku innych.

20 Gdy gorszy Gombrowicz
WOJCIECH RUSINEK
Co robić z dziełami, które wydają się nam archaiczne, obce ideowo, a nawet skandaliczne?

24 Zarządzanie różnicami
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
W tym sezonie politycznym nosi się bunt. Żyjemy w dziwnej parodii „Gwiezdnych wojen", w której po odległej galaktyce ganiają się sami rebelianci.

34 Dociekanie prawdy
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM NOSOWSKIM, REDAKTOREM NACZELNYM „WIĘZI":
Jeśli w usuwaniu zła wszystkie oficjalne drogi w Kościele zawodzą, pozostają dziennikarstwo śledcze i ujawnianie faktów.

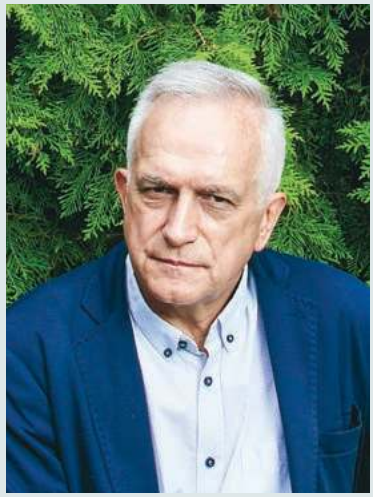

76 Zawiedliśmy
ROZMOWA Z SZYMONEM MALINOWSKIM, FIZYKIEM ATMOSFERY:
Co 25-30 lat podwajamy zużycie środowiska. Za połowę tego zużycia odpowiada pokolenie, którego jestem przedstawicielem.

80 Komu zabrakło kultury
DARIUSZ KOSIŃSKI
Właśnie się okazało, że możemy żyć bez koncertów, przedstawień i wystaw. Ale okazało się też, jaką fikcją jest przekonanie o pełni takiego życia.

94 Dopust Boży, odpust niezupełny
JACEK PODSIADŁO
Mój idol wśród zarażonych najpierw krył się po piwnicach, a następnie okopał się na terenie ogródków działkowych i długo odpierał ataki milicjanta, po prostu plując na niego.

TOMASZ WIECH DLA „TP" // ANDRZEJ HULIMKA / REPORTER // RAMSEY UNITED // ODED BALILTY / AP / EAST NEWS // ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 Kuszenie konfederata
PAWEŁ BRAVO

7-13 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

24 Zarządzanie różnicami
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

28 Notre Dame de Ochota
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI: *Dlaczego nie doceniamy pracy natury?*

30 Ja się nie triggeruję
ROZMOWA Z PROF. MIROSŁAWEM BAŃKĄ, JĘZYKOZNAWCĄ: *Polszczyźnie nie grozi uwiąd*

33 Zespół stresu cyfrowego
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI *o tegorocznej przymiarce szkoły do zdalnego nauczania*

WIARA

34 Dociekanie prawdy
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM NOSOWSKIM

38 Wyciągnięta ręka
MARCIN CHODUŃ *o Polskim Stowarzyszeniu Obrońców Życia Człowieka*

41 Kościół bez duchowieństwa?
PIOTR SIKORA: *Wśród pierwszych chrześcijan nie było wyróżnionej grupy kapłanów*

ŚWIAT

44 Klincz polsko-niemiecki
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA: *Polacy widzą wciąż niezamknięty wojenny rachunek*

47 To była niepotrzebna podróż
OLAF OSICA: *Polska stała się elementem machiny wyborczej za oceanem*

DODATEK SPECJALNY

MARIUS BECKER / DPA / EAST NEWS

57 NASZA WSPÓLNA EUROPA. RECEPTY

- W jaki sposób Polska zyska na zielonej transformacji unijnej gospodarki?
- Czemu po pandemii skończy się w Europie dobry czas dla populistów?
- Czy powinniśmy obawiać się „Unii dwóch prędkości”?

FELIETONY

56 ANDRZEJ STASIUK
93 PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ZBIGNIEW NOSOWSKI
Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

48 Ruletka z konsekwencjami
PATRYCJA BUKALSKA: *Szwecja uparcie obstaje przy swojej strategii walki z epidemią*

51 Hiszpańska zupa z cytryn
PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY: *Na początku roku bezrobotny był co trzeci poniżej 25. roku życia. A potem przyszła pandemia*

54 Safari na ludzi
MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA *o zamachach na aktywistów walczących z bezprawiem*

HISTORIA

72 Nieświęta Rzesza
ZBIGNIEW ROKITA: *Jak 150 lat temu zmieniała się Europa*

NAUKA

76 Zawiedliśmy
ROZMOWA Z SZYMONEM MALINOWSKIM

KULTURA

80 Komu zabrakło kultury
DARIUSZ KOSIŃSKI

84 Pieśni czasów ostatecznych
FILIP ŁOBODZIŃSKI: *Bob Dylan wydał właśnie pierwszą płytę po literackim Noblu*

86 Historia naszej seksualizacji
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Czwarta część „Historii seksualności” Foucaulta w Polsce trafiła na swój czas*

90 Mafioso kontra mafia
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Zdrajca” Marca Bellocchio*

92 Księga tajemnic
LEKTOR *o książce Izoldy Kiec „Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt”*

ZMYSŁY

94 Dopust Boży, odpust niezupełny
JACEK PODSIADŁO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Tłumaczenia to branża niezwykle sprekaryzowana. Nawet jak na Polskę. Jeśli coś się tutaj w ostatnich latach dla pracowników zmieniło, to raczej na gorsze – o losie tłumaczy pisze **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
Głównym punktem zwrotnym, na który musiałem czekać bardzo długo w życiu, tak mniej więcej do pięćdziesiątki, jest wyzwolenie się z kieratu pierwszego zawodu – opowiada **MAREK KONDRAT** w cyklu rozmów Katarzyny Kubisiowskiej powszech.net/punkt-zwrotny

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KUSZENIE KONFEDERATA

Żaden zwycięzca pierwszej tury wyborów prezydenckich nie miał dotąd tak dobrego wyniku i nigdy strata drugiego kandydata do lidera nie była aż tak duża.

PAWEŁ BRAVO

Ten wynik potwierdza stabilność obrazu polskiej polityki. Choć główni kandydaci podczas kampanii nadużywali rewolucyjnych haseł i manichejskich przepowiedni, rozkładem preferencji rządzi zasada długiego trwania. Nawet epidemia, która na przełomie kwietnia i maja stworzyła ramy dla dramatycznego przesilenia, nie zaburzyła równowagi sił. A paradoksalnie może nawet pomogła ją zakonserwować, bo dzięki wymuszonym przez nią targom wokół daty wyborów PO udało się wymienić kandydatkę na kandydata, który szybko odbudował poparcie porównywalne z tym, jakie jego partia zyskała w jesiennych wyborach do parlamentu.

Także prezydent Andrzej Duda powtórzył niemal idealnie (pod względem procentowym) wyniki swojej partii-matki w poszczególnych okręgach. Nawet jeśli w sztabie PiS podczas wieczoru wyborczego nie panowała wielka radość, to jednak elektorat tej partii okazał się karny i wybaczający. Nie wiadomo, w jakim stopniu jego mobilizacja to zasługa przekazu opartego na sianiu lęku przed utratą uzasadnionych osłon socjalnych oraz przed wyimaginowanymi chochołami, z których rzekoma „ideologia LGBT" odgrywała i będzie nadal odgrywać główną rolę. Być może jednak to nie propaganda ma znaczenie, a głęboka nieufność i niewiara istotnej części elektoratu, że inna partia mogłaby go

Głosowanie w wyborach prezydenckich. Obwodowa Komisja Wyborcza nr 89. Katowice, 28 czerwca 2020 r.

reprezentować skuteczniej i uczciwiej.

Żaden zwycięzca pierwszej tury wyborów prezydenckich nie miał dotąd tak dobrego wyniku i nigdy strata drugiego kandydata nie była aż tak duża. 13 punktów różnicy to sporo do nadrobienia. Przekonanie do siebie wyborców Szymona Hołowni wcale nie musi okazać się proste: najważniejszy wkład tego kandydata polegał na budzeniu wyborców z apatii – nawet tych, którzy już wcześniej głosowali na jedną z partii, a potem rezygnowali z udziału w żyrowaniu „duopolu". Fakt, że tak wielu Polaków deklarujących jeszcze na początku maja głosowanie na Hołownię „wróciło" do Platformy, gdy ta pokazała nowego kandydata, nie oznacza, że reszta zrobi to równie chętnie. Apatia to nie jest przypadłość, którą się leczy raz na zawsze.

Niewiadomą jest zachowanie wyborców Krzysztofa Bosaka, która to grupa jest trochę mniej zagadkowa w swoich motywacjach niż wyborcy Hołowni – pokrywa się mniej więcej z elektoratem Konfederacji. To, że Duda do nich jako pierwszych zwrócił się w przemówieniu wygłoszonym w niedzielny wieczór, jest jak najbardziej logiczne – i do pewnego stopnia wiarygodne, mówi wszak podobnym językiem wykluczającej dumy narodowej, co tamci. Ale to może być za mało – i prezes Kaczyński przekonuje się boleśnie, jak słuszna była strategia pilnowania, by na prawo od PiS była tylko ściana.

Czy wśród sztabowców PO pojawi się pokusa, by za wszelką cenę zawalczyć o te kilkaset tysięcy zwolenników Konfederacji, dla których ważniejsze są kwestie gospodarcze i fiskalne niż to, że Rafał Trzaskowski kojarzy się im z inkluzywną polityką w stosunku do mniejszości? Co ze swojego przekazu i kogo ze swoich dotychczasowych zwolenników musiałby wówczas schować? To jedno z ważniejszych pytań najbliższych dni. Trzaskowski ma teraz bardzo pod górkę, a stawka jego ewentualnej wygranej jest bardzo wysoka. Jednak jeśli miałby przegrać, to ważne, aby przed drugą turą nie stawiał kroków, które pchnęłyby Platformę w stronę obsługiwania emocji ksenofobicznych, egoizmu klasowego i autorytaryzmu – tyle że ubranego w bardziej strawny wizerunkowo wielkomiejski kostium. ©℗

Podziękujmy członkom komisji wyborczych

STOLIKÓW, za którymi siedziały komisje, nie przykryto w tym roku zielonym suknem – to chyba jedno z najmocniej rzucających się w oczy obostrzeń sanitarnych obecnych wyborów. Zasady były jasne: maseczka na twarzy, dezynfekcja rąk, rękawiczki, własny długopis, zachowanie odstępów w kolejkach (sięgających w godzinach szczytu nawet kilkuset metrów). Na tę klarowność przekazu zwracają uwagę epidemiolodzy: dobra komunikacja – z którą rząd podczas pandemii sobie często nie radzi – to warunek przestrzegania zasad.

W niedzielę miało się wrażenie, że troska o bezpieczeństwo własne i solidarność wobec innych połączyły większość wyborców w poprzek podziałów politycznych. Dobry przykład dawali politycy z wyjątkiem ministra edukacji, dziennikarze i celebryci, którzy posty i tweety z hasłem „już zagłosowane" opatrywali selfie w maseczce.

Bez porównania bardziej od przeciętnego wyborcy na zakażenie wystawionych było ponad 200 tys. członków komisji wyborczych, których obywatelska postawa zasługuje na szczególne uznanie. Decyzja o podjęciu tej pracy nie była łatwa – wynagrodzenie jest symboliczne, a wiadomo, że podczas marcowych wyborów we Francji i Bawarii do infekcji dochodziło zwłaszcza wśród członków komisji (choć to sytuacje nieporównywalne: w marcu szerzyły się zakażenia wewnętrzne, a państwa nie były w stanie wykonywać tylu testów, co obecnie). Poczucie bezpieczeństwa członków komisji z pewnością by się zwiększyło, gdyby dać im dostęp do bezpłatnych testów.

Efekt wyborów zobaczymy na wykresach zachorowań bez wątpienia, i to już przed drugą turą. Prawo wielkich liczb jest bezlitosne, a głosowanie wiąże się z masowymi w skali kraju interakcjami społecznymi, dającymi koronawirusowi szansę transmisji. Stosowanie zabezpieczeń ten wzrost oczywiście utrąci: przypomnijmy, że według raportu „Lancetu" zakrywanie ust, nosa i oczu, dystans społeczny i higiena rąk zapewniają „zbroję" ograniczającą w 80 proc. ryzyko zakażenia.

Większym zagrożeniem niż wybory będą raczej ogniska zakażeń wzniecane przez takie wydarzenia, jak wiece wyborcze, mecze czy wesela (bo z przestrzeganiem zaleceń sanitarnych w sklepach, na stacjach benzynowych, w barach, w windach itp. jest znacznie lepiej, niż obawiało się wielu obserwatorów). Mapę zakażeń przemodelują też wakacje: pierwsze obserwacje wskazują np. na skokowy pod koniec czerwca wzrost liczby osób kwarantannowanych w województwie zachodniopomorskim. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Hołownia: ten trzeci

TO, CO MIAŁO BYĆ największym atutem Szymona Hołowni, ostatecznie okazało się barierą, której przeskoczyć nie zdołał. Polska polityka wciąż kręci się wokół konfliktu między PO i PiS, a kandydat, który ze swojej bezpartyjności i krytyki jałowego sporu zwolenników Kaczyńskiego/Dudy i Tuska/ /Trzaskowskiego usiłował uczynić znak rozpoznawczy, musi się zadowolić poparciem rzędu 14 proc. Zważywszy, że startował od zera i zmagał się z celebryckim obciążeniem wizerunkowym – to sporo. Zważywszy apetyt, jaki dawały sondaże z czasu, gdy kandydatką PO była jeszcze Małgorzata Kidawa-Błońska – boleśnie mało.

Hołownia dotrzymał słowa danego w rozmowie z „TP" w chwili, gdy ogłaszał decyzję o kandydowaniu. Jego kampanii – nie tylko z powodu pandemii skoncentrowana głównie na mediach społecznościowych – była nowatorska i często miało się wrażenie, że rywale kopiują z niej pomysły. Jego program, skupiony wokół wyzwań klimatycznych, stosunku do wykluczonych i samorządności, również wykraczał poza standardy dotychczasowej bijatyki. Jak na debiutanta, Hołownia nie zaliczał też większych wpadek – może wyjąwszy wywiad dla Onetu, który jego sztabowcy usiłowali autoryzować w sposób przekraczający standardy; łzy nad konstytucją stały się tyleż obiektem kpin, co komplementów dla wrażliwości obywatelskiego kandydata. Zarówno kilkunastotysięczna rzesza wolontariuszy, jak rekordowa zbiórka publiczna na kampanię i fakt, że w debatach Hołownia wypadał lepiej od zawodowych polityków, wiele mówią o kondycji systemu partyjnego.

Trudno się dziwić, że mając mandat ponad 2,5 miliona Polaków, z których niemała część szła do wyborów pierwszy raz, Hołownia nie zamierza wycofywać się z polityki. Nie będzie mu łatwo. Jeżeli Rafał Trzaskowski nie wygra wyborów prezydenckich, trudno się spodziewać, by te parlamentarne odbyły się wcześniej niż za trzy lata, a przykład Pawła Kukiza pokazuje, że podtrzymanie entuzjazmu wśród elektoratu jest trudne nawet przez znacznie krótszy okres. Innej polityki nie będzie – przynajmniej na razie. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

MARZENA BUGAŁA / DZIENNIK ZACHODNI / POLSKA PRESS / GALLO IMAGES

Spirala propagandy

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Andrzej Duda ma przewagę: jest jedynym kandydatem z własną telewizją. Gdy tylko podpisał ustawę o 2 mld zł dla mediów publicznych, TVP stała się częścią jego sztabu. Można powiedzieć: żadna niespodzianka. Ale tym razem ekipa z Woronicza przeszła samą siebie.

Oglądane średnio przez 3,3 mln Polaków „Wiadomości" skupiły się w ostatnich dniach na krytyce Rafała Trzaskowskiego w kluczu antysemickim i homofobicznym. Przypominano, że podpisał kartę LGBT+, przyznał dotację fundacji kierowanej przez agentkę SB podejrzewaną o udział w zabójstwie ks. Blachnickiego, był stypendystą George'a Sorosa i uczestniczy w naradach złowieszczej Grupy Bilderberg. Oskarżano go przy tym o chęć wprowadzenia w przedszkolach przymusowej nauki masturbacji dla czterolatków i sugerowano, że odbierze Polakom 500+, aby sfinansować roszczenia żydowskie. Nazywano go też „kandydatem niemieckim". Do listy przewin Trzaskowskiego dopisano fascynację myślą „żydowskiego filozofa" Barucha Spinozy i odmowę posłania dzieci do pierwszej komunii. O innych konkurentach prezydenta ledwie wspominano.

Dla odmiany kandydat Duda przedstawiany był w superlatywach. Do historii telewizji przejdzie północnokoreański w formie i treści materiał Macieja Sawickiego pt. „Przedwyborcza mobilizacja", mobilizujący wyborców podniosłą muzyką i wzruszającymi kadrami z parą prezydencką w góralskiej dorożce, dziatwą dziękującą za 500+ i starszą panią szczęśliwą, że „tak dobrze jej nigdy nie było". W innym materiale pojawił się „amerykański projektant mody Christian Paul" – wymyślony tylko po to, by pochwalić kreacje Agaty Dudy.

TVP

Cisza wyborcza nie wyciszyła agitacji: „Wiadomości" informowały o 500+ i wyprawce szkolnej, „Jedynka" pokazała program o ekspansji „ideologii LGBT" i awarii warszawskiej oczyszczalni Czajka.

Można drżeć o to, co TVP przygotuje na najbliższe dni. A drżąc pamiętać, że to nie tylko łamanie ustawy o radiofonii i telewizji, ale też nielegalne finansowanie kampanii. Nikt nie poniesie konsekwencji – przynajmniej dopóki prokuratorem generalnym jest przełożony partyjny Jacka Kurskiego. ©

ANDRZEJ BANAŚ / POLSKA PRESS / GALLO IMAGES

REKORD W PANDEMII I UPALE. 64,4 proc. – tyle wyniosła frekwencja w I turze wyborów przezydenckich, według danych z 99,78 proc. obwodów, które znane były w chwili zamknięcia tego numeru „Tygodnika". To rekordowy wynik od ćwierćwiecza (w II turze wyborów prezydenckich w 1995 r. wynosiła 68,23 proc.). Wyborców nie odstraszyły długie kolejki powstające w efekcie pandemicznych ograniczeń ani upał. Na zdjęciu: kolejka do lokalu w Szkole Podstawowej nr 56 w Krakowie. ©℗

Gospodarka: to się w urnie nie mieści

WYOBRAŹMY SOBIE, że tuż przed rozpoczęciem Euro 2012 Stadion Narodowy i kilka mniejszych aren turnieju zalewa powódź. Wyobraźmy sobie i to, że początek rozgrywek zbiega się w czasie z końcem kampanii prezydenckiej. Walczący o reelekcję prezydent chwaliłby się, jak sprawnie współpracuje z rządem przy usuwaniu skutków klęski. Rywale wypomnieliby mu, że nie potrafił zapewnić bezpieczeństwa kluczowym elementom infrastruktury. Być może rozkład temperatur debaty ułożyłby się inaczej, ale jedno wydaje się niemal pewne – że nikt nie odważyłby się nie zabrać głosu w tak ważnej sprawie.

Ostatni tydzień czerwca przyniósł tymczasem nie tylko finał pierwszej tury wyścigu do pałacu prezydenckiego, ale także gwałtowny skok cen prądu po tym, jak ulewa doprowadziła do wyłączenia części bloków w największej polskiej elektrowni Bełchatów i w dwóch mniejszych. Zaczęły się również wakacje – i pierwsze upały. Energetycy od dawna z niepokojem patrzą o tej porze roku na pobór mocy, który sięga systemowych maksimów, grożąc tzw. blackoutem. Polska nie wytwarza tyle prądu, ile potrzebuje. Latem, przy niskich stanach rzek, elektrowniom dodatkowo brakuje wody do chłodzenia bloków i muszą zmniejszyć wydajność. Sytuację ratuje import.

Teraz problemy zaczęły się od powodzi, niewiele to jednak zmienia. Ich prawdziwym źródłem są zaniechania. Eksperci od lat alarmują, że pytanie o blackout w Polsce nie brzmi „czy", lecz „kiedy" – i od lat nikt nie chce ich słuchać.

Prąd nie stanowi więc dobrego paliwa do politycznej polaryzacji ani dla PiS-u walczącego o drugą turę dla Dudy, ani dla Platformy Trzaskowskiego. A obie partie są tu jednakowo winne.

W tracie epidemii, która sprowadzi na Polskę najgłębszą recesję w dziejach wolnego rynku, żaden kandydat nie raczył też przedstawić planu na wyprowadzenie gospodarki z korkociągu. Symbolicznego wymiaru nabrał w tej sytuacji kuriozalny spór o bezrobocie, które – jak zauważył Trzaskowski – wzrosło podczas lockdownu do miliona osób, choć i tak było niższe niż za rządów PO – czego nie omieszkał zaznaczyć Duda.

Truizmy kontra archiwalia. Na więcej, zdaniem kandydatów, nie zasługujemy.

©℗ MAREK RABIJ

Szkoły: lekcja niepewności

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Chcemy, żeby w zależności od tego oczywiście, czy nie będzie jakichś bardzo niespodziewanych wydarzeń, ale takich dzisiaj nie oczekujemy, żeby od 1 września dzieci i młodzież normalnie wróciły do szkół" – powiedział w zeszłym tygodniu premier Morawiecki, wzmacniając jeszcze przekaz stwierdzeniem, że jest to „zdecydowany plan".

To wyraźna zmiana komunikacyjnej strategii: w marcu decyzję o zamknięciu szkół podjęto z dnia na dzień, z jej kolejnymi prolongatami zwlekano do ostatniej chwili, a maturzystów i ósmoklasistów traktowano jak politycznych zakładników przed planowanymi na maj wyborami. Być może ta nowa retoryka jest odpowiedzią na zaostrzające się nastroje rodziców (przez lata zresztą dość biernie obserwujących poczynania MEN) – już kilkadziesiąt tysięcy osób podpisało petycję o zaniechanie zdalnego nauczania i powrót do szkół.

Oczywiste jest, że leży to w interesie wszystkich – wyczerpanych cyfrową szkołą nauczycieli, odciętych od relacji uczniów, rodziców znękanych łączeniem w czterech ścianach wszystkich możliwych ról. Ale i zapowiedzi premiera, i rodzicielskie żądania to prężenie muskułów przed walką, której rozstrzygnięcie nie od nich zależy. By to sobie uzmysłowić, wystarczy proste ćwiczenie na pamięć: czy na dzień przed marcową decyzją komukolwiek się śniło, że większość uczniów nie zobaczy szkoły do czerwca?

Czeka nas – także w oświacie – długa lekcja niepewności. Pozostaje nadzieja, że rząd, snując z pompą „zdecydowany plan" A, szykuje też w zaciszu gabinetów plany B i C. ©℗

Gotówka w cenie

OBYŁO SIĘ BEZ SZTURMU na banki, ale okołopandemiczne zawirowania w gospodarce sprawiły, że po latach fascynacji transakcjami bezgotówkowymi ponownie doceniliśmy wartość gotówki w portfelu – taki wniosek można wysnuć z kroków kolejnych banków i operatorów największych sieci bankomatów, obniżających maksymalną wysokość pojedynczej wypłaty. Kilkanaście dni temu Euronet ograniczył ją do tysiąca złotych jednorazowo. Także w banku ING osoby niebędące jego klientami wypłacą teraz jednorazowo tylko 500 zł.

Z danych operatorów wynika, że częste wypłaty mniejszych sum coraz częściej ustępują miejsca rzadszym transakcjom, ale nawet rzędu tysięcy złotych. Właściciele bankomatów, którzy od każdej wypłaty pobierają prowizje (bezpośrednio od klienta lub od jego banku), bronią się w ten sposób przed spadkiem dochodów. ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

BURZOWO

Kilkaset podtopień i „błyskawicznych powodzi" to efekt burz i gwałtownych opadów deszczu, które spadły na Polskę w okresie wyborów prezydenckich.

WYPADKOWO

W Warszawie spadł z wiaduktu rozpędzony miejski autobus. Zginęła jedna osoba, kilkanaście trafiło do szpitala.

NAPIĘCIOWO

Zarząd Poczty Polskiej złożył do marszałka Sejmu skargę na kontrole poselskie parlamentarzystów Koalicji Obywatelskiej: niektórzy politycy mieli używać w ich trakcie dyskryminujących sformułowań typu „państwo nie wyszli z buszu". Kontrole dotyczyły kosztów druku kart do głosowania w nieodbytych wyborach 10 maja.

ZDALNIE

Ponad 3 tys. uczniów otrzymało maksymalny wynik w szkolnym konkursie matematycznym Kangur, podczas gdy rok wcześniej udało się to tylko ośmiorgu uczestników. Poziom zadań nie uległ zmianie, ale w tym roku ze względu na pandemię konkurs przeprowadzono zdalnie.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

NIEOSTROŻNIE

Ministerstwo Zdrowia apeluje do właścicieli sklepów, aby nie wpuszczali osób bez maseczek. „To, co widziałem w weekend, woła o pomstę do nieba" – wyznał rzecznik resortu, przypominając, że w zamkniętych przestrzeniach wciąż obowiązuje zasłanianie ust i nosa.

LOT przez kampanię do hangaru

NA KRAWĘDZI BANKRUCTWA znów znalazł się narodowy przewoźnik – tym razem przez pandemię. Przestój kosztuje spółkę około 2-3 mln zł dziennie, a w kasie brak pieniędzy nawet na zwrot za bilety z odwołanych lotów. Ratunek spółce mogłaby przynieść kontrolowana upadłość połączona z restrukturyzacją zadłużenia, ale w trakcie kampanii wyborczej rząd nie chce o tym słyszeć. Brak decyzji o upadłości paradoksalnie zwiększa więc ryzyko zniknięcia spółki z lotniczej mapy Europy.

Lista linii, które padły ofiarą pandemii, jest długa i do tego zróżnicowana, bo obok regionalnych przewoźników balansujących od dawna na progu rentowności są na niej linie narodowe, a starzy wyjadacze sąsiadują z żółtodziobami. Brytyjski Flybe. Kolumbijska Avianca, druga najstarsza linia lotnicza świata. Virgin Australia. Trans States Airlines oraz Compass Airlines z USA. Nawet bogaty Norwegian musiał wiosną złożyć na ołtarzu pandemii cztery spółki zależne, w których pracowało 4,5 tys. osób. Zestawienie byłoby dłuższe m.in. o Lufthansę, Alitalię i łotewską airBaltic, gdyby nie pomoc publiczna. Sytuacja LOT-u jest o tyle gorsza, że już z niej korzystał.

Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych IATA w marcu szacowało wysokość strat branży na ok. 30 mld dolarów. Kilka tygodni później podniosło ją jednak już do ponad 100 mld. Dziś IATA mówi o globalnych kosztach zamrożenia transportu powietrznego na poziomie 314 mld dolarów. Po wznowieniu ruchu rentowność linii nie wróciła do poziomu sprzed lockdownu, bo zapotrzebowanie na loty jest nadal znikome. Koronawirus straszy turystów. Biznes ograniczył delegacje do minimum i przyzwyczaił do telekonferencji. Niektórzy specjaliści od ekonomiki lotnictwa posuwają się więc jeszcze dalej, wróżąc śmierć całej branży – a następnie odrodzenie w nowej, szczątkowej formie, w której rację bytu zachowa najwyżej kilku największych operatorów lotniczych, zdolnych do utrzymania rentowności dzięki skali działalności. W tym modelu rynku nie ma już miejsca na małych wyspecjalizowanych przewoźników, jak Finnair czy właśnie LOT, żyjących z kierunków azjatyckich. ©℗ MAREK RABIJ

Putin na progu wieczności

ANNA ŁABUSZEWSKA

Krzywa zachorowań na covid-19 w Rosji wypłaszczyła się na poziomie 7 tys. nowych przypadków dziennie. Mimo to w połowie czerwca ogłoszono poluzowanie restrykcji, a Kreml przystąpił do realizacji odłożonego planu zapewnienia Władimirowi Putinowi trwania u władzy.

Najpierw podczas wideonarady Putina (nadal siedzącego w bunkrze w Nowo-Ogariowie) z ministrami dokonano optymistycznego podsumowania epidemii. „Przetrwaliśmy" – pochwalił prezydent urzędników. Dzień później ukazał się artykuł Putina o II wojnie światowej. Tezy naciągane, wybiórczy dobór faktów (pominięto te, które nie pasowały do wywodu o niepokalanym poczęciu sowieckiego zwycięstwa, jak aneksja państw bałtyckich i Besarabii, wojna z Finlandią itd.), oskarżenia Zachodu o rozpętanie wojny, obrona Stalina, zarzuty wobec Polski, że sama na siebie sprowadziła nieszczęście – to wszystko autor już wcześniej prezentował, zaskoczenia więc nie było.

Rzetelnej analizy tekstu dokonali historycy, publicyści, dziennikarze opozycyjnych mediów. Ale autorowi nie chodzi o rzetelny przekaz historyczny. Tekst to część operacji „wieczność dla Putina". Jego celem jest nie tylko pouczenie wspólnoty międzynarodowej o niezbywalnym prawie Moskwy do własnej narracji historycznej. To także wezwanie głównych graczy, by popatrzyli na krzywdę Rosji, sponiewieranej przez rozpad Związku Sowieckiego i zimną wojnę, a ostatnio pokaranej jakże niesłusznie sankcjami po aneksji Krymu i agresji w Donbasie. To wreszcie przestroga, by nie doprowadzać do sytuacji, w której upokorzona potęga zechce sięgnąć po mocniejsze argumenty. Przedłużeniem artykułu była defilada 24 czerwca w Moskwie, na której prezentowano najnowsze czołgi, samoloty i rakiety.

Nazajutrz po defiladzie rozpoczęło się głosowanie (trwające tydzień) nad poprawkami do konstytucji; jedna z nich ma wyzerować kadencje prezydenckie Putina i pozwolić mu ponownie startować w wyborach. Głosować można było dosłownie wszędzie: w parku na ławce, przy śmietniku pod blokiem, w lokalu wyborczym lub drogą elektroniczną. Władzom zależało na jak najwyższej frekwencji i wzmocnieniu legitymacji Putina, który przez ostatnie miesiące tracił poparcie. ©

Więcej na blogu autorki:
labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Stare grzechy mają długie cienie

PREZYDENTOWI KOSOWA Hashimowi Thaçiemu i innym przywódcom Wyzwoleńczej Armii Kosowa (UÇK) postawiono zarzuty popełnienia zbrodni wojennych. Informacja ta, opublikowana w ubiegłym tygodniu, przekreśliła plany Donalda Trumpa, by 27 czerwca w Białym Domu wznowić negocjacje między Kosowem a Serbią, prowadzone pod auspicjami USA. Thaçi, już w drodze do Stanów, uznał bowiem, że w tej sytuacji nie weźmie w nich udziału.

Zarzuty postawiono w kwietniu, ale musi je jeszcze zatwierdzić Specjalna Izba Sądu Kosowa z siedzibą w Hadze. Sąd ten jest finansowany przez UE, sędziowie i prokuratorzy pochodzą spoza Kosowa, ale działają na podstawie kosowskiego prawa. Powstał w 2015 r. – po głośnym raporcie Rady Europy – by zbadać zbrodnie popełnione w Kosowie w latach 1998–2000. Thaçiemu zarzucono wtedy m.in. morderstwa przeciwników politycznych i handel organami. Zbrodni popełnionych przez stronę albańską w trakcie konfliktu w Kosowie nie był w stanie osądzić Międzynarodowy Trybunał Karny ds. byłej Jugosławii: świadkowie ginęli lub wycofywali zeznania. Uznano, że wymiar sprawiedliwości Kosowa tym bardziej nie będzie w stanie prowadzić postępowań przeciw osobom tworzącym dziś elitę polityczną młodego państwa.

W Kosowie kwestia rozliczenia przywódców UÇK budzi kontrowersje. Potwierdzenie zarzutów kładłoby się cieniem na walkę Albańczyków z reżimem serbskiego prezydenta Slobodana Miloševicia. Podważa się też przekazanie kompetencji do sądzenia tych zbrodni poza granice kraju i ograniczenie kompetencji tego sądu do zbrodni popełnianych przez Albańczyków. Tym bardziej że w Serbii zbrodniarze wojenni zajmują eksponowane stanowiska, a Belgrad nie kwapi się do rozliczenia win strony serbskiej.

Ostatnio spekulowano, że częścią negocjacji kosowsko-serbskich w Waszyngtonie będzie też odstąpienie od ścigania zbrodni popełnionych przez obie strony. Pozwoliłoby to kosowskim i serbskim elitom zamknąć kwestie rozliczeń raz na zawsze. Ponad 1,6 tys. rodzin wciąż czeka na informację, co stało się z ich bliskimi, którzy zaginęli podczas walk w Kosowie. © MARTA SZPALA

LUAY SABABA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

„TO WASZA ZIEMIA RODZINNA" – mówił przedstawiciel ONZ do kilku tysięcy Palestyńczyków, którzy zebrali się 22 czerwca na obrzeżach Jerycha, by protestować przeciw izraelskiemu planowi aneksji części Zachodniego Brzegu Jordanu. Niezwykła była nie sama demonstracja (na zdjęciu), lecz fakt, że po raz pierwszy w proteście organizowanym przez Fatah – palestyńską partię rządzącą na Zachodnim Brzegu – licznie wzięli udział dyplomaci z krajów UE, a także przedstawiciele Rosji, Chin czy Japonii. Plan aneksji forsuje premier Izraela Beniamin Netanjahu przy wsparciu administracji Trumpa. Jeśli zostanie zrealizowany, zakończy marzenie Palestyńczyków o własnym państwie. ©℗ WP / FAZ

NATIONALMUSEUM, STOCKHOLM

Cranach może wrócić do Polski

W MUZEUM NARODOWYM W SZTOKHOLMIE odnaleziono „Opłakiwanie Chrystusa" ze szkoły Lucasa Cranacha Starszego. Obraz do 1945 r. był własnością Śląskiego Muzeum Sztuk Pięknych. Są szanse, że wróci do Wrocławia.

„Opłakiwanie" powstało na zamówienie rodziny saskiego kupca Konrada von Günterode i jego żony Anny. Znajdowało się w klasztorze cystersów w Lubiążu do jego sekularyzacji w 1810 r., potem trafiło do wrocławskich zbiorów publicznych. Podczas II wojny wraz z innymi obiektami ukryto je w Kamieńcu Ząbkowickim. Tu urywają się jego dzieje. Dopiero po latach zwrócono uwagę na obraz przechowywany w Sztokholmie. Dzięki współpracy muzeum z polskim ministerstwem kultury potwierdzono jego śląskie pochodzenie i odtworzono jego powojenne losy: trafił on do Siegfrieda Häggberga, w latach 20. dyrektora polskich spółek LM Ericsson, podczas wojny pomagającego Polakom i Żydom. Aresztowany w Warszawie i skazany na śmierć, ocalał dzięki interwencji króla Gustawa V.

Po śmierci Häggberga obraz w 1970 r. nabyło szwedzkie Muzeum Narodowe. Teraz zarekomendowało jego zwrot do Polski; czekamy na decyzję szwedzkiego rządu. „Opłakiwanie" zakupiono w dobrej wierze. Jednak, jak podkreśla dyrektor muzeum Susanna Pettersson, w takich przypadkach należy stosować zasady postępowania w sprawie mienia zagrabionego w latach 1933-45, a nie wchodzić w spory prawne. Przypomniała też o znaczeniu badań proweniencyjnych, które pozwalają odnaleźć w zbiorach obiekty o wątpliwym pochodzeniu. Ich prowadzenie jest zatem obowiązkiem muzeów, ale też np. domów aukcyjnych. W Polsce – trzeba dodać – również.

© PIOTR KOSIEWSKI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

APEL DO PAPIEŻA
Włoski dziennik „La Repubblica" opublikował jako płatne ogłoszenie apel grupy Polaków skierowany do papieża o „odbudowę" Kościoła. „Błagamy Cię! Spójrz z troską na Kościół w Polsce, gdzie biskupi kryją przypadki pedofilii, lojalność wobec instytucji jest ślepa i głucha, ważniejsza od dobra ofiar, a Episkopat i nuncjusz apostolski udają, że tego nie widzą – apelują autorzy i zauważają: – Wielu wiernych ma poczucie, że Watykan daje na to przyzwolenie". Więcej o akcji na stronie dosckrzywdy.pl.

JASNOGÓRSKIE REFORMY
Nowy przeor Jasnej Góry wprowadził normy zakazujące manifestowania poglądów politycznych w sanktuarium. Jasnogórska Kaplica przeznaczona jest wyłącznie do sprawowania liturgii; paulini stanowczo zabraniają „propagowania niechrześcijańskich postaw i ideologii, a w szczególności podziałów narodowych, wrogości, pogardy, rasizmu, ksenofobii, egoizmów, nacjonalizmów i fundamentalizmów", natomiast „użycie materiałów pirotechnicznych" możliwe jest tylko za pozwoleniem odpowiednich władz.

GRAŻYNA MAKARA

ORZEŁ KARSKIEGO
O. Ludwik Wiśniewski został laureatem tegorocznej Nagrody Orła Jana Karskiego. Dominikański duszpasterz czasów Solidarności, upominający się dzisiaj o kościelne reformy, został wyróżniony „za odwagę serca i sprawiedliwość rozumu – w zmaganiach o Kościół i Polskę". Naszemu Autorowi serdecznie gratulujemy!

Trzy pęta katechezy

CO OGRANICZA SKUTECZNĄ KATECHEZĘ? – pytał abp Rino Fisichella z Papieskiej Rady ds. Ewangelizacji podczas prezentacji nowego dyrektorium katechetycznego. Wymienił „trzy pęta", które dziś najbardziej krępują przepowiadanie Ewangelii.

Po pierwsze, włączenie katechezy w system szkolny i traktowanie jako przedmiotu nauczania. Choć dyrektorium nie jest przeciwne nauce religii w szkole, to wyraźnie oddziela je od katechezy, która ma być ewangelizacją – zaproszeniem do spotkania z Jezusem i jego słowem „o miłosiernym Bogu, wychodzącym naprzeciw każdemu grzesznikowi".

Po drugie, traktowanie katechezy jako kursu przygotowującego do sakramentów. Tymczasem – mówił abp Fisichella – chrzest, komunia i bierzmowanie nie są celem samym w sobie ani nagrodą za zaliczenie kolejnego etapu edukacji religijnej, ale znakiem „inicjacji chrześcijańskiej" i wsparciem na drodze wiary. Katecheza ma pomóc w zrozumieniu tej prawdy.

Po trzecie, sprowadzanie katechezy do strategii duszpasterskiej, która ma przytrzymać młodych ludzi jak najdłużej w Kościele, by zaraz potem – po bierzmowaniu – stracić ich z pola widzenia i pozostawić w duchowej pustce.

Najnowsze dyrektorium to trzeci tego typu dokument wydany po ostatnim soborze (poprzednie ukazały się w latach 1971 i 1997). Pokazuje szanse i zagrożenia, jakie stają przed katechezą w XXI w.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Pielgrzymka w sanitarnym rygorze

Z POWODU PANDEMII inaczej będą w tym roku wyglądać piesze pielgrzymki na Jasną Górę. Niektóre diecezje poinformowały już o zmianach na swoich stronach internetowych. W 309. Warszawskiej Pielgrzymce Pieszej wezmą udział jedynie przewodnicy grup – ok. 50 osób. W plecakach poniosą intencje złożone przez pątników. Natomiast 40. Warszawska Akademicka Pielgrzymka Metropolitalna będzie wyłącznie duchowa: codziennie od 5 do 14 sierpnia w kościele akademickim św. Anny będzie wieczorem odprawiana msza, po której poszczególne grupy pielgrzymki poprowadzą Apel Jasnogórski. Z kolei 40. Przemyska Archidiecezjalna Piesza Pielgrzymka na Jasną Górę odbędzie się sztafetowo – każdy dzień trasy przejdzie inna grupa. Trasę 28. Ełckiej Pieszej Pielgrzymki przejdą sami księża, reprezentując poszczególne grupy. Z organizacji pieszej pielgrzymki zrezygnowali w tym roku krakowscy dominikanie. „Nie chcemy narażać na szwank Waszego zdrowia i życia" – tłumaczy potencjalnym pątnikom krakowski przeor.

©℗ ASK

DAREK DELMANOWICZ / PAP

NA POMOC OFIAROM NAWAŁNICY. Zalane domy, uszkodzone budynki użyteczności publicznej i zniszczone drogi – to efekt gwałtownych ulew w Małopolsce i na Podkarpaciu. W najbliższą niedzielę, 5 lipca, w kościołach wielu diecezji – nie tylko tych bezpośrednio dotkniętych klęską żywiołową – prowadzona będzie zbiórka pieniędzy na pomoc najbardziej poszkodowanym. Na zdjęciu: zabytkowy kościół św. Bartłomieja (XVI w.) w Łapanowie koło Wieliczki, zalany po burzy, która przeszła nad regionem w nocy z 20 na 21 czerwca. ©℗ EA

Religijność dotknięta pandemią

PIOTR SIKORA

Czy koronawirus zmieni coś w religijności Polaków? CBOS opublikował właśnie wyniki badań z maja i czerwca. 75 proc. Polaków twierdzi, że w ich religijności nic się nie zmieniło. 12 proc. – że ich zaangażowanie religijne wzrosło, a 10 proc. – że zmalało. Statystycznie rzecz ujmując, religijność naszego społeczeństwa jest teraz taka sama jak przed pandemią – przynajmniej w deklaracjach.

Bardziej szczegółowe dane wskazują, że wzrost religijności zauważyli u siebie głównie ludzie już religijnie zaangażowani i regularnie praktykujący. W czasie obowiązywania ograniczeń liczby osób w kościołach zaangażowanie to wyrażało się uczestnictwem w transmisjach telewizyjnych i internetowych oraz w indywidualnej modlitwie i medytacji.

Z drugiej strony, 16 proc. spośród osób, które dotąd nie uczestniczyły w praktykach religijnych, w miarę regularnie oglądało msze w telewizji w trakcie epidemicznych ograniczeń. Przynajmniej raz zdarzyło się to zrobić 60 procentom Polaków. Najbardziej popularna była telewizja, dalej internet, na końcu radio. Wynika to zapewne z faktu, że wśród uczestniczących w transmitowanych nabożeństwach dominują ludzie starsi.

Wyniki badań CBOS nie są specjalnie zaskakujące. Ludzie przyzwyczajeni do ujmowania rzeczywistości w kategoriach religijnych także pandemię próbowali pojąć w takiej perspektywie. Im też brakowało wspólnotowych religijnych praktyk. Ci, którym ta perspektywa była raczej obca, i w pandemii nie dostrzegli religijnego sensu.

Duszpasterskie posunięcie polegające na „przeniesieniu" nabożeństw w przestrzeń wirtualną można uznać za frekwencyjny sukces. Na dłuższą metę może to być jednak sukces pozorny, gdyż aż 40 proc. ludzi nie planuje w ogóle wrócić do praktyk religijnych w kościołach. Oznaczałoby to przyszły wzrost liczby w ogóle niepraktykujących o 25 pkt. procentowych.

Badania CBOS pozostawiają jednak sporo istotnych niewiadomych. Skupiają się na zewnętrznych aktywnościach oraz ogólnych autodeklaracjach. Nic nie mówią o ewentualnej zmianie głębszych egzystencjalnych postaw. Na tym zaś polega pogłębienie bądź utrata wiary. Zmiany na tym poziomie mają także bardziej długofalowe znaczenie. ©℗

Milowy krok Kościoła w Niemczech

NIEZALEŻNA KOMISJA ds. badania przypadków wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych powstanie w każdej z 27 diecezji katolickich w Niemczech. To efekt porozumienia podpisanego przez pełnomocnika rządu Niemiec ds. pedofilii Johannesa-Wilhelma Röriga i delegata niemieckiego episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży bp. Stephana Ackermanna. Decyzję tę nazwano milowym krokiem w rozliczaniu nadużyć seksualnych w Kościele.

Zgodnie z porozumieniem, w komisjach ds. pedofilii zasiądą przedstawiciele diecezji, eksperci naukowi, prawnicy, reprezentanci administracji publicznej oraz osoby wykorzystane w dzieciństwie. Kilka diecezji już rozpoczęło tworzenie swoich komisji. Gremia te mają się zająć także przypadkami, które z powodu przedawnienia lub śmierci nie mogą być ścigane przez prawo. Poza ilościowym badaniem zjawiska celem jest również ustalenie, jak osoby odpowiedzialne w diecezji postępowały ze sprawcami i osobami poszkodowanymi. Mają też zostać zbadane struktury umożliwiające i sprzyjające wykorzystywaniu. Planowana jest współpraca między diecezjami. W tym celu konferencja episkopatu Niemiec ma utworzyć osobne biuro.

Postulat powołania niezależnych komisji niemieccy biskupi podjęli po ogłoszeniu we wrześniu 2018 r. raportu przygotowanego na zlecenie episkopatu przez konsorcjum badawcze uniwersytetów w Mannheim, Heidelbergu i Giessen. Badanie kościelnych archiwów ujawniło, że co najmniej 1670 duchownych w latach 1946–2014 wykorzystało seksualnie 3677 nieletnich. Ponad połowa ofiar miała w chwili wykorzystania mniej niż 13 lat. W stosunku do dwóch trzecich ofiar sprawcami czynów byli ich spowiednicy lub inni księża, których łączyła z ofiarami jakaś więź religijna. Tylko w stosunku do jednej trzeciej sprawców Kościół prowadził kanoniczne dochodzenia, ale w większości przypadków biskupi nakładali minimalne kary. Jednym ze społecznych efektów raportu był wzrost wystąpień z Kościoła katolickiego w Niemczech.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Programowanie neuronów

CHOROBA PARKINSONA objawia się zaburzeniami motorycznymi, m.in. sztywnością mięśni i niemożnością wykonywania precyzyjnych ruchów. Jej przyczyna leży w obumieraniu neuronów wydzielających dopaminę w strukturze mózgowej zwanej istotą czarną. Obecne metody leczenia tej choroby mają ograniczoną skuteczność. Dzięki badaniom dwóch zespołów, opublikowanym równolegle w „Cell" i „Nature", pojawia się szansa na nową terapię.

Naukowcy najpierw przeprogramowali *in vitro* mysie i ludzkie komórki występujące w mózgu, zwane astrocytami, w neurony zdolne do produkowania dopaminy. Udało im się to dzięki modyfikacjom genetycznym ukierunkowanym na wyeliminowanie z komórek białka zwanego PTB, odgrywającego kluczową rolę w zwyczajnym rozwoju astrocytów. Następnie oba zespoły przeprogramowały astrocyty w neurony w eksperymencie przeprowadzonym na specjalnie dobranych żywych myszach, będących zwierzęcym modelem choroby Parkinsona. Przekształcone komórki okazały się obiecująco podobne do tych samych neuronów, których brakuje u chorych na parkinsona.

Metody te trzeba jednak jeszcze bardzo usprawnić, by można je było choćby eksperymentalnie wykorzystać u ludzi.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK

Gdy matka jest niepewna

ADOBE STOCK

U WIELU GATUNKÓW SAMCE nie są w stanie zidentyfikować własnego potomstwa – np. dlatego, że każda samica może mieć wielu partnerów. Takie samce nie są dobrymi ojcami. Nie troszczą się o młode, żeby przypadkiem nie zmarnować zasobów na cudze dzieci. Lepszą strategią dla „niepewnych ojców" będą inwestycje w uzbrojenie, które pomoże im pokonać innych samców, albo w ornamenty, dzięki którym uwiodą więcej partnerek. Nawet jeśli większość spłodzonego przez nich potomstwa nie pożyje długo, to będą mieć go tyle, że przynajmniej część zdoła przekazać geny kolejnym pokoleniom.

Okazuje się, że podobne zjawisko może występować u samic. Samice chrząszcza *Nicrophorus vespilloides* mogą składać jaja w odosobnieniu albo w grupie. Jak ustalili Jon Richardson i Per T. Smiseth, samice, które składają jaja w samotności, troszczą się o larwy, które się z nich wyklują. Takie samice nie ryzykują zmarnowania zasobów na obce dzieci. Jednak te matki, które składają jaja grupowo, nie mają pewności, od której pochodzą larwy. Dlatego stosują inną strategię: składają większą liczbę jaj, w dodatku o większych rozmiarach. Wyrosną z nich zaradniejsze larwy, z których przynajmniej część poradzi sobie bez dodatkowego wsparcia.

©℗ ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

DYSTOPIE W KINIE
Agnieszka Smoczyńska wyreżyseruje dystopijny kryminał „Hot Spot". Autorem scenariusza jest Robert Bolesto, z którym reżyserka współpracowała już przy „Córkach dancingu". Wcześniej do kin trafi jednak dreszczowiec Smoczyńskiej „Silent Twins" z Letitią Wright – zdjęcia ruszają jesienią. Nad pierwszym anglojęzycznym filmem pracuje także twórca „Bożego Ciała" Jan Komasa. „Anniversary" to dystopijna historia „społecznego wirusa".

KWIATY W OPERZE
Dokładnie 2292 rośliny doniczkowe wysłuchały „Chryzantem" Pucciniego w barcelońskim Gran Teatre del Liceu. Koncert z inicjatywy artysty konceptualnego Eugenia Ampudii odbył się chwilę po zakończeniu stanu wyjątkowego w Hiszpanii. Tak dziękowano zieleni za niesienie ukojenia w trakcie pandemii. Po koncercie widownia została przekazana szpitalom.

GRAN TEATRE DEL LICEU / MATERIAŁY PRASOWE

NAGRODY W POEZJI
Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki laureatem Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za całokształt pracy twórczej. Kapituła dokonała także wyboru pięciu tomików, które powalczą w kategorii „Książka roku" (wśród nich „Dziecko z darów" naszej autorki Justyny Bargielskiej, gratulujemy!), oraz trzech, których autorzy ubiegać się będą o Silesiusa za najlepszy debiut. Laureatów poznamy jesienią.

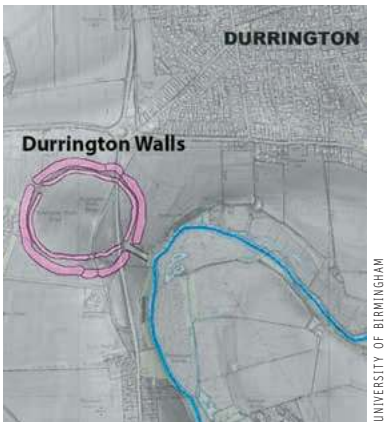

UNIVERSITY OF BIRMINGHAM

Stonehenge: drugi krąg

O WIELE WIĘKSZEGO, ukrytego sąsiada okazuje się mieć legendarne Stonehenge. Niecałe 3 km od megalitycznego kromlechu archeolodzy znaleźli pozostałości ogromnego kręgu o średnicy 2 km. To największy prehistoryczny monument w Wielkiej Brytanii. Ale ten nowoodkryty krąg jest swoistym odwróceniem Stonehenge: zamiast piąć się w górę, schodził wgłąb ziemi. Składało się na niego około 30 otworów o średnicy nawet 10 i głębokości 5 metrów. Znalezione w nich kości i krzesiwo pochodzą sprzed 4,5 tys. lat. Twórcy kręgu musieli już wtedy być dobrze obeznani z prawami matematyki.

Archeolodzy podejrzewają, że okrąg mógł wyznaczać granicę oddzielającą obszary święte od świeckich. „Domenę żywych" od „domeny przodków", obejmującej samo Stonehenge. Tuż przy okręgu znajduje się znana już wcześniej wioska DurringtonWalls – licząca tysiąc domów metropolia (4 tys. lat temu może największa w Europie) zamieszkiwana przez budowniczych kamiennych kręgów. Cały obszar mógł być jednym z największych ośrodków kultu w neolitycznym świecie – znajduje się tam jeszcze ponad 700 innych stanowisk archeologicznych.

Archeolodzy alarmują jednak, że przyszłość tego bezcennego obszaru jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie: brytyjski rząd planuje rozpocząć budowę 3-kilometrowego tunelu drogowego, który miał rozładować korki na wiecznie zatłoczonej drodze biegnącej obok neolitycznego monumentu. Budowa mogłaby zniszczyć nieodkryte jeszcze skarby przeszłości, a towarzyszące jej wibracje – uszkodzić te już dobrze znane. Decyzja o losach tunelu ma zapaść w lipcu.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEMAT TYGODNIKA

RASIZM BEZ RASY

OLGA STANISŁAWSKA, REPORTERKA:
Jesteśmy uzależnieni od wyzysku innych. Kto w Kongu wydłubuje z ziemi koltan do naszych telefonów? Kto w strasznych warunkach w Bangladeszu szyje dla nas T-shirty? Zgadzamy się na tę cenę, bo nie my ją płacimy.

MARCIN ŻYŁA: Kiedyś dzieci znajomego dostały lalki. Bawiły się nimi długo. Ale dopiero gdy ich babcia im powiedziała, że jedna z lalek przedstawia dziecko czarnoskóre, zwróciły na to uwagę. Można aż tak bardzo nie zauważać koloru skóry?

OLGA STANISŁAWSKA: Wiesz, ja mieszkam na imigranckim przedmieściu Paryża. Prawie wszyscy uczniowie wywodzą się tu spoza Europy. Na dwie klasy moich dzieci jest tylko jeden chłopiec, którego wszyscy dziadkowie urodzili się we Francji. Moje dzieci patrzyły więc na niuanse ludzkich odcieni skóry tak, jak dzieci w Polsce patrzą na niuanse kolorów włosów. I miały one tak samo mało znaczenia.

Teraz Maya i Antoine mają 8 lat i wiedzą, że jednych ludzi uważa się za „białych", a innych za „czarnych". Mieli właśnie lekcje o rasizmie. Serce mi się kraje, gdy myślę, jak bardzo będzie on ciążyć na życiu większości tych dzieci. Że ciąży na nim już dziś. ↦

Bianka Nwolisa z transparentem „Stop calling me Murzyn" protestuje wraz z rodzicami i rodzeństwem pod ambasadą USA po śmierci George'a Floyda. Warszawa, 4 czerwca 2020 r.

JĘDRZEJ NOWICKI / AGENCJA GAZETA

BLACK PEOPLE DESERVE
BLACK
POLAND
WITH YOU
BE LIKE A PANDA
IT'S WHITE
BLACK
ASIAN
STOP CALLING ME MURZYN
ABERCROMBIE

↦ **Pamiętam, że Murzynek Bambo z wiersza Tuwima był dla mnie w dzieciństwie głównie „naszym koleżką" – po prostu fajnym kumplem. A słowo „Murzyn", przez jakiś czas, słowem czysto opisowym, neutralnym. To dlatego wielu ludzi, również wrażliwych, nie widzi problemu w posługiwaniu się nim?**

Niestety, wszystko zaczyna się od stygmatyzujących, wykluczających ze wspólnoty słów. Słów, które „uinniają". Jeśli mówimy „Murzyn", choć wiemy, że są ludzie, którzy czują się zranieni tym słowem, wkraczamy na śliską drogę. Na co jeszcze, prócz słowa „Murzyn", damy sobie przyzwolenie – bo tak nam wygodnie, bo my lepiej wiemy, bo to tradycja, bo tak zawsze było? Jeśli chcemy zerwać z dyskryminacją, zacznijmy od jej korzeni.

To na pewno jedna, ta sama oś?

Absolutnie tak. Dlaczego w latach 20. zeszłego wieku Francuzi – wśród których było wielu wrażliwych ludzi – przyzwolili na przykład, by przy budowie torów w Kongu zginęło 17 tys. przymusowych robotników kolonialnych? Myśleli sobie: to straszne, ale bez kolei nie będzie cywilizacji. W istocie bez kolei nie byłoby zysku. Gdyby umierali Francuzi, francuski parlament przerwałby tę budowę. Ale umierali Afrykanie, ludzie, którzy mieli skórę innego koloru. Ci „Murzyni", o których mówiono to, co mówiono.

Tak działa rasizm. Milcząco pozwalamy zrobić „innym" to, czego nie pozwolilibyśmy robić „nam". Śmierć George'a Floyda, uduszonego kolanem przez białego policjanta w Minneapolis, była czystą demonstracją władzy i wstrząsnęła ludźmi na całym świecie. Ale gdzie, jako społeczeństwa, stawiamy granice? Ile codziennych krzywd zatruwa wciąż po cichu ludzkie życia, nie tylko w USA, ale też we Francji czy w Polsce?

Skąd rasizm wziął się w naszej kulturze?

W „Kandydzie" Woltera podczas podróży po Surinamie pojawia się zniewolony mężczyzna bez nogi i ręki. Mówi: „Oto cena, za jaką jecie cukier w Europie".

Dziś, jak wtedy, jesteśmy uzależnieni od wyzysku innych. Kto w Kongu wydłubuje z ziemi koltan do naszych telefonów? Kto w strasznych warunkach w Bangladeszu szyje dla nas śmiesznie tanie T-shirty? Przykro nam, bo jesteśmy wrażliwymi ludźmi, jak Kandyd. Ale jakoś zgadzamy się na tę cenę, bo nie my ją płacimy. Płacą inni. Jednak żeby móc z tym spokojnie żyć, musieliśmy – my, Europejczycy – uznać tych innych za jakby mniej ludzkich od nas.

Ten proces wykluczania ma korzenie w samym sercu europejskiej nowoczesności, u filozofów Oświecenia, w pewien sposób nawet u Kartezjusza. Jeśli o człowieczeństwie stanowi myśl, jeśli miarą jest racjonalny rozum, co z tymi, którzy wydają się nie dość racjonalni? Może są mniej ludźmi?

Przecież Europa rozwijała demokrację, koncepcję państwa prawa.

Ale od początku nie dla wszystkich. Trudno wprowadzać prawa obywatelskie w społeczeństwach, które czerpią zyski z niewolnictwa i kolonizacji, jak rewolucyjna Francja czy niepodległe Stany Zjednoczone.

Trzeba wznieść barierę między tymi, którym należą się prawa człowieka, a tymi, którzy mają nie mieć żadnych praw. Tak w XVIII w. powstała koncepcja ludzkich „ras" i ich hierarchii, a potem XIX-wieczny „rasizm naukowy". Przemoc została wypchnięta z Europy, na plantacje niewolników i kolonie. Przyzwalaliśmy na to. Zbudowaliśmy swoją kulturę i dobrobyt na podziale ludzkości.

Dziś oficjalnie potępiamy rasizm, ale wciąż wykwita on w takiej czy innej formie. Bo rasizm nie musi wynikać z niczyjej złej woli. Jest systemowy. I jak seksizm wciąż przynosi zysk. Komuś można zapłacić mniej, nie wywołując przy tym nadmiernych protestów.

Nie za szybko przechodzisz od niewinnego, a na pewno nieświadomego „ja" do winnego „my"? Ciągle myślę o Murzynku Bambo – fajnym kumplu.

Ano właśnie, to wszystko się zazębia. Dam ci przykład. Ruch obalania pomników sięga w tych tygodniach kolejnych państw. We Francji zrzucono jak dotąd dwa pomniki parlamentarzysty Victora Schœlchera, oba na Martynice. W 1848 r. Schœlcher przyłożył rękę do zniesienia niewolnictwa we Francji. Martynikańczycy w większości uważają, że był porządnym człowiekiem. Czemu więc grupa aktywistów zburzyła jego pomnik? Bo postać Schœlchera stoi na straży dawnej relacji dominacji. Jego pomniki kompletnie zacierają rolę tysięcy ludzi, którzy na Martynice walczyli i ginęli za swoją wolność. Zamiast ich pomników dostajemy opowieść o dziecku, nad którym pochyla się nobliwy starszy pan. Tak właśnie wyglądał jeden z tych zburzonych pomników – Schœlcher z dłonią na ramieniu czarnego chłopca.

Dość tej infantylizacji. Nikt nie życzy sobie być wiecznie sprowadzany do pozycji dziecka. Murzynek Bambo, owszem, jest „naszym koleżką". Ale kiedy będziesz zapisywał się do onkologa albo wybierał pracownika na kluczowe stanowisko, podświadomie nie wybierzesz tego, który przypomni ci Murzynka Bambo. Paternalizm i udziecinnianie są tak samo wykluczające jak otwarte przemocowe działania.

Ale skoro większości mieszkańców Martyniki pomnik Schœlchera odpowiadał, to czy jego niszczenie przez małą grupę aktywistów nie jest też przemocą?

To pytanie o sposoby wprowadzania społecznych zmian. Obawiam się, że aby dokonać zmiany, trzeba podważać konsensus i wprowadzać element zamętu.

Jeszcze niedawno na Martynice starsze pokolenia wolały nie mówić o niewolnictwie. Przeszłość otaczał wstyd. Aimé Césaire, radykalny myśliciel i poeta, zbudował koncepcję *négritude*, by przepracować to doświadczenie. Ale Césaire był przy tym pragmatycznym politykiem i uznał, że nie ma odwrotu od Francji. A Schœlcher był tym, co w tej Francji było najbardziej do przyjęcia, przynajmniej w ramach standardów jego czasów. Dziś jednak młode pokolenia domagają się nowych standardów. Bo Schœlcher był przeciw niewolnictwu, ale za kolonizacją.

Prezydent Macron napisał na Twitterze, że jest oburzony zbezczeszczeniem pomnika Schœlchera, który uosabia „wielkość Francji".

Francja jest wielka, bo zniosła na swoim terytorium niewolnictwo? A kto to niewolnictwo wcześniej ustanowił? Macron mówi językiem hegemonii i wyparcia. Kilka tygodni temu w Paryżu na zakazaną manifestację przeciw rasizmowi i przemocy policji przyszło 20 tys. młodych ludzi o wszystkich kolorach

skóry. Żądają zmian. Macron nie wydaje się na nie gotowy.

Pomnik pewnie wróci na miejsce, ale rozpoczęła się debata. Czy można się dziwić, że ludzie pozbawiani głosu przez kulturę większości chwytają się czasem metod, które mogą się wydać drastyczne lub przesadne? Inaczej jednak mogą nigdy nie zostać usłyszani. To samo dotyczy manifestacji w Stanach Zjednoczonych. Ale to państwo, które nie chroni swych obywateli, zrywa społeczny pakt.

Po niedawnym zniszczeniu w Bristolu pomnika Edwarda Colstona, handlarza niewolników i filantropa, dyskutują o tym Brytyjczycy. Pojawia się też argument, że pomniki są świadectwami dawnych wartości i hierarchii – nie tylko uhonorowaniem jakiejś postaci, ale również zapisem zmiennych dziejów. Może więc nie powinno się ich obalać?

Pomniki nie są jedynie zapisem przeszłości. One działają, teraz. To obiekty magiczne, które wywierają wpływ na teraźniejszość, określają wzory, wartościują. Wartości się jednak zmieniają i przestrzeń publiczna winna za tymi zmianami podążać. Czy chcielibyśmy na placu Bankowym w Warszawie patrzeć co dzień na Dzierżyńskiego? Są inne sposoby archiwizowania przeszłości, choćby muzea historyczne.

Ale Dzierżyński był zbrodniarzem, Schœlcher – nie.

To prawda. Myślę jednak, że kluczem do dyskusji o pomnikach nie jest przeszłość, ale teraźniejszość. To, jak te pomniki dziś ustanawiają relacje władzy. Co mówią zarówno dominującej, jak i zdominowanej części społeczeństwa.

Obalenie pomnika pozwala wyzwolić emocje. Czynem zakończyć upokorzenie i odzyskać godność. Bo pomniki mogą ranić i upokarzać.

Pomnik Jean-Baptiste'a Colberta, zasłużonego ministra, a przy tym autora tzw. czarnego kodeksu, czyli regulaminu niewolnictwa we Francji, stoi w Paryżu przed parlamentem. Dla obywateli, których przodkowie byli zniewoleni, oznacza to ból i upokorzenie. Jakby ustami Colberta mówiono im dziś z cokołu: „Nie obchodzi nas, co czujecie". A czują, że nie są pełnoprawną częścią tego państwa, skoro potrafi ono gloryfikować ludzi, którzy ich przodków traktowali jak towar.

> „Przygody Tomka Sawyera" i „W pustyni i w puszczy" **niech zostaną w bibliotekach,** ale nie w kanonie lektur.

Kilka lat temu dyskusja na temat szanowania pamięci i obecności innych odbyła się w Szwecji. Jej efektem było usuniecie książek o Tomku Sawyerze – i to nie tylko z listy lektur, ale nawet z bibliotek. To już przesada?

Myślę, że pamięć o rasizmie jest niezwykle ważna. Po II wojnie światowej polskie władze zacierały zarówno historię polskich Żydów, jak i historię polskiego antysemityzmu. To normalne, że antysemickich kawałków nie serwowano uczniom w podręcznikach. W efekcie jednak moje pokolenie, dorastające w późnym peerelu, nie miało żadnej świadomości, do jakiego stopnia w naszej kulturze obecny był ogląd świata oparty na antysemickich kliszach. Ileż to ja sama w młodości odbyłam rozmów, tłumacząc cudzoziemcom, że w Polsce antysemityzm był zjawiskiem wyjątkowym. Gdy sięgnęłam do międzywojennych gazet, przeżyłam szok.

I dlatego też dziś tylu Polaków – którzy do tych gazet nie sięgnęli – czuje się skrzywdzonych tym, co uważa za niesłuszne pomówienia. Politycy manipulują tym poczuciem urazy, co utrudnia nam ułożenie relacji ze światem. Co więcej, wiele tamtych klisz dziś powraca. Dlatego myślę, że o ile nie wolno uczyć antysemityzmu, trzeba uczyć o antysemityzmie. To samo dotyczy rasizmu i jego mechanizmów.

Tylko że tego można uczyć jedynie na tekstach kultury.

Tak, ale nie na lekcjach polskiego, lecz na historii. Uczmy więcej historii idei – skąd się wzięły, jak ewoluowały, jaką funkcję pełniły. A „Przygody Tomka Sawyera" i „W pustyni i w puszczy" niech zostaną w bibliotekach, ale nie w kanonie lektur.

Jako Polak mógłbym powiedzieć: nie miałem nic wspólnego z kolonializmem, nie zarabiałem na handlu ludźmi. Czy może jednak miałem?

I miałeś, i masz. Od zawsze byliśmy wpisani w europejski system ekonomiczny. Polska eksportowała nadmiar ludności na inne kontynenty. Polacy wyjeżdżający za chlebem korzystali z tamtych zasobów. W Brazylii i Stanach Zjednoczonych odbywało się to kosztem ludności rdzennej. Conrad, który pojechał do Konga, żeby wozić kość słoniową dla Belgów, też nie był jedynym Polakiem w europejskiej machinie kolonialnej.

Wciąż mam problem z tym łatwym przechodzeniem od „ja" do „my", i skakaniem między różnymi epokami.

Zgadzam się, chodzi o teraźniejszość. Wysłaliśmy wojska do Afganistanu i Iraku, bo wydawało nam się, że osiągniemy jakąś korzyść polityczną i ekonomiczną. Nosimy te T-shirty z Bangladeszu. Jak możemy mówić, że nie dotyczy nas sprawa uchodźców i migrantów? Jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy nagle zostali odcięci od świata, jego zasobów i pracy tych ludzi?

Nie chcę być ciągle w tej rozmowie adwokatem diabła, ale podział na umownych „lepszych" i „gorszych" działa na wielu poziomach. Także w Europie. Jeszcze do niedawna Polacy byli często zapatrzeni w Niemców, z kolei z góry traktowali – i wciąż traktują – swoich sąsiadów ze Wschodu.

Wiesz, dla mnie właśnie tu leży sedno „W pustyni i w puszczy" – Staś udowadnia Anglikowi, że się nadaje na zięcia.

To nasz kompleks: co zrobić, żeby wejść na równych prawach do „koncertu narodów"? I tu uczepiamy się naszej „białości". Sienkiewicz wysyła Stasia do Afryki – bo tylko tu, na tle ludów umieszczanych na dole kolonialnej hierarchii, może okazać się równy Anglikom. Sprawdza się w roli białego kolonizatora: poskramia przyrodę, rozsądza tubylców. Nel jest w niego wpatrzona i Staś zostaje przyjęty do rodziny pana Rawlisona. ↦

↦ W Anglii czy Francji XIX w. nawet najniższe białe klasy społeczne zaczęły żywić poczucie rasowej wyższości i dumy z imperialnej epopei. Wynagradzało im to w pewien sposób ich klasowe podporządkowanie. W podobny sposób Polacy chwytali się swojego uczestnictwa w „białości", bo pozwalało nam ono zapomnieć o naszym peryferyjnym miejscu w Europie. Polska kultura chłonęła ideologię kolonialną i odtwarzała ją w swojej kulturze. Czuliśmy się częścią imperialnej białej cywilizacji.

Wyobrażam sobie dziś taki pub. Szefem jest Anglik, na zmywaku pracuje Staszek. Jest podstępny Mahdi z Pakistanu i Kali z Nigerii, który jest kumplem Staszka – ale Staszek jest przekonany, że to on ożeni się z córką szefa, bo jest biały. Na szczęście świat zna dziś nieskończenie więcej scenariuszy. Angielka może wyjść za Nigeryjczyka, mer Londynu pochodzi z rodziny muzułmańskiej.

Polska nie miała kolonii, były natomiast Kresy. Czy to też był poligon odruchów kolonialnych, choćby nieświadomych?

Wielu historyków uważa, że możemy tu stosować narzędzia badawcze wykształcone przez badania postkolonialne. Mój dziadek w latach 30. minionego wieku został wysłany na Polesie jako leśniczy. Wszyscy ci polscy urzędnicy czy nauczyciele mieli reprezentować władzę i polonizować te tereny.

Specyficzna, półperyferyjna pozycja Polski sprawia jednak, że w historii byliśmy na różne sposoby i dominujący, i dominowani. Co ciekawe, kultura peerelowska, wzorem radzieckiej, była teoretycznie antykolonialna, w tym „braterstwie narodów" trwał jednak wciąż protekcjonalizm i hierarchia. Fascynującą postacią jest tu Arkady Fiedler, który wydaje książki i przed, i po wojnie. Okazuje się, że stylistyka „egzotycznej przygody" niewiele się zmienia. Te same dwuznaczności wciąż otaczają na przykład „egzotyczne" kobiety.

W „Rondzie de Gaulle'a" piszesz: „Od dawna patrzyliśmy na Afrykę szeroko otwartymi oczami. A ona, czemu nie, dawała nam wszystko, co pragnęliśmy zobaczyć. Każdemu według jego potrzeb. Znajdowaliśmy tu metaforę na wszystko – cały pejzaż wnętrza człowieka. Dwie strony, jasną i ciemną". Dopytam: kontrę czy lustrzane odbicie?

Pewnie i jedno, i drugie. Ale najsilniejszy pozostał chyba obraz Afryki jako naszego negatywu, miejsca, któremu przypisać możemy to wszystko, co w nas samych wydawało nam się ciemne i nieludzkie. Ten obraz najsilniej działa u Conrada.

„Jądro ciemności" jest książką dojmująco dwuznaczną, bo o ile boleśnie piętnuje najokrutniejsze przejawy kolonialnej przemocy, nie potępia nigdy idei kolonializmu. Więcej, buduje fascynujący i przerażający obraz tego „innego", człowieka/nieczłowieka, który ucieleśnia wszystko, co w nas samych „dzikie". Kiedy kilka lat temu Niemcy wysyłały delegację, by nadzorowała proces wyborczy w Kongu, prasa pisała, że jadą do „jądra ciemności". Conradowską metaforę podróży do mentalnego punktu istniejącego gdzieś w środku każdego z nas, do dziś projektuje się na konkretny punkt geografii i na jego mieszkańców. Tymczasem „radykalna inność" nie istnieje, ani tu, ani nigdzie indziej. Wszyscy jesteśmy trochę inni, a trochę podobni.

„Radykalna inność" nie istnieje,
ani tu, ani nigdzie indziej.
Wszyscy jesteśmy trochę inni,
a trochę podobni.

Czy zauważanie różnicy nie jest odruchem, elementem podstawowego opisu świata?

Owszem. Nie powinniśmy jednak mylić go z nadbudowaną na nim ideologią rasową, która w Europie ma szczególną historię.

Ta ideologia po II wojnie została zgodnie odrzucona. Niestety fakt, że pojęcie „rasy" wypadło z hukiem ze słownika polityków, nie znaczy, że naprawdę żyjemy w społeczeństwach „postrasowych". Zmieniły się tylko kategorie, na których opiera się dyskryminacja. Pojawiła się retoryka tzw. nieprzystających kultur. To dlatego współczesny rasizm nazywany bywa „rasizmem bez rasy". Piętnowane mniejszości nie muszą wyróżniać się wyglądem, żeby go doświadczać. I tak są „urasawiane". Jakby siłą rzeczy skrywały jakąś różnicę fizyczną, która rodzi poczucie zagrożenia. I która sprawia zarazem, że wykluczenie i eksploatacja wydają się bardziej naturalne.

Jeszcze niedawno na polskiej wsi mówiono o Ukraińcach, że mają czarne podniebienia. Jeśli słowo „ciapaty" zrobiło taką karierę, to dlatego, że chociaż pochodzi od placka chapati, to brzmi jak opis fizyczny – „kosmaty" czy „piegowaty".

Nowa opowieść o „nieprzystających kulturach" akceptowana bywa tymczasem nawet wśród tych, którzy uznają się za przeciwników rasizmu. Rasizm jest bowiem piętnowany jako przebrzmiały przesąd. Pozwala to wierzyć, że kryje się tylko wśród skrajnej prawicy lub rozgoryczonych klas najniższych. Takie odpolitycznienie rasizmu pozwala zatrzeć całą jego specyficzną europejską historię. Niewolnictwo, kolonializm, Zagłada, stosunek do migrantów – wszystko to może nie wydawać się już powtarzającymi się niepokojąco elementami polityki wielu europejskich państw, a tylko nieprzewidzianymi zaburzeniami na naszej drodze od Oświecenia do demokracji.

W rezultacie we Francji samo wyrażenie „rasizm instytucjonalny" zbywane bywa jako wyraz jakichś mniejszościowych paranoi. Tymczasem nowym terminem zastępczym stała się tam „migracja" – która łączy klasę społeczną i obce pochodzenie etniczne. Politycy manipulują obawami ludzi, strasząc migrantami i ich domniemaną odmiennością.

A to nie działa w dwie strony?

Oczywiście, stereotypy istnieją wszędzie. Świat niezachodni wie jednak znacznie więcej o nas niż my o nim. Ważne więc, byśmy i my poznawali ich perspektywy. I wyciągnęli z odmętów zapomnienia opowieści o realnym współdziałaniu. W polskiej historii to na przykład postawa Tadeusza Kościuszki i jego adiutanta Jeana Lapierre'a, który zamieszkał w Polsce. To także radykalny gest polskich legionistów Napoleona, którzy na Saint-Domingue przeszli na stronę czarnych powstańców i pozostali na wyspie. W historii Europy jest bardzo wiele postaci i wydarzeń, którym należy się miejsce w naszej pamięci i które nas mogą jednoczyć.

Mieszkający w Republice Południowej Afryki filozof Achille Mbembe uważa, że realna wspólnota naszego przeznaczenia powinna przeważyć nad kultem różnicy. Wzywa do pracy nad wspólną pamięcią, byśmy potrafili rozpoznać w sobie nawzajem fragmenty tej samej ludzkości.

Oprócz Conrada była jeszcze Karen Blixen i jej „Pożegnanie z Afryką". Czyli spojrzenie na tamten świat jak na dzieciństwo ludzkości. Szukanie w nim obrazu siebie.

Tak. Jednak sam zachwyt nad tym, co postrzegamy jako odmienność „innego", też jest jakimś rodzajem „uinniania". „Autentyczność" staje się towarem, dobrem, które konsumujemy.

Mówisz o wielkiej literaturze, ale druga fala kolonializmu przypadła na czas rozwoju kultury masowej i to przede wszystkim ona kształtowała europejską wyobraźnię. Pierwszymi masowymi spektaklami były wystawy ludzi „egzotycznych", na które w XIX-wiecznej Europie przychodziły setki tysięcy zwiedzających. Organizowano je często w ogrodach zoologicznych i botanicznych. W ten sposób również Polacy poznawali świat – przedzielony barierką na oglądanych i oglądających. Cała ta kultura masowa, która zniknęła z naszej pamięci, przekazywała i wpajała taki obraz.

Te barierki chyba najgłębiej zostały do dziś w języku. Kiedy w ubiegłym roku pod Addis Abebą rozbił się samolot etiopskich linii lotniczych, komentatorzy telewizyjni dziwili się, że są „dobre, choć afrykańskie".

Myślę, że w tej kwestii przed nami w Polsce jeszcze długa droga. Wszyscy się potykamy o stereotypy. Czemu na przykład mówimy w Europie o „wojnie domowej", w Afryce zaś – o „konflikcie plemiennym"? Chodzi o to, by tę naszą świadomość pchać do przodu, rozszerzać na inne perspektywy.

Jak?

Jedno jest absolutnie najważniejsze: realne otwarcie się na innych i zainteresowanie ich spojrzeniem. Możemy pozbyć się wszystkich raniących słów, możemy ubolewać nad uprzedzeniami zawartymi w naszej kulturze, możemy czynić wszelakie *mea culpa*. Ale dopóki nie dostrzeżemy podmiotowości drugiego

TOMASZ WIECH DLA „TP"

OLGA STANISŁAWSKA jest reporterką i eseistką. Zajmuje się m.in. dylematami społeczeństw wielokulturowych w Europie i na Bliskim Wschodzie. Autorka „Ronda de Gaulle'a", wyróżnionego Nagrodą Kościelskich reportażu z podróży po Afryce.

człowieka, nie zaczniemy oddawać mu głosu na jego warunkach, nie nauczymy się go słuchać i od niego się uczyć – nasza głęboka relacja się nie zmieni.

Dlatego marzę o kanonie lektur, w którym jest jak najwięcej perspektyw. Jeśli chcemy coś wiedzieć o rasizmie, czytajmy Toni Morrison, Jamesa Baldwina, Colsona Whiteheada, Reni Eddo-Lodge czy Frantza Fanona. Nie uważam, żebyśmy mieli prawo pisać tylko z perspektywy własnej historii – ignorowanie głosów opartych na doświadczeniu nigdy nie jest dobrym fundamentem.

No, a kiedy już coś piszemy, zadajmy sobie pytanie, jak to dla kogo zabrzmi. Czasem mam wrażenie, że w Polsce większość autorów pisze artykuły i książki w przeświadczeniu, że słowa pozostaną „między nami", w domniemanej wspólnocie, wolnej od „obcych". Przeczytałam kiedyś w artykule wstępnym do bardzo zasłużonego pisma zdanie, że winniśmy budować nasze relacje z Żydami na bazie zrozumienia. Autor nie sprecyzował, jakich „nas" miał na myśli. Tymczasem już tak sformułowana domyślna opozycja nakreśla granice. I stawia kogoś poza wspólnotą.

Czy wydarzenia ostatnich tygodni – antyrasistowskie przebudzenie w USA po śmierci George'a Floyda, a także następujące po nim akcje obalania pomników czy dyskusje o kanonie lektur – to przełom także w tej kwestii?

Chciałabym w to wierzyć. Jednak Malcolm X mówił, że rasizm jest jak cadillac – co roku produkują nowy model. Dzięki zmaganiom i walce, o której mówiliśmy, pewne wyrazy dyskryminacji wobec kobiet czy osób o innym kolorze skóry mogą odejść do przeszłości. Ale czy nie wyrosną nowe rodzaje wykluczenia? Biotechnologia daje nowe, niesamowite możliwości. Dostęp do niej, jak i do inżynierii genetycznej staje się kluczowym przywilejem. Przyszłość to podział na tych, którzy mają dostęp do zdrowia, i na tych, którzy go nie mają. Na nowe ciała, które będą jakoś chronione przed katastrofą klimatyczną, i te, które staną się jej pierwszymi ofiarami.

Mówi się już o przyszłym „apartheidzie klimatycznym".

Najwyższy czas zdać sobie sprawę, że naprawdę mamy tylko jeden, wspólny świat, nierozdzielną sieć wzajemnych relacji. I wiemy już, że ekonomia oparta na wyzysku, eksploatacji, ekstraktywizmie – czerpaniu zysków tak z ciał innych ludzi, jak z reszty przyrody – doprowadziła nas na skraj katastrofy.

Mam kłopot z określeniem „antropocen", które zdaje się sugerować, że to gatunek ludzki jako taki niszczy planetę. Tymczasem niszczy ją system wynaleziony przez pewną część tej ludzkości. Inna część ludzkości była i jest w tym systemie używana jako zasób naturalny. Dlatego bardziej trafia do mnie określenie: „kapitałocen". Czy to nie absurdalna idea nieograniczonego rozwoju, na jakiej zasadza się kapitalizm, doprowadziła nas do tego punktu, w którym pod znakiem zapytania stoi przyszłość ludzkiego życia na ziemi? Czas szukać innych idei, opartych tym razem na wzajemnej trosce.

Fakt, że poszerza się spektrum słyszalnych głosów – osób „urasawianych", nieheteronormatywnych, kobiet – niesie nadzieję. Potrzebujemy zasadniczej zmiany. A znalezienie miejsca na inne spuścizny kulturowe, tradycje, sposoby odczuwania i bycia razem – podobnie jak na świat pozaludzki – jest jej podstawowym warunkiem.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

Gdy gorszy Gombrowicz

WOJCIECH RUSINEK

Co robić z dziełami, które wydają się nam archaiczne, obce ideowo, a nawet skandaliczne? Radykalna korekta spisu lektur tego problemu nie rozwiązuje.

Lekcję w klasie maturalnej zacząłem od swobodnej rozmowy. „Co wydało się wam w powieści intrygujące, a co was odrzucało? Czy dostrzegliście w niej związek z aktualnymi kwestiami społecznymi, z prywatnymi dylematami?".

Przyznaję – mam szczęście. Uczę w szkole, w której jest wielu uczniów naprawdę czytających i chętnych do dyskusji. Tym razem jedna z uczennic wytknęła autorowi szowinistyczną wizję świata: przemoc wobec kobiet, trywializujący obraz bohaterek sprowadzonych do roli obiektów seksualnej agresji i społecznie zmarginalizowanych. Ten zarzut odnosił się także do przenikającej powieść przemocy, do odrażających i brutalnych relacji międzyludzkich.

Nie to pokolenie

O jakiej książce rozmawialiśmy? Nie, nie o „Potopie", ale o „Ferdydurke" Witolda Gombrowicza, utworze, który uchodzi za jedyny „wirus" buntu i wolności w konserwatywnym, bogoojczyźnianym kanonie. Jeszcze 15 lat temu ówczesny minister edukacji Roman Giertych próbował go „zastąpić" na przykład prozą Jana Dobraczyńskiego. Ikoniczny dla środowisk liberalnych Gombrowicz przywoływany jest jako odtrutka na tę „straszną", bo rasistowską i ksenofobiczną prozę Sienkiewicza. Tymczasem teraz, w oczach pokolenia, które aktywnie włącza się w strajki klimatyczne i marsze równości, otwarcie rozmawia o upokorzeniach związanych z szowinizmem, on także nie może liczyć na taryfę ulgową.

Z tej historii płynie kilka wniosków. Wybór tekstów kanonicznych oparty jest na jednokierunkowej transmisji informacji. Jako nauczyciel mogę porozmawiać z uczniami o wartości dzieła, zastanowić się, czy jest ono aktualne lub zwyczajnie interesujące, ostatecznie jednak wybór tytułów należy do garstki specjalistów. Nawet nie nauczycieli, bo tzw. konsultacje społeczne okazują się często fikcją, ale pracowników akademii lub polityków.

Najmniej do powiedzenia mają sami uczniowie. Ich głos często nas zawodzi. Masowa ankieta przeprowadzona kilka lat temu pokazała, że uczniowskie preferencje czytelnicze przede wszystkim reprodukują trendy ze świata seriali, filmów i gier. Jeśli jednak wsłuchalibyśmy się w opinie uczniów czytających świadomie – mogłyby się one okazać ożywcze dla kanonu.

Kanon, choć z wielu względów konieczny i ważny, nie ma jednej, jasno określonej, wiecznej substancji (np. narodowej) i teleologii (np. niekoniecznie służy tylko temu, by utwierdzać w kolejnych pokoleniach niezmienne wartości kulturowe), ale jest spojrzeniem na przeszłość zawsze uwikłanym w chwilę obecną. I jako taki podlega nieustannym rewizjom, tym silniejszym, im mocniejsze są konflikty w danej społeczności. Być może czekają nas dyskusje gwałtowniejsze od tej, która niedawno wybuchła po publikacji petycji domagającej się usunięcia z listy lektur „W pustyni i w puszczy". Być może za kilka lat będą je inicjować właśnie nasi uczniowie, którzy już dzisiaj dostrzegają w znanych nam książkach to, czego my nie potrafimy zobaczyć.

Kanon bez banałów

Powszechna i niesprawiedliwa niechęć do dzieł kanonicznych nie bierze się znikąd. Szkolny tryb interpretacji ma tak bardzo zachowawczy charakter, że zdolny jest zbanalizować i opakować we frazesy nawet pisarstwo Gombrowicza, a co dopiero dzieła mocno zakorzenione w polskim imaginarium.

Żal mi nieraz, jak stereotypowe są interpretacje dzieł nieoczywistych („Dziady cz. III"), jak nieciekawie przedstawiane są w podręcznikach teksty wybitne („Pan Tadeusz" czy „Lalka") i jak bardzo przemilczane bywają kwestie, o których dzisiaj naprawdę warto dyskutować (np. antysemityzm „Nie-Boskiej komedii"). Znamienne, że podręczniki proponujące odmienny zestaw tekstów i inny niż historycznoliteracki porządek poznawania literatury (np. „To lubię") zniknęły z rynku.

Nauczanie literatury w szkole jawi się więc jako zadanie problematyczne, domagające się ciągłego namysłu. I takim powinno być, jeśli czytanie arcydzieł i utworów kanonicznych ma być czymś więcej niż teatrem zwyczajowego „kultywowania tradycji".

Co zatem zrobić z dziełami, które wydają się nam dziś archaiczne, obce ideowo, a nawet skandaliczne? Nie jest rozwiązaniem (zwłaszcza na etapie szkoły ponadpostawowej) radykalna korekta spisu lektur i skreślanie tytułów budzących kontrowersje, mimo że ich wartość estetyczna jest niezaprzeczalna. Prędzej skłonny byłbym zrezygnować z tekstów „letnich", które trudno uaktualnić. Kluczowe bowiem jest nie to, co czytane będzie z uczniami, ale jak ta lektura będzie przebiegać.

Tradycyjny kanon? Oczywiście. Nie wyobrażam sobie poznania kulturowego i światopoglądowego charakteru współczesnej Polski, także mrocznych stron naszej przeszłości, bez znajomości historii literatury. Nauka o tym, że przemilczana, wstydliwa nieraz przeszłość i tak powróci, płynie zresztą z mającego pewne miejsce w kanonie „Wesela".

Problem w tym, że wciąż odtwarzamy te same koncepcje interpretacyjne. Być może winę za to ponosi brak innej niż tradycjonalistyczna, w miarę powszechnie akceptowanej filozofii nauczania literatury. Poprzednio obowiązująca podstawa programowa, wprowadzona za rządów Plaformy Obywatelskiej, odmieniała przez wszystkie przypadki „umiejętności". Było to zapewne odbicie pragmatycznego myślenia o szkole jako instytucji przede wszystkim przygotowującej do aktywności zawodowej. Nowa podstawa przywraca konserwatywną wizję literatury, choć trzeba przyznać, że ostatnio wprowadzono do kanonu jako obowiązkowe teksty Olgi Tokarczuk, Jacka Dukaja i Antoniego Libery.

Wiele wizji

Kolejny dylemat: czy da się w szkole czytać literaturę nowocześniej, na przykład

postkolonialnie, opierając się na obowiązującej liście lektur i własnych propozycjach nauczyciela?

Tak. Opowiadanie Tokarczuk „Profesor Andrews w Warszawie", choć wprowadzone do podstawy programowej zapewne z powodu tematyki stanu wojennego, może być świetnym pretekstem do rozmowy o kolonialnych stereotypach i autostereotypach. Kontrapunktem dla rasistowskich fragmentów prozy Sienkiewicza możemy uczynić jego nowelę „Sachem" – przygnębiającą opowieść o tym, jak kultura rozrywkowa staje się skuteczną bronią w rękach kolonizatorów i trywializuje cierpienie pokonanych.

Żal, że autorzy ostatniej reformy wycofali ze spisu lektur „Jądro ciemności" Josepha Conrada – i stało się to w Roku Conrada... Podobnie niezrozumiałe jest dla mnie przesunięcie całościowej lektury „Pana Tadeusza" z etapu licealnego do szkoły podstawowej. Szkoda, bo to właśnie Mickiewicz zarysowuje dużo ciekawszą od Sienkiewiczowskiej wizję polskości patriotycznej, akcentującej rolę tradycji, ale i nowocześnie egalitarnej, otwartej na zróżnicowanie etniczne i klasowe, przezwyciężającej negatywne strony dziedzictwa sarmackiego.

Charakter powszechnej edukacji wymaga chyba uwzględniania zróżnicowanej wrażliwości uczniów. Wprowadzanie do szkolnych praktyk interpretacyjnych radykalnej dekonstrukcji mitów narodowych, społecznych i płciowych może się wydawać pociągające, ale nie musi być powszechnie oczekiwane. Proste zastąpienie koncepcji konserwatywnej lewicową, emancypacyjną wizją literatury niekoniecznie odpowiada bliskiej mi idei społecznego konsensusu edukacyjnego.

SONIA GWÓŹDŹ-RUSINEK

WOJCIECH RUSINEK *(ur. 1981) jest krytykiem literackim, redaktorem dwutygodnika „artPapier" oraz nauczycielem języka polskiego w II LO im. M. Konopnickiej w Katowicach.*

Książki wciąż ważne

Z drugiej strony pewnych kart polskiej literatury nie sposób już uznawać za „specyficzny światopogląd". Nagromadzenie antysemickich, klasowych i mizoginistycznych przesądów w tzw. scenach w obozie rewolucji w „Nie-Boskiej komedii" Krasińskiego jest porażające. I co – pominąć je, sugerując uczniom, że ważniejsze są dylematy dotyczące dwuznacznej roli poezji w życiu twórcy? Skupić się na dyskusji wodzów rewolucji i arystokracji?

Jeśli coś jest dziś w „Nie-Boskiej..." aktualnego, to obok wyjątkowej na tle polskiej literatury romantycznej krytyki miłosnych iluzji, są to właśnie fragmenty, które brzmią, jakby były wypisami z internetowych forów alt-rightowców. Jak o nich nie rozmawiać, skoro wśród takich fobii i fantazmatów poruszamy się na co dzień? Idealne wydaje mi się zestawienie tych passusów z „Mendlem Gdańskim" Marii Konopnickiej, z precyzyjnie odrysowanym tam mechanizmem plotki prowadzącej do realnej przemocy, co w czasach fake-newsów i wypowiedzi stygmatyzujących mniejszości nabiera szczególnej aktualności.

Spór o „W pustyni i w puszczy" w zasadzie powinien nas cieszyć, niezależnie od tego, czy pomysł usunięcia tej powieści z listy lektur uznamy za próbę cenzurowania polskiej klasyki, czy – przeciwnie – za uzasadnioną rewizję uwzględniającą dzisiejszą wrażliwość na treści rasistowskie. Spór ten dowodzi przecież, że literaturę piękną traktujemy, pomimo rytualnych narzekań na upadek czytelnictwa, jako wciąż ważne narzędzie interpretacji świata i kształtowania zbiorowej wyobraźni. Może to ostatnia szansa przywrócenia do życia wielu tekstów zastygłych na wieki w konserwatywnym z natury kanonie szkolnym? ©

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Synowie Noego

„Oto Ja, Ja ustanawiam przymierze moje z wami i z potomstwem waszym po was” (Rdz 9, 9). Tymi słowy Bóg zwrócił się do Noego i jego synów. Przymierze, by mogło trwać, wymaga żywej pamięci. Pamięć zaczyna się w rodzinach. Od tego, jak ojcowie wychowają synów i jak synowie odnajdą się w dziedzictwie rodziców, zależy trwałość nauk, których Pan udzielił ludziom. Dlatego cała Księga Rodzaju jest historią rodzin edukujących swoich potomków tak, by o nich dbał Stwórca i by przekazywali tradycję.

Pierwsza była rodzina Noego i synowie: Szem, Jafet i Ham. Każde imię w Torze ma swoje znaczenie i ono wyznacza przeznaczenie. Szem oznacza „imię”. Pośród bogobojnych Żydów nie używa się innego określenia na greckie słowo „Bóg”, jak właśnie „Imię”. Słowo to może też oznaczać „znany”, „szanowany”. Jafet wiąże się z pięknem i otwartością, a Ham wywodzi się od słowa „gorący”, „ciepły”. Nie wiemy, co Noe myślał, nadając takie imiona potomkom. Wiemy, kim byli i jakie otrzymali od ojca błogosławieństwa.

Noe posadził winnicę. Z winogron zrobił wino. No i upił się, i padł na ziemię w swoim namiocie. Zobaczył go nagim Ham i powiedział o tym braciom. Zwykle określenie „zobaczyć nagość” oznacza „odbyć stosunek seksualny”. Nawet jeśli tak się nie stało, to zobaczywszy ojca nagiego, Ham okazał całkowity brak skrupułów. Nie wiedział, czym jest wstyd. A wstyd broni nas przed hańbą. Ham potraktował ojca bez szacunku, zobaczył go w słabości, pozbawił swoim spojrzeniem autorytetu i honoru. Jakby zdjął z niego wszelkie zasłony i przyznane Noemu miejsce sprawiedliwego w oczach Boga. Coś jest w geście Hama takiego, że czasem mówiono o psychicznej kastracji ojca.

Jakże inaczej zachowali się bracia Hama. Przykryli ojca, odwracając wzrok, by wygrała skromność i szacunek. Gdy Noe się obudził, dowiedział się, co mu najmłodszy syn uczynił, i w gniewie przeklął go oraz jego potomków. A jednym z nich był wnuk Kanaan i kolejni, wśród których znaleźli się Egipcjanie.

Cała historia biblijna jest zbudowana na tym przekleństwie. Hebrajczycy, potomkowie Szema, poniżali egipskich bogów i dostali przykazanie, by wytępić Kanaanejczyków oraz inne plemiona wywodzące się od Hama. Potomkowie Szema już jako Żydzi odzyskują po dziś dzień ziemię, którą swoją obecnością, miastami, drzewami splugawili niegdyś Hamici. Noe oznajmił: „Błogosławiony niech będzie Pan, Bóg Sema, a Kanaan niech będzie sługą jego” (9, 26). Wtedy dokonał się zasadniczy rozdział: jedni poszli drogą prowadzącą do Boga jedynego. Tego nauczał prawnuk Szema, Abraham. Druga linia wskazuje na bałwochwalców. Ten fundamentalny podział religijny dokonał się w pierwszej opisanej po potopie rodzinie i trwa w najlepsze do naszych czasów. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Trzy siostry

Bóg przez proroka Zachariasza mówi do swego ludu: „Sam będę bronił swego domu”, dlatego „wesel się bardzo, Syjonie! Wznoś okrzyki, Jerozolimo! Oto twój król przychodzi do ciebie, sprawiedliwy, zwycięski i pokorny, jedzie (...) na osiołku (...) jego władza będzie sięgała od morza do morza i od Eufratu aż po krańce ziemi. (...) Pan Bóg zadmie w róg i nadciągnie w huraganach południa”. Rzeczywiście, Pan przyszedł, ale nie towarzyszyły Mu żadne huragany. Niepostrzeżenie urodziła Go kobieta, własnoręcznie zarabiał na utrzymanie i umierał w straszliwych męczarniach. Garstka Jego zwolenników, a za nimi inni, uwierzyli Mu i w Jego ludzkim sposobie myślenia, mówienia oraz postępowania zobaczyli Boga. Od tamtej pory chrześcijanie, chcąc trzymać się Boga, szukają Go zarówno blisko siebie i w sobie, jak też bardzo daleko, w głębi dziejącej się rzeczywistości.

Tam też obecnie wiodą nas nie tylko teologowie, ale uczeni i artyści, współcześni następcy Mędrców ze Wschodu. Jeśli więc chcemy znaleźć Boga prawdziwego, a nie wymyślonego, trzeba trzymać się widzialnego świata, jednym słowem: materii. Nienowa to rzecz. Biblia przecież pokazuje, jak w przeszłości, a więc i obecnie, Bóg wytrwale otwierał rzeczywistość i stawiał znaki wskazujące drogę do Niego. Ta droga nie wyprowadza nas poza widzialny świat, poza materię, ale w jej głąb. W rozmowie Joanny Dzikowskiej z prof. Janem Sobczykiem na pytanie dziennikarki: „Czy z fizykiem wypada rozmawiać o Bogu?”, profesor odpowiedział: „Cała fizyka to takie zaglądanie panu Bogu przez ramię. To zdumiewające, że potrafimy dojść do wniosku, że coś musi istnieć (...) i nie mylimy się. Porządek wszechświata jest zdumiewający”.

Najpierw jednak słówko o zapewne korektorskim, ale znaczącym błędzie. Słowo „pan” w odniesieniu do Boga piszemy wielką literą, gdyż nie jest ono tutaj tytułem, ale zamiennikiem własnego imienia Boga Jahwe. Podobne potknięcia spotykamy, gdy chodzi o Kościół i kościół, Hostię i hostię, Ojca Świętego i ojca świętego, Bazylikę i bazylikę itp. Potknięcia te zapewne biorą się z nieznajomości zasad poprawnej pisowni, jeszcze bardziej z nieznajomości chrześcijańskiego świata, ale i z innego powodu. Sir James MacMillan mówi, że trzeba pamiętać, iż Beethoven był katolikiem, a sprowadzając jego muzykę do kwestii estetycznych, wypłukujemy z niej „boski pierwiastek”. W jednym z listów kompozytor wyznaje: „Nic nie jest większe od bliskości Boga i szerzenia Jego chwały pośród ludzi”. Tworzenie muzyki Beethoven uważał za powołanie i misję. Wygląda więc na to, że nauka, sztuka i religia, te trzy siostry – bywało: skłócone śmiertelnie – znowu zapragnęły zamieszkać razem i wskazywać drogę szukającym Sensu. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Nie sądźcie!

Gwałtownego ogarnie strach. Łagodny pozostanie spokojny.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Należy, w imię wielkiej miłości, praktykować drobną życzliwość.

HENRYK ELZENBERG

Wybrał PIOTR SIKORA

„Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni! Bo takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzą” – to pouczenie Jezusowe (zob. Mt 7, 1-2) przypomniała nam niedawno Liturgia. Stało się to akurat w dniu, w którym Kościół na całym świecie wspomina św. Tomasza More’a, i to wspomnienie wywołało z mojej pamięci szczególny komentarz do słów Pana. Jezusowe „nie sądźcie!” Tomasz wypełnił w sposób radykalny i, co więcej, pozytywny. Nie tylko jako rezygnację z (najczęściej zbyt łatwego) oceniania i etykietowania innych, ale jako afirmację wolności sumienia drugiego człowieka.

A oto, jak mi się wydaje, najmocniejszy przykład owego radykalizmu: siedząc w Tower (przez 16 miesięcy) i oczekując na wyrok (a następnie egzekucję), Tomasz napisał dwa listy do spowiednika i kapelana króla Henryka VIII, ks. Mikołaja Wilsona. Ksiądz Wilson, podobnie jak Tomasz, odmówił złożenia przysięgi uznającej króla głową Kościoła w Anglii (z listów wynika zresztą, że wielokrotnie, jeszcze na wolności, o tej kwestii dyskutowali) i – konsekwentnie, tak samo jak Tomasz – również został uwięziony w Tower. W więzieniu wszakże – w przeciwieństwie do Morusa – załamał się i postanowił złożyć żądaną przysięgę.

Tomasz napisał do niego: „Dochodzi do mnie różnymi drogami, że obiecałeś złożyć przysięgę, błagam zatem naszego Pana, by ci w tym poszczęścił. Nigdy w swoim życiu nie radziłem żadnemu człowiekowi czegoś przeciwnego, ani nigdy nie używałem żadnych sposobów, żeby obudzić w sumieniu innych ludzi skrupuły dotyczące tej sprawy. Domyślam się, że byłbyś zadowolony wiedząc, co ja zamierzam uczynić, ale wiesz dobrze, co ci powiedziałem, kiedy byliśmy obaj na wolności, że nie będę dowiadywał się o twoją opinię ani o opinię żadnego innego człowieka: ani też ty, ani nikt inny nie będzie znał mojej... ale pozostawiając każdego innego człowieka jego własnemu sumieniu, sam chcę z łaską Bożą iść za swoim” – to z pierwszego listu. I jeszcze fragment drugiego: „Nie jestem tak zuchwały czy zarozumiały, by ganić lub potępiać sumienie innych ludzi, ich szczerość albo wiedzę: nie mieszam się do niczyich spraw z wyjątkiem własnych, nie będę wdzierał się do sumienia żadnego innego człowieka oprócz własnego. A w nim (błagam Boga o litość) dość jest spraw mego własnego życia, by o nich myśleć (...). Błagam Go [Boga] serdecznie, żeby dał twojemu sercu spokój i uciszenie zgodnie ze swą wolą i ku wiecznemu szczęściu twojej duszy; ufam, zaprawdę, że to wkrótce uczyni”.

Taki właśnie radykalizm „nie sądźcie!” nieomylną decyzją Piusa XI Kościół kanonizował w roku 1935. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (5 – 12 VII)

14. niedziela zwykła: Za 9, 9-10; Ps 145; Rz 8, 9. 11-13; Mt 11, 25-30;
Poniedziałek: Iz 58, 6-10; Ps 98; J 4, 34-38;
Wtorek: Oz 8, 4-7. 11-13; Ps 115; Mt 9, 32-38;
Środa: Oz 10, 1-3. 7-8. 12; Ps 105; Mt 10, 1-7;
Czwartek: Oz 11, 1-4. 8c-9; Ps 80; Mt 10, 7-15;
Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 51; Mt 10, 16-23;
Sobota, św. Benedykta, patrona Europy: Prz 2, 1-9; Ps 34; Dz 4, 32-35; Mt 19, 27-29;
15. niedziela zwykła: Iz 55, 10-11; Ps 65; Rz 8, 18-23; Mt 13, 1-23.

KRAJ

ZARZĄDZANIE RÓŻNICAMI

W tym sezonie politycznym nosi się bunt. Żyjemy w dziwnej parodii „Gwiezdnych wojen", w której po odległej galaktyce ganiają się sami rebelianci.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Najpierw rysujemy koło. Potem dzielimy je na kawałki. Jak ciasto albo pizzę. Tutaj Andrzej Duda, tu Rafał Trzaskowski, tu kandydat lewicy, tam prawicy, a tu swój skrawek wyciął zupełnie nowy zawodnik bez politycznej afiliacji. Znamy ten obraz z telewizji. Tyle że tym razem to nie wykres kołowy pokazujący rozkład poparcia. To bardziej źródłowy od niego, niewidoczny zazwyczaj diagram ukazujący podział przestrzeni znaczeń.

W ten sposób w kampanii wyborczej kandydaci dzielą między siebie kolory, hasła, typy charakterologiczne, stanowiska wobec kluczowych kwestii polaryzujących opinię publiczną, a także, w coraz większym stopniu, media i gatunki wypowiedzi. Ten jest ulubieńcem telewizji, tamten świetnie sobie radzi na Facebooku, inny wreszcie najlepiej odnajduje się na kameralnych, bezpośrednich spotkaniach z wyborcami. Dla kogo zabraknie miejsca, ten odpada z gry.

Ten jedyny i masa tamtych

Marcin Makowski ubolewał niedawno na stronie Wirtualnej Polski, że kampania Andrzeja Dudy przypomina strategię Imperium z „Gwiezdnych wojen", które „po przejściach w bitwie o Yavin (czyt. Senat), buduje drugą, lepszą Gwiazdę Śmierci", podczas gdy Rafał Trzaskowski „stawia (...) na nową nadzieję". Za porównanie z uniwersum Lucasa należą się oczywiście wyrazy szacunku, ale ja powiedziałbym raczej, że żyjemy w dziwnej parodii „Gwiezdnych wojen", w której po odległej galaktyce ganiają się sami rebelianci.

Andrzej Duda to rebelia przeciw układowi, który walczy o zachowanie swoich wpływów w Polsce. Rafał Trzaskowski to rebelia przeciw PiS. Szymon Hołownia, jako człowiek z zewnątrz, opiera swoją kampanię na buncie wobec całej polityki i polityków w ogóle. Krzysztof Bosak walczy z tyranią politycznej poprawności, Robert Biedroń – z prawicowym, neoliberalnym konsensusem. Władysław Kosiniak-Kamysz wreszcie przedstawia się jako samotny głos rozsądku, dążący do „wspólnego zakończenia" (fraza-klucz jego kampanii) „bratobójczej wojny w Polsce", „politycznej wojny domowej", „sporu" albo „chaosu".

Dzięki takiemu postawieniu sprawy każdy kandydat okazuje się w jakimś sensie „tym jedynym", przeciwników zaś może pozbawić różnicy, sprowadzając ich do nierozróżnialnej masy. Z punktu widzenia Dudy wszyscy konkurenci reprezentują „układ" lub służącą mu „totalną opozycję". Zwolennicy Trzaskowskiego przekonują, że kto nie jest z nimi, ten jest z PiS. Dla Hołowni wszyscy pozostali kandydaci to po prostu „politycy" (słowo używane jak obelga). Wszyscy poza Bosakiem są lewicą, wszyscy poza Biedroniem – prawicą. Kosiniaka-Kamysza otacza zaś kłębowisko sczepionych w walce, zaciętych adwersarzy przypominających kotłujące się koty z kreskówki. To właśnie przepis na zaistnienie na politycznej szachownicy, Święty Graal polityki. Stać się jedynym, który się różni od pozostałych.

A jednak różnice budować można wyłącznie na fundamencie podobieństwa. Nie ma sensu rozprawiać o przewagach marynowanego śledzia nad obrazami van Gogha. W omawianym przypadku to właśnie idea buntu stała się kluczową płaszczyzną porozumienia, na której możliwa staje się niezgoda. Polskie życie publiczne organizuje retoryka sprzeciwu wobec „potężnego, złowrogiego konsensusu". Różnie można ten konsensus definiować, ale wszyscy zgadzają się co do

ANDRZEJ HULIMKA / REPORTER

Korytarz Sejmu, Warszawa, styczeń 2016 r.

tego, że trzeba go obalić. Każdy chce wysadzić Gwiazdę Śmierci. Nikt nie obiecuje wieloletniej, wytrwałej budowy Imperium. Każdy z kandydatów stara się nas przekonać, że to właśnie on jest prawdziwym buntownikiem. Dla każdego walka jest ostateczna, a świat – bardzo manichejski. Nawet Hołownia i Kosiniak-Kamysz, najsilniej akcentujący tożsamość „zwykłych Polaków zmęczonych jałowym sporem", rysują wyraźne granice między własną rebelią a wszechogarniającym, złowrogim Imperium Politycznego Sporu.

Monarcha i zbawca

Polityka jest jak język. Ma swój słownik – każdy kandydat odnosi się do wyborców, których reprezentuje, i do programu, który przedstawia. Ale polityka ma też, jak widzieliśmy przed chwilą, swoją gramatykę czy składnię, w ramach której poszczególne ugrupowania czy kandydaci odnoszą się do siebie wzajem. Sukces w kampanii jest wypadkową tych dwóch czynników. Można mieć świetny program, który w innych okolicznościach trafiłby do wielu wyborców, ale nie znaleźć dla siebie niszy w ramach dostępnych przestrzeni sporu.

Mechanizm ten opisał doskonale Bernard Manin, francuski filozof polityki i autor klasycznej pracy „Principes du gouvernement représentatif" (Zasady rządu reprezentatywnego): „Trzeba podkreślić, że kampania wyborcza jest procesem reklamowym. Eksponuje ona pewne obrazy przeciw innym. Błędem byłoby jednak którykolwiek z nich rozważać oddzielnie. Wyborcom przedstawia się kilka rywalizujących obrazów. Każdy z nich jest mocno rozmyty, lecz nie są one całkiem niezdeterminowane lub pozbawione granic, gdyż kampania wyborcza tworzy system różnic. Jest więc przynajmniej jedna rzecz, której obraz kandydata nie może denotować – obraz jego politycznego rywala".

Skuteczna polityka okazuje się więc sztuką tworzenia różnic i zarządzania nimi.

Andrzej Duda to monarcha. Jest prawowitym władcą, a jego opisywany wcześniej bunt jest sprzeciwem wobec uzurpatorów, spiskowców, fałszywych pretendentów, a także obcych mocarstw. Zgodnie z popularną marketingową teorią archetypów przedstawioną w książce Margaret Mark i Carol S. Pearson „The Hero and the Outlaw" (Bohater i buntownik) władca jest gwarantem porządku przeciw chaosowi. Jeżeli odrzucimy jego rządy, grozi nam upadek świata i ponowne pożarcie przez siły ciemności.

Dlatego właśnie pojęciem-kluczem, wokół którego zbudowana jest kampania Andrzeja Dudy, jest „porządek". Nie pada ono wprawdzie wprost w przekazie kandydata, organizuje jednak jego spoty i kampanijne spotkania... Przemówienia walczącego o reelekcję prezydenta to opowieść o utrzymywaniu kruchego ładu przeciw złowrogim siłom nieporządku czyhającym tuż za granicą królestwa.

Rafał Trzaskowski to zbawca. Rycerz na białym koniu, który pojawił się nieoczekiwanie, w ostatniej chwili i wbrew wszelkim szansom zamierza obalić potężniejszego przeciwnika. To archetyp związany z nadzieją i zmianą. Ktoś, komu kibicujemy sercem, trochę wbrew temu, co podpowiada rozsądek.

Szymon Hołownia to także buntownik, ale buntownik ludowy. Jeżeli Trzaskowski jest rycerzem prowadzonym przez przeznaczenie, tym, który urodził się, by przynieść zmianę, to Hołownia jest rebeliantem niespodziewanym. Trybunem ludowym, Robin Hoodem czy Janosikiem. Zwykłym człowiekiem, który broni sobie podobnych przed klasą polityków.

Doskonale uzupełniał go Krzysztof Bosak, który jako jedyny starał się w tej kampanii zaprezentować jako polityk. Tam, gdzie inni poszukują archetypów ↦

↦ związanych z naturalnością, buntem albo władzą przekraczającą ramy doraźnej polityki, Bosak bardzo otwarcie akceptuje zasady politycznej gry (potem wyjaśnię, dlaczego mu się to opłaca).

Robert Biedroń miał w tej materii problem. Został wypchnięty z ringu przez Trzaskowskiego. Jego image „polskiego Macrona" zbudowany był na tym samym zestawie cech, który teraz lepiej ucieleśnia kandydat KO.

Z kolei Władysław Kosiniak-Kamysz to mimo młodego wieku archetypiczny mędrzec. W bieżącym sporze symbolizuje zakorzenienie w tradycji, trwałość wspólnoty, a także jej przetrwanie pomimo burzliwej rzeczywistości.

Media i gatunki

Zakończona kampania była o tyle ciekawa, że kandydaci podzielili między siebie nie tylko propozycje programowe, lecz także to, co za rosyjskim literaturoznawcą Michaiłem Bachtinem nazwać byśmy mogli „gatunkami mowy" lub szerzej „formami medialnymi".

Andrzej Duda gra zawsze na własnym boisku. Głównym gatunkiem jego kampanii była wizyta gospodarska. To złożona forma widowiska kulturowego, sprawdzająca się zarówno w realiach, jak i na ekranie. W ramach takiej wizyty władca odwiedza pewne miejsce „zstępując w lokalność" i wyraża ojcowską troskę gwarantującą pomyślność.

Kusi oczywiście, by gatunek ten potraktować szyderczo, osadzając go wyłącznie w świeżej, niezbyt chlubnej tradycji wiosek potiomkinowskich i malowania trawy na zielono. To błąd. Wizyta gospodarska ugruntowana jest w magii prastarych plemiennych rytuałów, posługuje się znakami i kodami zaczerpniętymi z ceremoniałów średniowiecznej monarchii. Zstępując do swych poddanych Andrzej Duda ugruntowywał więc pozycję prawowitego króla. Nawet rażąca niesprawiedliwość debaty w TVP mogła grać na korzyść urzędującego prezydenta: miał okazję zaprezentować się jako ten, wobec kogo wykonuje się wiernopoddańcze gesty. Ich niezdarność wcale nie musi obciążać władcy. Przecież na widok króla ludzie padają na kolana, tracą rozum i zaczynają bełkotać.

Rafał Trzaskowski doskonale radzi sobie w ramach typowych dla kampanii politycznej gatunków takich jak wiec czy konwencja. Ich wspólnym mianownikiem jest „wyreżyserowana spontaniczność". To bardzo fortunny wybór. Lokując się w polu „nowoczesność" i „profesjonalizm" Trzaskowski spycha Dudę w rejony „przeżytku" i „zaściankowości". Im mocniej Trzaskowski przejmuje „spontaniczność", tym silniej wizyty gospodarskie Dudy kojarzą się z czymś „wymuszonym".

> Jeżeli ktoś nieustannie powtarza, **że nie jest radykałem,** natychmiast powinna nam się zapalić ostrzegawcza lampka.

Półtora roku temu (choć wydaje się, że minęła wieczność!) Robert Biedroń zakładał Wiosnę, dokonując autodefinicji w ramach tego samego paradygmatu. Przedstawiał się jako polityk nowoczesny i europejski, który porywa tłumy charyzmą i błyskotliwością. Jego spontaniczność błyszczała najjaśniej na doskonale oświetlonej scenie. Wybrzmiewała najpełniej przy akompaniamencie starannie dobranej muzyki, zapewne po testach z grupą fokusową, pozwalających ustalić, które spontaniczne powitanie sprawdzi się najlepiej.

Abstrahując od popełnionych błędów, od programu i osobowości – Biedroń miał po prostu pecha. Wybuch epidemii uniemożliwił prowadzenie kampanii z rozmachem, który podkreśliłby jego największe atuty. A kiedy kipiące entuzjazmem, wysokobudżetowe wiece i konwencje stały się znów możliwe – scenę zajął nieoczekiwanie Trzaskowski.

Jeżdżę po kraju od lat

Szymon Hołownia jako buntownik ludowy opanował do perfekcji dwa nieoczywiste gatunki. Po pierwsze kameralne spotkania, które nie tylko pozwalały kandydatowi dotrzeć do małych miejscowości, ale też – co zapewne ważniejsze – przedstawić się w ogólnokrajowych mediach jako ten, który niestrudzenie objeżdża Polskę powiatową. Warto zwrócić uwagę, że od początku kampanii była to uniwersalna odpowiedź Hołowni na wiele pytań. Nie mam doświadczenia? Ależ panie redaktorze... „Jeżdżę po Polsce od lat i widzę...", „odbywam rocznie około dwustu spotkań", „spotkałem dziesiątki tysięcy Polaków". Na tych spotkaniach ludzie mówią Hołowni „jak jest", dzięki czemu mógł się on prezentować jako polityk-medium – ten, który wyraża głos ludu.

Przy okazji spychał wszystkich konkurentów w narożnik jako wyalienowanych polityków, którzy nie rozmawiają z ludźmi. W ten sposób Hołownia przeniósł na zupełnie nowy poziom genialny w swej prostocie pomysł z „napotkanym zwykłym człowiekiem". To strategia, którą polscy politycy wykorzystują od dawna. Jadąc do studia telewizyjnego posłanki, senatorowie i samorządowcy zawsze rozmawiają z taksówkarzem albo panią z piekarni, którzy przypadkiem proszą ich o coś, co i tak zamierzali zrobić, albo przekazują im dokładnie to, co sami akurat chcieli powiedzieć. Hołownię jeszcze silniej zdefiniował drugi gatunek – live'y na Facebooku. W ramach transmisji na żywo kandydat krzyczał, śmiał się, a nawet płakał nad konstytucją. To budowało aurę spontaniczności i bezpośredniości. Dzięki nim kandydat ugruntował pozycję bliskiego zwykłym ludziom.

Krzysztof Bosak to także polityk zdolny do podtrzymywania rozległej, oddolnej mobilizacji. Widać to zarówno na ulicach, jak i w internecie. W przeciwieństwie do Hołowni, którego internetowe pospolite ruszenie przypomina na razie nieco krucjatę dziecięcą i nie bardzo wiadomo, czy przetrwa tę kampanię, internetowa i terenowa siła Bosaka to prawdziwe rzymskie legiony. Oddolne zaplecze Konfederacji cechuje nie tylko pomysłowość i spontaniczność, lecz także skuteczność i sprawność działania. Nie dziwne więc, że Bosak jest szeroko i życzliwie reprezentowany w internetowym folklorze.

Warto też podkreślić, że Bosak doskonale sprawdza się na konferencjach prasowych. Zachowuje zimną krew nawet wówczas, gdy zakłócają je nieproszeni goście. Gdy na przykład europoseł Radosław Sikorski postanowił wtrącić swoje trzy grosze podczas konferencji Bosaka przed siedzibą Komisji Europejskiej, kandydat Konfederacji poradził sobie wyśmienicie. A jego internetowi poplecznicy zadbali, by film zyskał setki tysięcy wyświetleń. Wzorowa współpraca!

I wreszcie Władysław Kosiniak-Kamysz, który najlepiej wypadł na bill-

boardach. Wielkoformatowe plakaty z napisem „Wygramy tę walkę” to współczesne kolumny morowe. Spoglądały na nas z góry w najciemniejszej godzinie kryzysu, dodając otuchy i obiecując, że będzie dobrze, że zaraza nas ominie. Sam kandydat zdołał się tym samym związać z fundamentalną wartością, jaką jest „przetrwanie”. Każdy historyk polityki zgodzi się, że to wartość spójna z dziejami PSL.

Nie jestem radykałem

Andrzej Duda walczył nie tylko o kolejną kadencję, lecz także o zachowanie *status quo*. Podtrzymanie władzy PiS, utrzymanie dobrej zmiany, niedopuszczenie do wyłomu w semantycznych i instytucjonalnych fortyfikacjach. Walka o reelekcję toczyła się zgodnie z narracją „przeszliśmy długą drogę – przetrwamy kryzys – będziemy iść dalej”. Trwające wybory były więc momentem próby, której pomyślne przejście pozwoli kontynuować marsz ku lepszemu. Przy okazji ryzyko utraty władzy zostało sprytnie zestawione z trwającą epidemią, a polityczni adwersarze w pewnym stopniu utożsamieni z przerażającym wirusem jako to, co zagraża ciągłości narracji.

Pod tym względem Rafał Trzaskowski był prawie doskonałym przeciwieństwem urzędującego prezydenta. To ważny klucz do sukcesu! Trzaskowski, dzięki poparciu największej partii opozycyjnej, zdołał się ustawić na pozycji jedynego, który może zatrzymać PiS, dając nadzieję na wyłom i początek końca. Jego kampania zorganizowana była wokół narracji domino – „zróbmy ten pierwszy krok, a dalej pójdzie już samo”.

Trudno odgadnąć, o co właściwie grał Szymon Hołownia. Wkrótce się zapewne dowiemy. Czy zdołał wprowadzić do debaty jakieś nowe jakości i tematy? Czy dał radę włożyć stopę w drzwi i stworzyć sobie szansę wejścia do dalszej gry politycznej? Czy, jak wielu przed nim, udaną kampanią prezydencką położył fundament pod budowę środowiska politycznego zorganizowanego wokół charyzmatycznego lidera?

Krzysztof Bosak grał w tych wyborach o bardzo wysoką stawkę. Choć, tak jak wszyscy kandydaci, uwielbiał powtarzać, że jest „jedyną realną alternatywą”, choć konsekwentnie budował swoją tożsamość na opowiadaniu o wolności gospodarczej, to prawdziwym celem jego kampanii nie było zostanie prezydentem, lecz normalizacja Konfederacji. Bosak grał o etykietę „zwyczajnych polityków” dla siebie i dla swojego środowiska. Walczył o to, by wyborcy zapomnieli o rasistowskich i mizoginicznych wypowiedziach Janusza Korwin-Mikkego i o spiskowych teoriach Grzegorza Brauna tropiącego tajną żydowską bazę pod aquaparkiem w Mszczonowie.

Dlatego właśnie „nie jesteśmy radykałami” to jedna z najczęściej powtarzanych przez niego fraz. Wybitny filozof polityki świata „Gry o tron” Lord Tywin Lannister twierdził, że „człowiek, który musi powtarzać, że jest prawdziwym królem, z pewnością nie jest prawdziwym królem”. Podobnie, jak wierzę, jest z radykałami. Jeżeli ktoś nieustannie powtarza, że nie jest radykałem, natychmiast powinna nam się zapalić ostrzegawcza lampka.

Władysław Kosiniak-Kamysz walczył nie tylko o pierwszy w III RP porządny wynik kandydata PSL w wyborach prezydenckich, ale także o scementowanie nowej formacji wbijającej się klinem między PO i PiS. Początkowo wiele wskazywało na to, że oba te cele uda się osiągnąć. Choć kolejne zawirowania burzliwej kampanii zweryfikowały ambicję bardzo dobrego wyniku, to sam Kosiniak-Kamysz umocnił swoją pozycję rozsądnego, a zarazem charyzmatycznego kandydata środka. Po tych wyborach w skali całego społeczeństwa może stać się „pierwszym wyborem numer dwa” – najlepszą alternatywą, gdyby coś się stało z numerem jeden. To nie jest wcale zła pozycja!

Nie można tego powiedzieć o Robercie Biedroniu. Politolodzy bieglejsi ode mnie w analizie koterii, układów i wewnątrzpartyjnych przepychanek przekonywali, że do kandydowania wypchnęli go podstępnie Adrian Zandberg i Włodzimierz Czarzasty, licząc na zgubę koalicjanta i umocnienie własnej pozycji. Z mojej perspektywy takie zakulisowe historie są zawsze tyleż ciekawe, co nieweryfikowalne. Nie mam pojęcia, czy tak było, czy nie. W języku znaków, który mogę badać, nie znalazło to żadnego odbicia.

Z pewnością można jednak powiedzieć, że Robert Biedroń walczył nie tylko o wykrojenie dla Lewicy jak największego kawałka politycznego tortu, ale o takie przedefiniowanie osi sporu, które by w ogóle pozwoliło jej zaistnieć. Niestety, w kampanii nie udało się wypromować nowych tematów, w których Lewica miałaby ciekawe rzeczy do powiedzenia (nierówności, nowe wymiary współpracy międzynarodowej, nadchodząca katastrofa klimatyczna). Zamiast tego Biedroń dał się sprowadzić do roli „gorszego Trzaskowskiego”. Drugiego rycerza, w mniej lśniącej zbroi i na mniej białym koniu, który pod grotę smoka przyjechał spóźniony.

KTO ZWYCIĘŻYŁ? Nie wiem. W niedzielę poszliśmy do urn. Wszystko jest już jasne. Każdy już wie, kto wygrał, kto przegrał, kto rozczarował, a kto nieoczekiwanie zaimponował wynikiem. Każdy, poza mną.

U mnie już na zawsze jest czwartek wieczór, moment, gdy wysyłam artykuł do redakcji. Cykl wydawniczy „Tygodnika” sprawił, że gdy czytelnik sięga po ten tekst, dzieli nas przepaść. Może jednak udało nam się przekuć tę niedogodność w atut? Zamiast mówić o wyniku, który jest już oczywisty, porozmawialiśmy o tym, w co w ogóle grali zawodnicy. To ważne. Bo choć pierwsza tura już minęła, to gra toczy się dalej.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

REKLAMA

www.skup.tezeusz.pl, tel. +48 539 915 890
skup i sprzedaż książek – www.tezeusz.pl

Sprzedaj i kupuj używane książki w Tezeuszu – największym antykwariacie w Polsce!
Działamy na terenie całego kraju! Dojeżdżamy bezpłatnie! Płacimy gotówką!

Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na www.skupksiazek.pl

MARTA SAPAŁA

Topola w parku Wielkopolskim w Warszawie

Notre Dame de Ochota

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Nie da się zapłacić topoli, by rosła szybciej. Często nie docenia się tej cierpliwej pracy natury, której nie kupi przecież za całe swoje pieniądze Jeff Bezos.

Na moim podwórku żyje czereśnia. Właściwie dożywa już swoich lat. Na konarach i pniu rozsiadły się grzyby, a jej wnętrze toczą pewnie niewidoczne choroby. Lubię to drzewo. Jest rozłożyste, daje cień i pięknie kwitnie wiosną. Jakby się zapatrzyło na impresjonistów, szczególnie na Pissarra. Co roku w jej konarach zakłada gniazdo sroka. Wiosną ptaki robią się bardziej skryte. Nie budzi mnie już codziennie ich ostrzegawczy terkot jak salwa z karabinu maszynowego. Przemykają bezgłośnie i szybko chowają się w swoim zadaszonym koszu z patyków. Może wysiadują już jajka?

W życiu zwierząt nie ma czasu na urlop, na chwilę oddechu, codzienność wypełniona jest walką o przetrwanie. Codziennie wymykają się śmierci. 8 kwietnia zapanowała żałoba. Rano znalazłem podwórkową srokę potrąconą przez samochód. Drugi ptak czekał. Przez parę dni przesiadywał na parapetach, rozglądał się, niecierpliwie podrzucał długi, lśniący ogon. A potem odleciał. Schodziłem po schodach i przez okno widziałem, że przy porzuconym gnieździe kręci się grzywacz. Czy spróbuje wykorzystać jakoś tę stertę gałęzi? On też mnie zauważył. Patrzył na mnie swoją rozszerzoną, czarną źrenicą i wyciągnął już szyję, gotowy do ucieczki. Jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

Nie będę tak stał, zejdę piętro niżej, może się trochę uspokoi, a ja z innej perspektywy popatrzę, co planuje. Ale piętro niżej grzywacza już nie było na drzewie. Bujała się tylko poruszona gałązka. Ostatni ślad naszego spotkania. Ile zwierząt znalazło schronienie w liściach tej czereśni przez kilkadziesiąt lat jej życia? Czas drzew jest inny. Nie mierzy się ludzką miarą. Dla nas ich nieruchome trwanie jest oczywiste. Są jak kamienie, jak rzeki, jak miasta. Trudno nam to pojąć, że choć nieruchome, przecież żyją. Pod korą tkanki pompują wodę, przewodzą cukry, liście łapczywie chłoną z powietrza dwutlenek węgla.

Kilkadziesiąt lat tej czereśni to przecież dosyć niewiele jak na możliwości drzew. A jednak wyobraźmy sobie niewyobrażalne, że za Gierka, a może jeszcze za Gomułki, ktoś posadził tu smukłą tyczkę sadzonki. I drzewko nie miało już wyboru. Ktoś zdecydował o jego losie. O tym, że przez następne lata przyzwyczajać się będzie do słońca o ściśle określonej porze. Wiosną między trzynastą a siedemnastą. Do wąwozu podwórka i słabych podmuchów wiatru. Do podmurówki płotu, która przygniotła połowę korzeni. Czereśnia wiedziała jedno – że przecież nie może uciec, że może się tylko przystosować. Jeżeli miejsce jest słabe – trudno. Trzeba walczyć.

Czereśnia jak czereśnia, w mojej okolicy rośnie dużo pięknych drzew. Ale niektóre wyrastają ponad korony innych.

Jest w moim parku topola czarna. Wysoka na 20 metrów, góruje nad okolicą. Odwiedzam ją codziennie, codziennie też dotykam jej pnia. W niespokojnych czasach stare drzewo daje kojące poczucie, że pewne rzeczy są niezmienne. Przynajmniej takie się wydają. Na wysokości trzech metrów pień rozwidla się na dwa potężne konary. Jak wieże katedry Notre Dame.

O topolach czarnych, sokorach, dendrolog Włodzimierz Seneta pisał w 1973 r. bez miłości: „pnie zwykle brzydkie". Widać standardy urody drzew zmieniają się z czasem, tak jak standardy piękna ludzkiego ciała, bo w wydaniu z roku 2012 czytamy już o „malowniczych pniach starych drzew". Pień topoli jest piękny. Potężny, bruzdowaty jak zaorana „Ziemia" Ferdynanda Ruszczyca. Tak właśnie jak wiosenne, zaorane pole.

Drzewo można czytać. Po sylwetce powiemy, że sokora rosła samotnie, osobno, że miała przestrzeń, by się rozwinąć. Na ciemnej skórze ma wypisane ślady historii. Zardzewiały, wbity po główkę gwóźdź, nasmarowany kiedyś farbą znaczek anarchii, a nawet bliznę po jakimś drucie, który pochłonęła kora. Zagłębiam się w galaktykę kory na wysokości oczu. Dzieje się tu więcej niż dostrzeże moje słabe, ludzkie oko. W spękanym wąwozie widzę nieduże owadzie gniazdo z gliny, które w tej skali ma wielkość potężnego gmaszyska. Parę centymetrów dalej schował się przed światem zeszłoroczny kwiatostan dębu.

Okrążam drzewo. Z zacienionej strony żyje sobie spokojnie jakiś niepozorny, zielony glon, którego ciało jest tak drobne, jakby ktoś oprószył korę zielonym proszkiem. Obok małe skupisko pustułki pęcherzykowatej. Pulchne, jakby napompowane ciało porostu ma kształt rozetkowaty. I kolor akwamaryny. A może seledynu. To, że tu żyje, podpowiada, że powietrze w okolicy jest średniozanieczyszczone. Krążę. W miejscu, gdzie pień odpowiada pustym dudnieniem, spacerują spokojnie zajęte swoimi sprawami trzenie. Mają nie więcej niż pół centymetra i długi ryjek z poruszającymi się niemrawo czułkami.

Topola jest pomnikiem przyrody. Drzewo jest potężne, ma przeszło pięć metrów obwodu. Stoi osobno, na honorowym miejscu. Inne drzewa jak żołnierze – symetrycznie, na baczność, w szpalerach – w końcu park projektowano w 1938 r. Modernizm nie bardzo ufał naturze. Ale już wtedy nikt nie śmiał tknąć topoli. To ona wieńczyła jedną z osi, bo już przed wojną była dojrzałym drzewem. Stoi więc jak oficer w czasie przeglądu. Bo i wiek miała już wtedy oficerski, jej koronę widać wyraźnie na zdjęciach lotniczych z 1935 r. Później znajduję ją na rodzinnych zdjęciach znalezionych w internecie. Dziewczynka siedzi na ławce, trzyma w dłoniach piłkę. Jest początek lat 50. Rosnące do dziś potężne topole Simona są wątłymi szczapkami. Gdzieś tam w tle majaczy rozłożysta korona naszej sokory.

Pomnik przyrody jest zawsze pomnikiem historii. Świadkiem historii. No to kiedy wyrosła topola? Na pewno jeszcze za cara. A więc pamięta Polskę rozebraną, pewnie początki panowania Mikołaja II, a więc koniec XIX w. Zapewne pamięta też karczmę Ochota, od której wzięła się nazwa dzielnicy. Topola jest starsza niż dzielnica. Pamięta czasy, kiedy to miejsce nazywało się Kolonia Staszyce i minąć miało jeszcze wiele lat, zanim przyszło tu miasto. Dopiero w międzywojniu, a raczej w drugiej jego połowie, rozsiadły się w okolicy eleganckie domy i kamienice. Topola stała, nieporuszona, przywykając do tego sąsiedztwa. Przeżyła bombardowania, nie zdmuchnęła jej rosyjska bomba, która spadła na pobliski budynek we wrześniu 1942 r. Przeżyła powstanie, w którym ginęli mieszkańcy sąsiednich ulic. Przystosowała się do nowego ustroju, do budowy socjalizmu, potem do transformacji i do planu Balcerowicza. Żyje i dziś. Jest w niezłej formie.

Walka o zachowanie sędziwych drzew w mieście to nie jest postulat ekologiczny. Drzewa są świadkami historii, także naszej, ludzkiej. Są pamiątką po starym krajobrazie, po historii miejsca. Często najstarszym zabytkiem okolicy. Dlaczego często nie docenia się tej cierpliwej pracy natury, której nie kupi przecież za całe swoje pieniądze Jeff Bezos? Nie da się zapłacić topoli, by rosła szybciej. Nie da się przyśpieszyć lat kwitnienia, owocowania, zimowego spoczynku. Nie da się zapłacić za lata deszczu, mglistych poranków ani za promienie słońca. Nie można kupić cierpliwego, powolnego przyrostu pnia. Wartość starego drzewa jest właściwie niemierzalna. Sentymentalna i ekologiczna. Nie da się go zastąpić dziesiątkami, a nawet setkami młodych nasadzeń. To się nigdy nie zmieni: by drzewo miało sto lat, musi rosnąć sto lat. ©

PS. W tym roku będziemy raczej siedzieć w kraju. Kto będzie w Warszawie, niech odwiedzi Notre Dame de Ochota. Wystarczy wklepać w telefon 52° 13' 4.232" N 20° 59' 43.698" E.

Dziękuję za cenne uwagi Mateuszowi Korbikowi z Polskiego Towarzystwa Dendrologicznego.

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci 9 czerwca br.

Ś.†P.

Zofii Darowskiej

wybitnej artystki, która swe twórcze zdolności
wyraziła nade wszystko w dziedzinie grafiki książkowej.
Okładki Jej autorstwa zdobią z górą setkę książek
opublikowanych w naszym wydawnictwie
w ostatnich dekadach minionego wieku.

Pogrzeb odbędzie się 7 lipca o godz. 10.20
w Krakowie na cmentarzu Rakowickim.

Przyjaciele z Wydawnictwa Znak

Ja się nie triggeruję

PROF. MIROSŁAW BAŃKO, JĘZYKOZNAWCA:

Polszczyźnie nie grozi uwiąd ani niewola. Bardziej niepokoi mnie dziś to, co w naszym języku do siebie mówimy.

MAREK RABIJ: Dobrze mówimy po polsku?

PROF. MIROSŁAW BAŃKO: Jerzy Bralczyk, zapytany kiedyś o to, odpowiedział, że najlepiej na świecie.

A co powie Pan? Współautor Poradni Językowej, najpopularniejszego miejsca w internecie poświęconego poprawnej polszczyźnie?

To wbrew pozorom niełatwe pytanie. Bo co znaczy „mówić dobrze"? Czy nawet „poprawnie"? Najważniejszą funkcją języka jest przecież komunikacja. Dopóki się ze sobą dogadujemy, dopóty mówimy dobrze. Przynajmniej w pewnym sensie tego słowa.

Ale taka definicja zawęża to, co można nazwać błędem, do nieistotnego marginesu.

Ten margines nigdy nie jest nieważny. Językoznawcy mawiają wręcz, że język rozwija się dzięki błędom, bo każda zmiana, dopóki nie spotka się z akceptacją mówiących, będzie postrzegana jako błąd. Błędy pełnią ponadto funkcję charakteryzującą. Proszę sobie wyobrazić np. opowiadanie, którego autor próbuje nakreślić sylwetkę bohatera z tzw. marginesu społecznego, nasączając jego mowę błędami językowymi. Mógłbym powiedzieć: po błędach cię poznamy. Albo trochę inaczej: jesteś taki, jak twoje błędy.

Właśnie o tej identyfikacji przez błędy chciałbym z Panem porozmawiać. Moja polonistka w podstawówce, pochodząca z Wielkopolski, powtarzała, że my, jako osoby urodzone już na Dolnym Śląsku, posługujemy się językiem wysterylizowanym. Jedyne, co się jej rzucało w poznańskie ucho, to nasza rzekoma skłonność do przekręcania nazw geograficznych.

Ciekawe. Z tym ostatnim się nie spotkałem.

Miała nawet teorię, że to wynika z braku zasiedzenia ludności w regionie. Nazwy miejscowości, których używaliśmy, zostały przecież w większości w sztuczny sposób wywiedzione z niemieckich.

A ja znów przywołam profesora Bralczyka, który przy jakiejś okazji powiedział, że na tzw. Ziemiach Odzyskanych mieszkańcy posługują się najczystszą polszczyzną. Właśnie tam – na skutek wymieszania się ludności pochodzącej z różnych regionów – język polski ma najmniej gwarowych naleciałości.

Obawiam się jednak, że nie znajdzie pan w dorobku polskiego językoznawstwa czegoś w rodzaju aktualnej mapy błędów językowych. Nie brakuje opracowań, w szczególności atlasów językowych, które koncentrują się na zasięgu występowania określonych cech językowych, takich jak np. mazurzenie. Tylko że – i tu kolejny raz wracamy do punktu wyjścia – w tego typu pracach chodzi raczej o zbadanie, jak się mówi w konkretnych regionach, a nie o to, jak się mówić powinno.

Natomiast językoznawcy, którzy zajmują się katalogowaniem błędów, tworzą nie tyle mapy, ile swego rodzaju gabinety językowych osobliwości. Jest to, nawiasem mówiąc, dziedzictwo XIX w., kiedy żywe było przekonanie, że bez sztywnego kanonu poprawnej polszczyzny język nie przetrwa zaborów. Chodziło o to, żeby błędy spisywać i piętnować. Szczególnie często dotyczyło to dialektyzmów i wyrazów zapożyczonych z innych języków, nazywanych wówczas „barbaryzmami".

A może brak mapy, o którą zapytałem, świadczy właśnie o tym, że błędy językowe łączą nas ponad wszystkimi podziałami – także geograficznymi?

Wiele zależy od tego, jak pan zdefiniuje błąd. Mało uwagi w publikacjach poprawnościowych poświęca się błędom w wymowie i akcentowaniu, a tak się składa, że właśnie ten rodzaj odstępstw od normy językowej niesie ze sobą najwięcej informacji o mówiącym. Na studiach miałem wykłady ze sztucznej inteligencji. Prowadzący miał klasyczne mazowieckie twarde „el". Mówił „sztuczna intelygencja", czym zdradzał nie tylko region, z którego pochodził, ale i to, że rodzice w domu posługiwali się gwarą. Nie wiem, jak przyjmowali tę „intelygencję" koledzy z roku. Mnie to raziło.

Ja miałem podobny stosunek do gwary śląskiej. A dziś się zastanawiam, właściwie dlaczego?

Prawda? Język może się różnić regionalnie. W Małopolsce zbieracie w lesie borówki, które dla nas na Mazowszu są czarnymi jagodami. Pan co zbiera?

Nic. Jako dziecko chodziłem na jagody. Z racji miejsca zamieszkania – w Krakowie – teraz powinienem zbierać borówki, ale tak mi się to miesza, że staram się unikać obu nazw. „Na dwór" przestałem wychodzić, ale nadal nie umiem wyjść „na pole". Wychodzę „na zewnątrz".

Ale mógłby pan i „na pole", i „na dwór", gdyby pan chciał, bo żadna z tych form nie jest dialektyzmem, nie jest odstępstwem od normy językowej, lecz tylko jednym z wariantów regionalnych. Przy czym wariant stołeczny – czy to sprawiedliwe, czy nie – uchodzi za mniej nacechowany. Język, powtórzę, ma funkcję identyfikacyjną. Jeden z moich znajomych trafił do wojska, w koszarach zaczął mówić „poszłem", mimo że wcześniej nigdy mu się to nie zdarzało. Kiedy wracał na przepustkę do domu, natychmiast przechodził na „poszedłem". „Gdybym mówił poprawnie, koledzy uznaliby, że się wywyższam, i nie miałbym życia w jednostce" – wyjaśnił mi przy okazji.

Uzasadniony okolicznościami – ale nadal błąd.

I tu się z panem nie zgodzę. Bo według jednej z definicji błędem jest nieświadome odstępstwo od normy językowej. Podkreślam – nieświadome.

Błędem, nie tylko językowym, może być także mimowolne kopiowanie zwyczajów typowych dla innego kraju. Na przykład amerykańskie *keep smiling* nie bardzo do nas pasuje i może razić, wolimy cierpiętnictwo i ponuractwo. Nie lu-

MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

Warszawa, 8 maja 2020 r.

bimy się także chwalić, wolimy fałszywą skromność. A zwyczaje przy stole? Polakowi nie wypada np. sięgnąć od razu po talerz, gdy gospodarz częstuje. „Może jeszcze ciasta, panie Marku?”.

„Dziękuję, panie Mirosławie, pyszne, ale nie wcisnę już nawet kawałeczka”.

Odbywa się między nimi swoista gra, dobrze znany spektakl, i w końcu gość ulega i sięga po talerz, nawet jeśli nie ma ochoty. A teraz proszę sobie wyobrazić, że gościem jest Polak np. w Szwecji. Odmówi po „polsku” i może do końca przyjęcia siedzieć głodny, bo więcej namawiany nie będzie. Nie chce, to nie, jego prawo, należy uszanować jego wolę.

Błąd w komunikacji – owszem. Ale czy także błąd językowy?

Dobre pytanie. Między zachowaniem językowym a pozajęzykowym nie zawsze jest ostra granica. Ale pozwoli pan, że przywołam przykład na to, jak błąd niewątpliwie językowy rzutuje na ocenę danej osoby. Proszę sobie wyobrazić, że prosi pan o opinię cenionego prawnika. I dostaje od niego dokument z błędem ortograficznym. Obawiam się, że to wpłynie na pańską ocenę zawartości merytorycznej pisma. Może pan wręcz zwątpić w kompetencje zawodowe mecenasa.

A czego Pan we współczesnej polszczyźnie nie lubi i nie toleruje?

Obawiam się, że jestem gotów tolerować za wiele. Nawet zwracano mi na to uwagę przy różnych okazjach. Ale każdy ma swój próg wytrzymałości. Bardzo razi mnie np. nagminne używanie zaimka „mi” w pozycjach akcentowanych, gdzie powinno się użyć formy „mnie”. Przykładowo, ciągle słyszę „mi się wydaje” zamiast: „mnie się wydaje” albo „wydaje mi się”. Ostatnio dyrektor artystyczny jednego ze znanych polskich teatrów powiedział publicznie: „mi się wydaje”. A mnie ręce opadły i pomyślałem, że tak już teraz będzie, że tak zostanie. Błąd, który się spopularyzował, przestaje być błędem.

Kolejna para to: „Ci – Tobie”.

Tu jest na odwrót, bo używa się formy dłuższej, akcentowanej, tam, gdzie wystarczyłaby krótsza. Mam podejrzenia, że w głowach mieszają nam autorzy reklam, bo częściej słyszę tę formę w mediach niż na ulicy. Ktoś chyba doszedł do wniosku, że jeśli się powie: „to się tobie spodoba”, zamiast zwyczajnie „to ci się spodoba”, adresat przekazu poczuje się bardziej wyróżniony i chętniej sięgnie do kieszeni.

A tak kochane przez polonistów pleonazmy? Kto w szkole nie usłyszał krytyki „cofania wstecz”?

Tylko część pleonazmów zasługuje na miano błędu. Pan już „cofnął wstecz”, ja dla przykładu jeszcze „wrócę z powrotem”, ale to skrajności. Owszem, rażące, ale naprawdę nieliczne. Większość pleonazmów i tautologii, czyli przykładów dublowania treści, jest uzasadnionych potrzebą ekspresji (np. „krótko i węzłowato”) lub skutecznej komunikacji. Zwłaszcza w języku mówionym, gdy uwaga słuchacza jest rozproszona, powtórzenia mogą być funkcjonalne. Inne przykłady dublowania treści są naturalnym efektem łączliwości wyrazowej. Na przykład „burzowa pogoda”: przecież burza zawsze odnosi się do pogody.

Jeśli z polszczyzną nie jest tak źle, to jakim cudem w „Słowniku wyrazów kłopotliwych”, którego jest Pan współautorem, udało się Państwu zgromadzić ponad 3 tysiące haseł? To przecież tyle, ile większość z nas potrzebuje w codziennej komunikacji – nie licząc tych, którzy wszystko potrafią wyrazić za pomocą paru przekleństw.

Mówi się, że wulgaryzmy służą do wyrażania negatywnych emocji, ale ich funkcją jest również budowanie wizerunku. Nieprzypadkowo język wojskowych i ludzi z innych resortów siłowych roi się od przekleństw. Muszę przyznać, że jeśli coś mnie niepokoi w kierunku ewolucji współczesnej polszczyzny, to właśnie przenikanie wulgaryzmów i językowej trywialności do sfer od nich dotychczas wolnych. Chyba najszybciej wulgaryzuje się debata publiczna i język mediów. Przymiotnik „zajebisty” właściwie już oderwał się od swojego źródłosłowu.

Kiedyś „zajebisty” był elementem języka młodzieżowego.

Ale się zestarzał wraz z używającą go młodzieżą i zatracił funkcję identyfikacyjną. Podobnie „wow”, które także weszło już do polszczyzny różnych pokoleń, z wyjątkiem najstarszego.

Ale język nie znosi próżni i niedawno dowiedziałem się od syna, że go „triggeruję”?

Co pan zrobił biednemu dziecku?

Zestresowałem, zdenerwowałem. I teraz sam się trochę triggeruję, czy powinienem takie neologizmy akceptować.

Znów pana rozczaruję. Nie mam jednoznacznej odpowiedzi. Język, w którym nie zachodzą zmiany, jest martwy. Z drugiej strony, nie każdy neologizm się upowszechni, nie każdy będzie wszystkim potrzebny, niektóre nie wyjdą poza granice pewnych środowisk.

Balansujemy między jednym a drugim, to jasne. Pytanie: jak utrzymać się na powierzchni?

↦

↦ Słowniki od pewnego czasu posługują się tzw. hierarchiczną normą językową. Pokazujemy formę wzorcową jako tę pożądaną, ale obok wyliczamy formy potoczne, które można uznać za poprawne, choć mniej oficjalne. Większość z nas na co dzień nie akcentuje np. słów takich jak „matematyka", „fizyka" zgodnie z tradycyjną normą na sylabie trzeciej od końca. W najnowszych słownikach poprawnej polszczyzny tradycyjny akcent został więc opisany jako wzorcowy, ale wymowa z akcentem na przedostatniej sylabie została już uwzględniona jako poprawna w tzw. normie użytkowej.

Słowem – chcą nam Państwo ułatwić życie. Ale je tak naprawdę komplikujecie.

Bardzo mi przykro, ale taki jest język. Korespondenci różnych poradni językowych rzeczywiście często oczekują prostej wykładni: tak źle, a tak dobrze. Brak zdecydowania, wszelkie niuansowanie, wszelkie „to zależy" albo „można i tak, i tak" budzą podejrzenia. Gdy prowadziłem poradnię w Wydawnictwie Naukowym PWN, otrzymywałem czasem e-maile z pretensjami, że nie umiemy udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Pamięta Pan jakieś wyjątkowo trudne pytanie?

Niestety nie. Przez moje ręce przeszło tych pytań kilkanaście tysięcy. Ciekawe jednak, jak często powracało pytanie, czy można już mówić „poszłem".

Bo?

Podobno prof. Jan Miodek miał przy jakiejś okazji opowiedzieć się za dopuszczeniem jej do użycia. Ja jednak jestem pewny, że Miodek czegoś takiego nie mógł powiedzieć. Mógł mówić o wokalizacji jerów, dawnym procesie, który jest przyczyną różnicy między „poszedłem" a „poszłam". Musiał zostać źle zrozumiany. Nawiasem mówiąc, „poszłem" to świetny przykład na to, w jaki sposób język odzwierciedla wykształcenie użytkownika.

„Za pomocą" i „przy pomocy" myli się za to Polakom w sposób egalitarny, bez względu na status majątkowy, zawodowy, wykształcenie i miejsce zamieszkania. Może przynajmniej tutaj czas na amnestię?

Teraz to się pan zagalopował. Bo jeśli powiem „za pomocą pilota" (urządzenia), to znaczy jednak coś innego niż „przy pomocy pilota" (osoby).

Cofam argument.

A ja po równie krótkim namyśle dochodzę do wniosku, że mógłbym przystać np. na wymienność „za pomocą młotka" i „przy pomocy młotka". Ale „za pomocą kolegi" już nie, raczej „z pomocą kolegi".

Nie triggeruje to Pana?

Mówiłem już, że ja się łatwo nie triggeruję i jestem za rozszerzaniem pola swobody w języku, za dopuszczaniem konstrukcji wariantywnych. Chciałbym, aby w podobny sposób regulowano wariancję poza językiem. Są różni ludzie, różnią się w zakresie swoich poglądów, upodobań, preferencji i orientacji. Nie można uważać, że niektórzy z nich są „nienormalni", że są błędem i że należy ich „poprawić". Z drugiej strony, tak jak wariantywne formy językowe mają różny zakres zastosowania, tak też i zachowania innego rodzaju muszą być stosowne do sytuacji.

Zbliżamy się do końca rozmowy, muszę więc spytać Pana, czy w jej trakcie wyłapał Pan u mnie jakieś błędy?

Nie. Nie zaczynałem jej zresztą z taką intencją, coś mogłem przeoczyć. W normalnej komunikacji nie nastawiamy się na kontrolę czyjejś wypowiedzi. Chciałbym jednak podkreślić, że nie mam obaw o przyszłość polszczyzny. Uwiąd jej nie grozi, niewola również. Coraz bardziej tylko niepokoi mnie to, co w naszym języku do siebie mówimy. Nie jak, ale co. Ale to już temat na inną rozmowę.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

RADEK PIETRUSZKA / PAP

PROF. MIROSŁAW BAŃKO jest językoznawcą i leksykografem, wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. Prowadził też popularną internetową Poradnię Językową PWN.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

#łąka powszechna

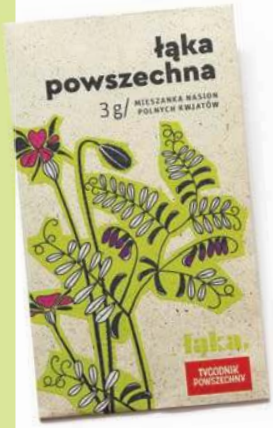

Już rośnie!

Toruń, Wieliczka, Kraków, Gdańsk, Sulejówek, Gdynia, Ełk, Chomętowo, Lublin, Białystok, Grudziądz, Rzeszów, Piaseczno i Kocmyrzów-Luborzyca oraz Warszawa – to tylko niektóre miejscowości, gdzie wzrastają Państwa Łąki Powszechne.

Pokażcie nam, gdzie jeszcze wysialiście swoje nasiona; zróbcie zdjęcie rosnących kwiatów i oznaczcie się na FB lub Instagramie hasztagiem #lakapowszechna wraz z nazwą miejscowości lub adresem GPS albo wyślijcie na adres laka@tygodnikpowszechny.pl
Stwórzmy razem mapę naszej wspólnej łąki – niech zakwitnie!

Mieszankę nasion *Łąki Powszechnej* stworzyła Pani Łąka / panilaka.pl – profesjonalny sklep z autorskimi mieszankami nasion łąk kwietnych

pani łąka

Zespół stresu cyfrowego

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Tęsknota za ludźmi. Wycieńczenie światem online. Nowe narzędzia, stare metody. Oto wnioski z najświeższych badań sumujących tegoroczną przymiarkę polskiej szkoły do zdalnego nauczania.

Tęsknię za kontaktem z młodzieżą, z ludźmi, koniecznością zmobilizowania się do zrobienia makijażu, fryzury (...) Brakuje mi dyskusji, uczniowskich sporów z przekory" – pisze respondentka, być może najlepiej oddając najważniejszą emocję ostatnich czterech miesięcy.

Jaki jest bilans ponad stu dni wymuszonej edukacyjnej rewolucji? Sporządzili go właśnie pedagodzy, socjolodzy i medioznawcy, sondując w maju i czerwcu nastroje niemal 1300 uczniów, 1000 rodziców i ponad 600 nauczycieli (respondentów z trzech grup wybierano w tych samych placówkach). Wstępne wyniki badania zorganizowanego przez Polskie Towarzystwo Edukacji Medialnej, Fundację Orange i Fundację Dbam o Mój Zasięg dają nie tylko obraz zdalnej edukacji. Przynoszą też odpowiedź na pytanie – po co nam jeszcze tradycyjna szkoła?

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Zakończenie roku szkolnego w Szkole Podstawowej nr 5 w Pionkach, 26 czerwca 2020 r.

ŻEBY ZE SOBĄ BYĆ – oto najprostsza z nich. Wbrew pozorom ściśle związana z efektami nauczania. – Relacje to punkt wyjścia rozważań o skuteczności szkoły – mówi prof. Jacek Pyżalski, współautor badania, pedagog i ekspert od edukacji medialnej. – Zgodnie ze wzorem: relacje razy dydaktyka równa się efekt. Jeśli relacje wynoszą zero, to efekt dydaktyki też będzie zerowy.

Tymczasem to właśnie więzi najbardziej ucierpiały w czasie lockdownu. Aż połowa pytanych uczniów stwierdza, że ich relacje rówieśnicze się pogorszyły (przy 40 proc. uznających, że nie uległy zmianie). A wielu nauczycieli w odpowiedziach na otwarte pytania dorzuca do tego obrazu opowieści o tęsknocie za więziami *offline*.

Tej tęsknocie towarzyszy wycieńczenie światem *online*. „Wśród uczniów, rodziców oraz nauczycieli widoczne są wyraźne symptomy nadużywania mediów cyfrowych.

PRZEMĘCZENIE, PRZEŁADOWANIE INFORMACJAMI, niechęć do korzystania z komputera i internetu oraz rozdrażnienie z powodu ciągłego używania technologii" – piszą autorzy raportu. A większość respondentów deklaruje, że ich aktualny stan psychiczny oraz fizyczny jest gorszy niż cztery miesiące temu. I choć ta diagnoza dotyczy wszystkich grup – to najbardziej nauczycieli.

Według prof. Pyżalskiego interpretacja tego wyniku nie musi być jednak negatywna: – Przypomnijmy sobie, co się działo, gdy cyfryzowano urzędy: ile to trwało, ile towarzyszyło temu emocji i frustracji. W badaniach Centrum Cyfrowego aż 85 proc. nauczycieli deklarowało, że przed rozpoczęciem zdalnej edukacji się z nią nie stykało. Teraz zetknęli się niemal wszyscy. Nawet jeśli stało się to kosztem początkowego szoku, ciężkiej pracy, a na koniec wyczerpania, to nie da się wykluczyć, że za kilka miesięcy zobaczymy tego efekty.

Może tylko powierzchowne – bo badania zespołu naukowców (znaleźli się w nim też profesor AGH Grzegorz Ptaszek, wiceprezeska Fundacji Dbam o Mój Zasięg Magdalena Bigaj, socjolog dr Maciej Dębski i pedagog dr Grzegorz Stunża) pokazały, że używanie nowych narzędzi nie wymusiło zmiany metod pracy. „Nauczyciele najczęściej prowadzą lekcje w sposób transmisyjny i nieinteraktywny (przekazują wiedzę i informacje oraz wymagają zrealizowania materiału we własnym zakresie). Jedynie niewielu decyduje się na wykorzystanie edukacyjnych gier online lub quizów" – piszą autorzy.

Co więcej: aż 50 proc. uczniów stwierdza, że lekcje z czasu pandemii były mniej interesujące niż te sprzed marca. „Powodem takiej oceny – komentują badacze – może być (...) skupienie się nauczycieli na wysyłaniu materiałów do indywidualnej realizacji i nieangażowanie uczniów do pracy wspólnej".

ZMIANA KREDY NA TABLICĘ MULTIMEDIALNĄ to jeszcze nie przejście do nowoczesnej edukacji – mówi prof. Pyżalski. – Istotą nie są narzędzia, ale jakość pedagogiki. Umiejętność zaangażowania dzieci, pomysły na ich aktywizację. Jeśli to potrafimy, nie ma większego znaczenia, czy robimy to siedząc z uczniami na łące, czy przez światłowód.

Raport, choć oparty na solidnej próbie, nie jest – bo być nie może – reprezentatywny. Ankiety rozsyłano *online*, więc ta zbiorowa fotografia nastrojów musiała pominąć pokaźny zbiór najbardziej poszkodowanych przeprowadzką polskiej oświaty z klas na komputerowe łącza – to będące bohaterami ostatniego wydania „TP" dzieci zagubione w systemie i wykluczone cyfrowo.

Czy jest coś, co łączy badanych przez prof. Pyżalskiego *et consortes* uczniów z tymi zapomnianymi przez system? W interesie obu – choć pewnie z różnych powodów – jest szybki powrót do szkoły. Jakakolwiek ona jest. ©℗

RDC POLSKIE RADIO

MAREK RABIJ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 1 lipca o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

WIARA

DOCIEKANIE PRAWDY

ZBIGNIEW NOSOWSKI, REDAKTOR NACZELNY „WIĘZI”:

Jeśli w usuwaniu zła wszystkie oficjalne drogi w Kościele zawodzą, pozostają dziennikarstwo śledcze i ujawnianie faktów.

ARTUR SPORNIAK: Należysz do osób zaangażowanych w wyjaśnienie oskarżeń stawianych biskupowi kaliskiemu Edwardowi Janiakowi. Czy odsunięcie go przez papieża od władzy i ustanowienie abp. Grzegorza Rysia jako tymczasowego administratora diecezji uważasz za sukces?

ZBIGNIEW NOSOWSKI: Okazało się, że jednak warto dociekać prawdy. Zapewne ktoś ważny w Watykanie zrozumiał, że w ciągnącej się już tak długo sprawie bp. Janiaka muszą wreszcie zapaść decyzje, bo same zapowiedzi w stylu „robimy, co możemy” nie wystarczą.

Nie można pozwolić, by biskup kaliski stał się jedynym winnym. Pora na szersze wprowadzenie w życie kościelnych zasad rozliczalności przełożonych kościelnych. Spraw do zbadania w różnych diecezjach jest wiele.

Mamy też do czynienia z innym precedensowym wydarzeniem. „Więź” ogłosiła właśnie, że przed kilkoma tygodniami zakończyło się wstępne dochodzenie kanoniczne prowadzone przez watykańską Kongregację Nauki Wiary w sprawie zarzutów dotyczących molestowania seksualnego osoby małoletniej przez krakowskiego biskupa pomocniczego Jana Szkodonia. Zapadła w Kongregacji decyzja o rozpoczęciu kanonicznego procesu karno-administracyjnego przeciwko niemu. Z upoważnienia Kongregacji nuncjusz apostolski w Polsce abp Salvatore Pennacchio wyznaczył 7 maja osoby prowadzące ten proces – odpowiedzialnym za niego będzie jeden z polskich biskupów. To pierwszy taki proces w kraju.

Niedawno ustanowione przez Franciszka prawo pozwalające sądzić biskupów powoli zaczyna działać. Co ta sytuacja zmienia w diecezji kaliskiej?

W Kaliszu najbardziej w tej chwili potrzeba duchowego uzdrowienia – tak duże było tam nagromadzenie zła, kłamstwa, manipulacji, mobbingu. Akurat abp Grzegorz Ryś jest osobą, która takie duchowe odrodzenie może inspirować. Często powtarza za adhortacją Jana Pawła II „Reconciliatio et paenitentia”, że pojednanie musi być równie głębokie jak podział.

Mam tylko obawę, czy jako chwilowy zarządca diecezji będzie skłonny do podejmowania decyzji administracyjnych albo personalnych. A wydaje mi się, że bez odwołania kilku kluczowych kurialistów uwikłanych w gry toczone przez bp. Janiaka nie da się tam rozpocząć procesu uzdrowienia. Akurat abp Ryś jest znany z tego, że raczej woli ludzi przemieniać od wewnątrz niż wymieniać na stanowiskach. Tu jednak nie wystarczy oddziaływanie przez przykład.

Przeprowadziłeś dziennikarskie śledztwo, które do faktów ujawnionych w filmie „Zabawa w chowanego” dołożyło nowe, m.in. że bp Janiak świadomie chciał wyświęcić kleryka, który w swoim komputerze miał pornografię dziecięcą. Jak trafiłeś na te tropy?

Diecezja kaliska nie wydawała mi się istotna z perspektywy ogólnopolskich procesów kościelnych. Po filmie braci Sekielskich zrozumiałem, że mamy tam do czynienia ze szczególnym nagromadzeniem bardzo poważnych zaniedbań. Być może nawet złej woli. Po moim komentarzu o filmie na portalu Wiez.pl zaczęli się do mnie zgłaszać duchowni z diecezji kaliskiej, którzy mieli potrzebę opowiedzenia o tym, czego doświadczali. Nowe możliwości przyniosła też serdeczna relacja nawiązana z Jakubem Pankowiakiem. On po filmie „Zabawa w chowanego” od razu stał się dla mnie bohaterem – jako człowiek bardzo doświadczony w Kościele, a jednocześnie bardzo dojrzały duchowo. Do niego też zaczęli się zgłaszać po filmie różni ludzie. ↦

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

ZBIGNIEW NOSOWSKI *(ur. 1961) jest redaktorem naczelnym kwartalnika „Więź”. W latach 2001 i 2005 był świeckim audytorem Synodu Biskupów w Watykanie. W latach 2002–2008 konsultor Papieskiej Rady ds. Świeckich. Współtwórca i rzecznik prasowy inicjatywy „Zranieni w Kościele”.*

Księża zwierzający się ze swoich sekretów osobie świeckiej – to nowa jakość w polskim Kościele.

Tak, bo sami byli już bezradni i załamani. Te ich zwierzenia to dla mnie jeden z trzech faktów wskazujących na przełom, jaki chyba się dokonuje. Pierwszym było ogłoszenie po filmie Sekielskich przez prymasa Wojciecha Polaka, że składa doniesienie do Watykanu. Ten akt symbolicznie kończył w episkopacie epokę prymasa Wyszyńskiego, w której obowiązywała żelazna zasada, że wewnątrzkościelnych brudów się publicznie nie pokazuje, co skutkowało tym, że żaden biskup nie powie złego słowa o innym biskupie. Teraz okazało się, że są sprawy ważniejsze niż jedność episkopatu.

Drugim przełomowym faktem była odmowa Rady Kapłańskiej diecezji kaliskiej podpisania listu poparcia bp. Janiaka, przygotowanego przez jego biskupa pomocniczego. Już następnego dnia dowiedziałem się o tym, ale szukałem potwierdzenia w drugim źródle. I przypadkowo okazało się, że znajomy ksiądz ma tam serdecznego przyjaciela...

Na tym zebraniu księża m.in. przypomnieli o dwuznacznym promowaniu przez bp. Janiaka owego kleryka, na którym ciążyły poważne zarzuty. Opowiedzmy tę historię od samego początku.

Krzysztof S. był najpierw w seminarium wrocławskim, ale został zeń usunięty za zachowania homoseksualne. Kontynuował studia teologiczne jako świecki. W 2012 r. bp Janiak, pomocniczy biskup wrocławski, został biskupem kaliskim. Rok później znany mu zapewne z Wrocławia Krzysztof S. przyjęty jest do seminarium kaliskiego. Jak mówią moje źródła, stało się to za „poręczeniem" biskupa, bo wiadomo, że gdy się przyjmuje kleryka wyrzuconego z innego seminarium, jest to sytuacja bardzo ryzykowna.

To bardzo ciekawe.

Nie znam odpowiedzi na narzucające się tu pytanie, co łączy Krzysztofa S. z bp. Janiakiem. Być może jeszcze się o tym dowiemy.

W każdym razie na początku 2015 r. ówczesny rektor ks. Jan Grzeszczak z wicerektorem ks. Piotrem Górskim wysyłają Krzysztofa S. na urlop dziekański.

A kilka miesięcy później ks. Grzeszczak podaje się nieoczekiwanie do dymisji. Nie chciał mi podać szczegółowych powodów, ale w tle na pewno były napięte relacje z biskupem. Jego następcą we wrześniu 2015 r. zostaje ks. Górski. Jest młody – ma wówczas 33 lata. W tym samym roku prokuratura prowadzi śledztwo wobec Krzysztofa S., które ostatecznie zostaje umorzone, prawdopodobnie dlatego, że sprawa dotyczy uwodzenia małoletnich powyżej 15. roku życia, co w prawie polskim nie jest karane. Niemniej od policji nowy rektor dowiaduje się, że w komputerze urlopowanego kleryka znaleziono 400 filmów i fotografii pornograficznych.

Tymczasem Krzysztof S. po urlopie na początku 2016 r. zgłasza się z powrotem do kaliskiego seminarium. Dochodzi do – jak sobie wyobrażam – dramatycznej rozmowy, podczas której ks. Górski informuje bp. Janiaka o filmach pornograficznych w komputerze kleryka. A biskup dodaje, że część z nich miała charakter pedofilski, czyli wie więcej od rektora. Ostatecznie stawia rektora przed faktem dokonanym, mówiąc przy nim Krzysztofowi S., że „otrzymuje jeszcze jedną szansę". Mało tego, wymusza na rektorze przygotowywanie kleryka do święceń diakonatu. Ks. Górskiemu udaje się jedynie przesunąć te święcenia o pół roku – mają się one odbyć w grudniu 2016 r., a nie w czerwcu, z pozostałymi klerykami. Rektor uświadamia sobie wówczas, że sytuacja jest niebezpieczna – zaczyna dokumentować poczynania Janiaka.

Na szczęście Krzysztof S. znowu podpada policji.

W listopadzie 2016 r. podczas praktyk katechetycznych jego gimnazjalni uczniowie otrzymują dziwne propozycje, by odwiedzać go w nocy. Rodzice alarmują dyrekcję, ta – policję. Sprawa trafia do gazet. W efekcie Krzysztof S. zostaje ostatecznie usunięty z seminarium. Ale ks. Górski nadal prowadzi swoje obserwacje.

Pod koniec 2017 r. z zebranymi materiałami jedzie do metropolity poznańskiego abp. Stanisława Gądeckiego. Ten chce mieć potwierdzenie także z innego źródła i prosi o pisemną opinię ks. Grzesz-

Watykan: sprawa bp. Janiaka zmierza ku końcowi

INFORMACJĘ O TYM, że skarga na Edwarda Janiaka, wniesiona do Watykanu przez byłego rektora kaliskiego seminarium duchownego, utknęła w martwym punkcie ze względu na osobiste kontakty biskupa w Rzymie – jak informowali Zbigniewa Nosowskiego jego rozmówcy – postanowiliśmy sprawdzić na miejscu. Streściliśmy dwóm osobom, sprawującym w Watykanie ważne funkcje, wyniki dziennikarskiego śledztwa Nosowskiego i poprosiliśmy o interwencję.

Jeden z naszych rozmówców przekazał nam odpowiedź – „niemal oficjalną" – jaką otrzymał w Kongregacji ds. Biskupów, że „sprawa bp. Janiaka zmierza ku końcowi" i że „na pewno nie została wyciszona". Tłumaczył: „W kongregacji pracuje 20 urzędników, którzy zajmują się sprawami biskupów z całego świata. Procedury trwają długo, ale nie jest możliwe, przynajmniej za tego papieża, by takie zarzuty ukrywać". W tym przypadku kongregacja musiała wystąpić o opinie z innych dykasterii: Sekretariatu Stanu (rzecz dotyczyła biskupa), Kongregacji ds. Kleru (doniesienie złożył duchowny), Kongregacji Nauki Wiary (wątek pornografii dziecięcej znalezionej u protegowanego przez biskupa kleryka). „Na przygotowanie opinii każda z instytucji ma trzy miesiące" – zdradził nasz rozmówca i zapewnił, że „zostały już zebrane wszystkie dokumenty i wkrótce członkowie kongregacji powinni podjąć ostateczną decyzję". Watykan chce uniknąć wrażenia, że działa pod presją mediów, można jednak przypuszczać, że to doniesienia prasowe zmusiły Stolicę Apostolską do mianowania tymczasowego administratora diecezji i zawieszenia biskupa do czasu ostatecznego wyroku.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

czaka, byłego rektora, a wówczas profesora UAM w Poznaniu. Nie znam jej treści, ale Górski mówił, że ks. Grzeszczak nie ma powodu dzisiaj się jej wstydzić. W efekcie abp Gądecki zachęca ks. Górskiego do złożenia oficjalnej skargi do nuncjatury. Co następuje w lutym 2018 r. Ważnym kontekstem jest to, że wtedy jeszcze nie ma przepisów regulujących składanie skargi na biskupa, które Franciszek wprowadzi dopiero w czerwcu 2019 r. w *motu proprio* „Vos estis lux mundi".

Ks. Górski oskarżył bp. Janiaka o tolerowanie aktywnego homoseksualizmu wśród duchownych i o ignorowanie przypadków wykorzystania seksualnego małoletnich przez księży. Nuncjusz miał obowiązek poinformować o tej skardze bp. Janiaka i tu się zaczyna piekło dla młodego rektora.

Tak, ale sytuacja była nieco inna niż w przypadku księży z diecezji gdańskiej, którzy złożyli do nuncjatury skargę na abp. Sławoja Leszka Głódzia o mobbing. Wówczas metropolita gdański bardzo szybko dowiedział się, kto na niego skarży. Natomiast Janiak nie dowiedział się tego od nuncjusza. Sam ks. Górski wykazał się olbrzymią odwagą cywilną: w rozmowie z Janiakiem przyznał się, że to on jest autorem skargi, żeby już nikogo więcej biskup nie szukał.

Jest nękany przez biskupa, w końcu we wrześniu 2018 r. podaje się do dymisji, co bp Janiak wykorzystuje przeciw niemu: oskarżając go o dezercję i grożąc suspensą. Ks. Górski broni się, idąc na roczny urlop. W lipcu 2019 r. staje się rezydentem jednej z parafii, potem jej wikarym. W końcu zostaje administratorem małej wiejskiej parafii, co oznacza, że w każdej chwili może być odwołany.

Mamy do czynienia z klasycznym mechanizmem mobbingowym: przełożony nie chce dymisjonować prześladowanego, bo musiałby swoją decyzję jakoś uzasadnić, więc dąży do tego, aby podwładny sam złożył rezygnację. Janiak próbował wymusić na ks. Górskim wyjazd za granicę – tu Górski się nie ugiął. Jest w tym przejaw pewnego heroizmu, bo przecież mógł pojechać do Włoch i mieć spokój. Warto dodać, że był chyba dobrym rektorem: gdy obejmował seminarium, było zaledwie trzech kandydatów na pierwszym roku. A podczas jego rektorowania zgłosiło się raz aż 17.

W sprawie bp. Janiaka pojawia się tajemnicza postać watykańskiego prałata – ks. Giuseppego Laterzy. Czy to u niego szukał on pomocy, jeżdżąc latem 2018 r. do Watykanu?

Nie mam tej informacji potwierdzonej, więc nie chcę się jeszcze na jego temat wypowiadać.

Nam udało się w Watykanie potwierdzić, że rzeczywiście bp Janiak tu przyjeżdżał. Natomiast silną relację z biskupem kaliskim potwierdzają na stronie diecezji zdjęcia z uroczystości nadania w 2015 r. watykańskiemu prałatowi tytułu kanonika honorowego kaliskiej kapituły. Ks. Laterza był wówczas asesorem ds. ogólnych w Sekretariacie Stanu i np. w maju 2015 r. przygotowywał w Watykanie spotkanie papieża z krewnymi ofiar argentyńskiej junty. Od pół roku pracuje w nuncjaturze w Gruzji. Z Polską łączą go dziwne związki. Np. w 2016 r. odczytywał list Franciszka nadesłany na 25-lecie parafii w Bobrówce, gdzie znajduje się rodzinna posiadłość abp. Głódzia. Podczas tej mszy celebrze przewodniczył kard. Gulbinowicz, a homilię wygłosił bp Janiak.

Znamienny zestaw nazwisk. Niewątpliwie tacy biskupi jak Głódź czy Janiak muszą mieć swoich zaufanych ludzi w Watykanie. Składane są na nich skargi, pisane listy do papieża – i nic. Aż do 25 czerwca 2020 r.

Czy coś Cię w Twoim śledztwie zaskoczyło?

To, że można też znaleźć tak pozytywnych bohaterów jak ks. Górski, samotnie walczących o oczyszczenie Kościoła. Z drugiej strony, przywołam najsmutniejszy komentarz, jaki pojawił się w internecie pod moim tekstem. Jakiś duchowny napisał: „Gdybym nie był księdzem, to bym nie uwierzył". Czyli: wychodzą obecnie na jaw rzeczy, o których wiedzieli tylko duchowni.

Jesteś optymistą?

W komentarzu do listu, w którym bp Janiak atakował prymasa, użyłem formuły „nadzieja bez optymizmu" – czyli czysto duchowa i niejako wbrew faktom. To takie podejście, że choć nie widać niczego, co napawałoby optymizmem, mimo wszystko można mieć nadzieję. To jest mój przypadek, bo jak wiesz, nie planowałem zajmować się dziennikarstwem śledczym.

No właśnie, najpierw zajmowałeś się skargami na abp. Głódzia. Potem opublikowałeś – m.in. na naszych łamach – duży materiał śledczy na temat bp. Szkodonia. Niedawno ujawniłeś brak reakcji bp. Napierały, poprzednika bp. Janiaka, na skazanie 15 lat temu księdza pedofila przez sąd. Teraz sprawa bp. Janiaka. To ma sens?

Z mojego punktu widzenia tylko to mi pozostało. Już naprawdę spróbowałem wszystkich dróg.

To znaczy jakich?

Opierających się na założeniu, że trzeba przedstawić problem komuś tam wyżej, a on podejmie słuszne decyzje. Obejmowało to pisanie listów do mądrych biskupów. Dalej: pisanie do oficjalnych organów. Rozmawianie z oficjalnymi organami, np. z przewodniczącym episkopatu. Pisanie do Rady Stałej episkopatu. Rozmawianie z kimś w kurii rzymskiej. W końcu pisanie do papieża.

Nawet jeśli się znajdowało zrozumienie, to później okazywało się, że rozmówca jest równie bezradny jak my. Albo nie było żadnej reakcji, jak w przypadku papieża.

O co wtedy chodziło?

M.in. o list ks. Adama Świeżyńskiego z 2013 r. w sprawie mobbingowania gdańskich księży przez abp. Głódzia.

Zatem jeśli to wszystko zawiedzie, pozostaje opisywanie mechanizmów, ujawnianie faktów, demaskowanie sprawców. Okazuje się, że bez upublicznienia nie ma szans na rozwiązywanie pewnych spraw w Kościele. Przykład reakcji Watykanu z ostatnich dni pokazuje, że takim działaniem można dobrą wolę w tej instytucji obudzić. Poprzez nagłaśnianie kompromitujących działań można sprawić, że osoby uczciwe w tej instytucji się mobilizują. A z drugiej strony ci, którzy by chcieli kręcić i motać, mają bardziej związane ręce. ↦

Ale wcześniej stwierdziłeś, że wraz z tym, co się stało w sprawie bp. Janiaka, nastąpiło jakieś przełamanie w polskim Kościele. Tymczasem po liście bp. Janiaka atakującym prymasa Polaka jedyna do niedawna wypowiedź biskupa diecezjalnego brzmiała: „Oczywiście wyrażamy ubolewanie, że te sprawy, które są niewątpliwie trudne i wymagają zbadania, stały się publiczne" (metropolita katowicki abp Wiktor Skworc 19 czerwca w Radiu eM).

Dziwię się i tej wypowiedzi, i milczeniu innych biskupów, bo w przypadku listu Janiaka wystarczyłaby zwykła przyzwoitość, by powiedzieć, jak było i po której jest się stronie. Ale szerzej patrząc, moje dziennikarstwo śledcze, zrodzone z poczucia bezradności jako krzyk rozpaczy, stało się jednak dla mnie i dla innych źródłem nadziei.

Wspomniałeś o niemocy na różnych szczeblach instytucji, nawet przy dobrej woli urzędników. Czy główny problem nie jest strukturalny? Władza w Kościele pozostaje poza jakąkolwiek kontrolą, co łatwo prowadzi do deprawacji. Biskupi mają nad księżmi pełną władzę, dlatego np. nie chcą współpracy ze świeckimi. Janiaków jest wielu. Jak to zmieniać?

Tym, co mnie najbardziej przeraziło w liście bp. Janiaka, nie była nawet agresja wobec prymasa, tylko założenie, że autor znajdzie zrozumienie wśród adresatów swojego listu. A takiego założenia nie mógłby mieć bez wieloletniego doświadczenia, że takimi kategoriami w polskim episkopacie się myśli.

Żeby to zmieniać, niezbędne są – jak powiedziałem – śledztwa plus myślenie o nowym modelu sprawowania władzy w Kościele. Nasze środowiska – „Więzi" i „Tygodnika Powszechnego" – już to robią. Gdy zorganizowaliśmy w „Więzi" dyskusję o sprawowaniu władzy, do stołu usiedli ludzie z tak różnych „parafii", jak Zuzanna Radzik, Tomasz Rowiński, prowincjał augustianów o. Wiesław Dawidowski czy Tomasz Terlikowski, czyli od feministki do tradycjonalisty. I wszyscy się zgodzili, że obecny model władzy w Kościele się wyczerpał. Chyba nadeszły czasy na nowy model Kościoła, a zwłaszcza władzy w nim sprawowanej.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Wyciągnięta ręka

MARCIN CHODUŃ

Troska o nienarodzonych powinna łączyć się z pomocą kobietom w ciąży i rodzinom z niepełnosprawnym potomstwem. Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka jest tego świadome.

Z okresu ciąży Magda pamięta głównie to, że było ciężko. Nie spała, na okrągło brała tabletki na uspokojenie. Z dnia na dzień została bez mieszkania, pieniędzy i bez planu, co dalej. Sytuacja była tak beznadziejna – wspomina dziś – że miała w głowie bardzo różne myśli. Zaczęła szukać pomocy. W internecie natknęła się na stronę Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka. Napisała do nich list.

Obowiązek pomocy

Kamienica w centrum Krakowa, mieszkanie na drugim piętrze. – Nasze Stowarzyszenie działa według strategii opartej na trzech filarach: modlitwie, edukacji i świadczeniu pomocy – tłumaczy Marcin Nowak, koordynator ds. wolontariatu w tej organizacji.

Wszystko zaczęło się w 1981 r., gdy inżynier Antoni Zięba, wykładowca na Politechnice Krakowskiej, pod wpływem pielgrzymki Jana Pawła II do Polski powołał krucjatę modlitewną w obronie życia poczętego. Zaangażowało się w nią 100 tys. osób. Zięba jeździł po kraju, w salkach parafialnych pokazując filmy propagujące ochronę życia ludzkiego od chwili poczęcia (głośny był zwłaszcza kontrowersyjny antyaborcyjny „Niemy krzyk"). Organizował wystawy, drukował plakaty i broszury o aborcji, nagrywał setki audycji radiowych. W wojnie o aborcję z początku lat 90. zajął umiarkowanie konserwatywną pozycję; świadczyć o tym może ulotka, w której mowa o wdzięczności Bogu za to, że kompromisowa ustawa antyaborcyjna została w ogóle uchwalona, przy zastrzeżeniu, że nie jest ona „całkowicie zgodna z Planem Bożym".

W 1999 r. Zięba założył w Krakowie Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka i do śmierci w 2018 r. był jego prezesem. W ostatnich latach, jako publicysta i felietonista Radia Maryja, TV Trwam i „Naszego Dziennika", opowiadał się m.in. za wpisaniem do Konstytucji RP ochrony życia od momentu poczęcia do naturalnej śmierci. W licznych wystąpieniach mówił o cierpieniu kobiet i nie popierał postulatów karania kobiet za aborcję, widząc w nich przede wszystkim drugą po dziecku ofiarę. Pojęcie to odnosił również do ojca dziecka oraz personelu medycznego dokonującego zabiegu.

– Dlatego kwestię pomocy traktujemy jako obowiązek, a nie jak opcję jedną z wielu – tłumaczy Marcin Nowak. – Chcemy realnie pomagać osobom, które zdecydowały się pójść za naszym wezwaniem, żeby dziecko mogło przyjść na świat.

Zdaniem Nowaka, krakowskie Stowarzyszenie nie stanowi wyjątku: w Polsce jest coraz więcej organizacji, które angażują się w bezpośrednią pomoc osobom potrzebującym. Prowadzą domy samotnych matek czy wspierają matki znajdujące się w trudnej sytuacji życiowej, jak choćby Fundacja Małych Stópek ze Szczecina, która organizuje akcje zbierania pieluch czy wózków dla maluchów.

W Stowarzyszeniu działają dwa programy pomocowe: Fundusz Dziecka Chorego, który istnieje od 2012 r. i w ramach którego rodzice dziecka z niepełnosprawnością mogą otrzymywać wsparcie w wysokości 500 zł miesięcznie przez 10 miesięcy, oraz Fundusz Ochrony Macierzyństwa, który funkcjonuje od 2006 r. Ten program do 2020 r. działał przede wszystkim jako system jednorazowych zapomóg (kilkaset wypłaconych w minionych latach). Obecnie zakwalifikowane do programu kobiety w ciąży otrzymują pomoc w wysokości 500 zł od momentu zgłoszenia do chwili ukończenia przez dziecko dwóch lat.

JACEK TARAN DLA „TP"

Iwona i Dominik Sidorowie z dziećmi Zosią i Frankiem oraz psem Heidi, czerwiec 2020 r.

Marcin Nowak: – Pomagamy aktualnie dziesięciu kobietom w ramach Funduszu Ochrony Macierzyństwa i 70 rodzinom w ramach Funduszu Dziecka Chorego. Ze wsparcia dla mam korzystają m.in. nastoletnia dziewczyna, która zaszła z chłopakiem w nieoczekiwaną ciążę, czy studentka, która chce dokończyć naukę. Wśród beneficjentów była także uczennica, którą do programu pomocowego zgłosiła szkoła.

Stowarzyszenie działa jako organizacja pożytku publicznego, ma więc obowiązek sporządzania rocznego sprawozdania finansowego. Według dostępnych w internecie informacji za rok 2018 przychody organizacji wyniosły łącznie nieco ponad 2 mln 181 tys. zł, z czego na pomoc potrzebującym przeznaczono w sumie 90 tys. zł. Poza kosztami administracyjnymi pozostałe wydatki, obejmujące m.in. działalność edukacyjną, konkursy, filmy, audycje radiowe i wystawy, wyniosły 944 tys. zł.

Potrzeby przewyższają możliwości i nie wszyscy mogą otrzymać pomoc. – W przypadku kobiet w ciąży warunkiem jej otrzymania jest złożenie wniosku oraz przedłożenie odpowiednich dokumentów – mówi Nowak. – Chodzi m.in. o zaświadczenie lekarskie potwierdzające ciążę i zaświadczenie o zarobkach, ponieważ z uwagi na liczbę zgłoszeń stosujemy kryterium dochodowe – tak aby pomoc trafiła do najbardziej potrzebujących kobiet. Wniosek jest rozpatrywany w ciągu miesiąca, a pieniądze są wypłacane za okres liczony od momentu jego złożenia.

Na jedną kartę

Magda (31 lat) nie mogła w to uwierzyć. Jak to? Wystarczyło, że ona, dziewczyna z Gdańska, napisała list i dostała pomoc?! Nawet nie musiała jechać do Krakowa.

Po rozstaniu z partnerem („Po prostu weszłam w związek z nieodpowiedzialną osobą, ale nie chcę już tego oceniać") zrezygnowała z pracy w poradni psychologicznej, gdzie była sekretarką, zamierzając założyć własną działalność jako księgowa. Jednak wkrótce zorientowała się, że jest w ciąży.

– Z dnia na dzień zostałam bez środków do życia. Z działalności nic nie wyszło, nie mogłam też podjąć pracy – wspomina.

Owszem, przez całą ciążę pracowała na czarno (usługi księgowe), bo miała kredyt hipoteczny i bała się, że stanie się niewypłacalna. Nie wyobrażała sobie tego: tu dziecko, a równocześnie przychodzą komornicy. Na hipotece nie było więc zadłużenia, ale miała dodatkowy kredyt konsumencki na wkład własny i tam już pojawiły się opóźnienia w spłatach. Momentami zalegała też z czynszem. Szybko uzbierało się kilka tysięcy długu. Nie było wyjścia: musiała sprzedać mieszkanie.

– Wcześniej było dla mnie nie do pomyślenia, żebym chodziła po jakichś MOPS-ach czy innych instytucjach. Na wsparcie rodziny nie mogłam liczyć. Tata zmarł, gdy miałam 4 lata, a mama wyszła ponownie za mąż. Ojczym jest alkoholikiem. Mam jeszcze troje rodzeństwa, więc pieniędzy w domu za dużo nie było.

W liście do Stowarzyszenia napisała prawdę: że nie wie, co robić. Czy ma poddać się aborcji? – Postanowiłam urodzić – przede wszystkim dzięki ludziom ze Stowarzyszenia. To może nie są duże pieniądze, ale wiadomo, że każdy grosz w takiej sytuacji się liczy.

Wreszcie pierwsze kroki

Iwona i Dominik z Krakowa (oboje mają po 32 lata) na pewno nie tak sobie wyobrażali pierwsze miesiące rodzicielstwa. Zamiast radości – szok i załamanie. Bo Zosia urodziła się z genetycznym obciążeniem o nazwie Charge, czyli rzadko występującym zespołem wad (u osób dotkniętych ↦

Stowarzyszenie proponuje **Fundusz Dziecka Chorego i Fundusz Ochrony Macierzyństwa.** W ramach pierwszego zakwalifikowani otrzymują po 500 zł przez 10 miesięcy, w ramach drugiego – miesięczne stypendium do chwili ukończenia przez dziecko dwóch lat.

POLSKIE STOWARZYSZENIE OBROŃCÓW ŻYCIA CZŁOWIEKA

Pierwszy Małopolski Marsz dla Życia i Rodziny, Kraków, 9 października 2016 r.

↦ tym schorzeniem najbardziej obciążone są narządy słuchu, wzroku, równowagi oraz organy wewnętrzne).

– Na początku zupełnie nas to złamało – wspomina Dominik. – Nikt w rodzinie – ani bliższej, ani dalszej – nie miał żadnych doświadczeń z niepełnosprawnym dzieckiem. Nasza Zosia ma obciążony wzrok, nie słyszy na jedno ucho, ma też trudności z równowagą. Nie ma w jej przypadku na szczęście obciążenia umysłowego, ale jej rozwój został znacznie spowolniony.

Przez pierwszy rok Dominik i Iwona próbowali normalnie funkcjonować. Potem zaczęli szukać pomocy. Szybko okazało się bowiem, że wszelkiego rodzaju konsultacje specjalistyczne, badania, wyjazdy czy turnusy rehabilitacyjne bardzo ich finansowo obciążają.

Półtora roku temu zwrócili się o pomoc do Stowarzyszenia. Ich wniosek został rozpatrzony pozytywnie. Jak mówi Dominik, wsparcie, które otrzymywali przez 10 miesięcy, było nie do przecenienia.

Dominik: – Dzięki terapiom Zosia zaczęła stawiać pierwsze kroki dopiero w wieku 3,5 roku. Obecnie mając prawie 5 lat wciąż chodzi niestabilnie. Po łące jeszcze nie pobiega, ale próbuje już coraz bardziej samodzielnie się poruszać.

Marcin Nowak: – Mamy świadomość, że to jedynie doraźna pomoc, ale z drugiej strony dla wielu rodzin jest ona często kluczowa.

Plasterek na rany

Przedstawiciele Stowarzyszenia mówią, że działalność charytatywna bez edukacji to jedynie plasterek na rany. Stąd liczne projekty edukacyjne: konkursy, sympozja i konferencje popularnonaukowe, filmy, audycje radiowe i telewizyjne, wideoblog oraz spotkania z młodzieżą i małżeństwami. Podkreślają, że zawsze sięgają po przekaz pozytywny, afirmujący życie. – Nie pokazujemy drastycznych zdjęć.

Czy to aluzja do kontrowersyjnych działań innych organizacji *pro-life* w Polsce?

Wśród kilkudziesięciu organizacji zrzeszonych w istniejącej od 1992 r. Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia są takie, których radykalne postulaty wzywają matki w nierzadko dramatycznej sytuacji życiowej do nadludzkiego heroizmu i które definiowaną przez siebie misję edukacyjną realizują m.in. za pomocą drastycznych billboardów, przedstawiających zdjęcia abortowanych płodów. Wsławiły się w ostatnich latach zwłaszcza dwie z nich: Fundacja Życie i Rodzina Kai Godek oraz Fundacja Pro – Prawo do Życia Mariusza Dzierżawskiego.

Marcin Nowak: – Nie, to nie jest kontra. Uważamy po prostu, że drastyczne obrazy w przestrzeni publicznej nie są jedyną formą sprzeciwu wobec aborcji. Nie chcemy negować działalności innych grup. Sądzimy jednak, że skuteczniejsze jest pokazywanie piękna macierzyństwa nawet w przypadku problemów. Co jest warunkiem uznania godności dziecka nienarodzonego i przyznania mu pełni praw? Zobaczenie w nim człowieka. Dlatego pokazujemy, że dziecko w łonie matki to nie „galaretka", „fasolka" czy „zlepek komórek", ale nowy, odrębny człowiek, któremu bije serce, który odczuwa ból, rozpoznaje smaki, fika koziołki, rozwija się emocjonalnie.

Pomoc przez telefon

Najnowszą inicjatywą Stowarzyszenia jest telefon zaufania dla kobiet w ciąży potrzebujących wsparcia psychoterapeutycznego.

Marcin Nowak: – Dzwoniły do nas często kobiety w trudnych sytuacjach życiowych. Ponieważ przy naszych projektach edukacyjnych współpracujemy z ginekologami czy prawnikami, mogliśmy kierować panie do tych specjalistów. Zobaczyliśmy jednak, że czasem największym wsparciem może być rozmowa z życzliwą osobą, która nie ocenia, nie daje dobrych rad, ale po prostu słucha. Taką doraźną pomoc psychologiczną świadczy u nas doświadczona psychoterapeutka. Badania wskazują, że kobiety bardzo rzadko decydują się na aborcję z własnej woli. Dzieje się tak najczęściej w sytuacjach, z których pozornie nie ma wyjścia, np. kiedy kobieta jest ofiarą przemocy. Często powodem jest też presja otoczenia.

Telefon zaufania w krakowskim Stowarzyszeniu działa na razie dwa razy w tygodniu po dwie godziny.

MAGDA PO URODZENIU DZIECKA od razu podjęła pracę. Skończyła też studia magisterskie. Nadal mieszka w swoim dawnym mieszkaniu – wynajmuje je od małżeństwa, które je kilka lat temu od niej kupiło. – Ja już swoje przepłakałam – mówi. – Teraz jestem w naprawdę dobrym miejscu. Mam wspaniałego syna, Czarka. To najlepsze, co mnie w życiu spotkało.

© MARCIN CHODUŃ

Kościół bez duchowieństwa?

PIOTR SIKORA

Wśród pierwszych chrześcijan nie było wyróżnionej grupy kapłanów. Jakie to może mieć znaczenie dla przyszłości katolickiej wspólnoty?

Pandemia i spowodowane przez nią zmiany nie pozostają bez wpływu na życie religijne. Wciąż nie wiadomo, jak głęboki będzie ów wpływ i na czym będzie konkretnie polegał. W przypadku katolicyzmu z pewnością dotyczył będzie funkcjonowania wspólnoty i roli, jaką w niej pełnią tzw. duchowni – biskupi, księża, diakoni. Ciekawą analizę tej kwestii przedstawił ks. Andrzej Draguła w tekście „Kapłańska futurologia" („TP" nr 25/2020). Zatrzymał się jednak – by tak rzec – w pół drogi.

Przemiany społeczne

Ks. Draguła zaczyna od odniesienia się do licznych głosów, że rozmaite pandemiczne ograniczenia zakwestionowały panoszący się w Kościele katolickim klerykalizm. Zauważa przy tym, że nie jest oczywiste, „czy to jest kuracja z klerykalizmu, czy może z kapłaństwa". I dodaje: „To istotne rozróżnienie". Przywołuje badania socjologiczne, z których wynika, że ponad 35 proc. uczniów i studentów z diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej nie widzi konieczności istnienia księży w Kościele, 38 proc. nie ma zdania w tej kwestii, a tylko niecałe 26 proc. uznaje konieczność pośrednictwa duchownych w zbawczym działaniu Kościoła.

Kluczowe wydaje się tu pojęcie pośrednictwa. Draguła opiera się w swoich rozważaniach na myśli ks. Janusza St. Pasierba, który pisał, że współczesny człowiek, w odróżnieniu od wcześniejszych epok, uważa, że „może sam (...) załatwiać swe sprawy z Bogiem". „Czyżby dzisiejszy kryzys kapłaństwa to wypadkowa braku zapotrzebowania na pośredników między ludźmi a Bogiem?" – pyta.

Autor „Kapłańskiej futurologii" słusznie krytykuje silnie obecną wśród polskiego kleru – ale także bardziej tradycjonalistycznie nastawionych świeckich – koncepcję, wedle której ksiądz zajmuje względem Boga jakoby bardziej uprzywilejowane miejsce, przez co zanoszone przez niego modlitwy miałyby być bardziej skuteczne. Elementem takiej koncepcji jest teologia liturgii, zwłaszcza Eucharystii, wedle której to ksiądz odprawia mszę dla ludzi i reprezentuje wiernych przed Bogiem.

Draguła z aprobatą przywołuje interpretację dokumentów soborowych, wedle której „kapłan mszy nie sprawuje »dla ludzi«, ale »z ludem«, bo właściwym podmiotem odprawiającym mszę jest całe zgromadzenie, któremu on przewodzi". W konsekwencji *ars celebrandi* zamienia się w *ars praesidendi*, sztuka celebrowania w sztukę przewodniczenia.

Wizja kapłaństwa przejęta przez Dragułę od Pasierba zawiera jednak w samym centrum ideę pośrednictwa pomiędzy Bogiem a ludźmi – choć w zamyśle obu autorów ma to być pośrednictwo pozbawione względem człowieka dystansu i związanego z nim sztucznego ↦

EZRA ACAYAN / GETTY IMAGES

autorytetu. Zdaniem Pasierba, Bóg „pragnie spotykać się z ludźmi przez człowieczeństwo, by Jego straszliwy majestat był jakby ograniczony przez słabość wybranego człowieka". To za pośrednictwem człowieka chce zmniejszyć transcendentny dystans, dlatego „potrzebuje zwykłych ludzkich nóg, żeby iść do ludzi, potrzebuje ludzkich rąk, żeby ich dotknąć, pogładzić, podnieść, potrzebuje ludzkich ust, żeby mówić do ludzi zrozumiałym dla nich językiem".

Bez wątpienia chrześcijaństwo głosi, że relacja z Bogiem dzieje się w relacjach międzyludzkich. Tyle tylko że to, co Pasierb – i za nim Draguła – przypisują księdzu, można przypisać każdemu chrześcijaninowi. Owszem, i Draguła zauważa, że w okresie pandemii, gdy nie można było uczestniczyć w nabożeństwach w kościołach, „przypomnieliśmy sobie o Kościele domowym, o kapłańskiej funkcji ojców i w ogóle świeckich". Nie idzie jednak za tą myślą do końca.

Powszechne kapłaństwo

Być może dzieje się tak, gdyż Draguła nie sięga dostatecznie daleko w przeszłość – ku pierwotnemu chrześcijaństwu. A przecież, pomimo rozwoju pojmowania objawienia, dla chrześcijaństwa spoglądanie na własne początki jest o tyle ważne, że pozwala rozróżnić, co jest dla chrześcijańskiej tożsamości konstytutywne, a co stanowi przestrzeń możliwej zmiany.

W kwestii kapłaństwa badacze są zasadniczo zgodni. Praktyka i teologia pierwszych pokoleń uczniów Jezusa była na tle zarówno tradycji Izraela, jak i pogańskich kultów ówczesnego świata niezwykle oryginalna. Pierwsze wspólnoty chrześcijańskie nie posiadały wyróżnionej grupy ludzi, którzy mieliby być jakoś bardziej od innych bliscy sferze *sacrum* i którzy mieliby pośredniczyć pomiędzy Bogiem a wspólnotą, pełnić funkcje kultyczne, na przykład w imieniu pozostałych wiernych składać ofiary. Innymi słowy – wśród pierwszych chrześcijan nie było specjalnej grupy kapłanów.

Miano kapłana przysługiwało we właściwym sensie jedynie Jezusowi Chrystusowi – jedynemu pośrednikowi pomiędzy Bogiem a ludźmi. Ze względu zaś na powszechną, wewnętrzną, immanentną obecność Chrystusa w całej wspólnocie chrześcijańskiej i w każdej ochrzczonej i ochrzczonym – cała wspólnota była wspólnotą kapłańską. „Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego robicie – róbcie na chwałę Boga" (1 Kor 10, 31) – pisał Paweł z Tarsu do Koryntian. Rzymian zaś prosił: „proszę was, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście dali ciała swoje na ofiarę żywą, świętą, Bogu przyjemną, jako wyraz waszej rozumnej służby Bożej" (Rz 12, 1). Apostoł używa tu terminów świątynnego kultu. Całe życie chrześcijańskie ma – w tej wizji – charakter kultyczny. Nie istnieje podział na sferę *sacrum* i *profanum*.

> Pojawienie się świeckich liderów wspólnot, świeckich teologów czy przewodników duchowych sprawiło, **że biskupi i księża stracili monopol** na „sprawy duchowe".

W gronie uczniów Jezusa powinna panować równość: „Otóż wy nie pozwalajcie nazywać się Rabbi, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie. Nie chciejcie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus" (Mt 23, 8-10).

Fundamentalnej równości nie przeczy ustanowienie przez Jezusa grupy Dwunastu. Zdaniem wielu biblistów działanie to najlepiej odczytać jako symboliczny gest odnowienia Izraela. Dwunastu zajmuje więc miejsce synów Jakuba – protoplastów dwunastu pokoleń tworzących pierwotnie Lud Wybrany. Wedle tej interpretacji wszyscy członkowie kolejnych pokoleń uczniów Jezusa są ich spadkobiercami, a nie jakaś wybrana grupa. Adresatami Jezusowego wezwania z ostatniej wieczerzy – „To czyńcie na moją pamiątkę" – są wszyscy jego uczniowie. Takie właśnie rozumienie widać w nowotestamentalnych tekstach opisujących gromadzenie się na Eucharystii i wyjaśniających tę czynność – to cała wspólnota gromadzi się i celebruje, wyrażając w tej celebracji „kapłańskie" zaangażowanie całego życia wszystkich swoich członków.

Pierwsze wieki

Oczywiście, jak każde grupy ludzkie, także wspólnoty chrześcijańskie posiadały pewne struktury. Na początku miały one w dużej mierze charakter charyzmatyczny, co nie znaczy, że pozbawione były pewnej „urzędowej" trwałości. Już w pierwszych Kościołach pojawiają się ludzie nazywani *episkopoi*, *presbyteroi* czy *diakonoi* (choć np. w pierwszej gminie w Antiochii są tylko prorocy i nauczyciele; por. Dz 13, 1). Pierwsze wspólnoty judeochrześcijańskie są kierowane przez kolegia „starszych" (*presbyteroi*). Na czele wielu Kościołów wywodzących się z pogan stoją „zarządcy" (*episkopoi*). Pod koniec I stulecia te odmienne dotąd struktury zaczynają się mieszać i łączyć. *Episkopoi* i *presbyteroi* przewodniczą zgromadzeniom eucharystycznym, ale nie pełnią w ich trakcie jakiejś bardziej kultycznej funkcji.

Jedynym miejscem Nowego Testamentu, gdzie „starszym" przypisuje się rolę, która może być skojarzona z kapłaństwem kultycznym, jest fragment Listu Jakuba, którego autor radzi: „Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi starszych Kościoła, by się modlili nad nim i namaścili go olejem w imię Pana. A modlitwa pełna wiary będzie dla chorego ratunkiem i Pan go podźwignie, a jeśliby popełnił grzechy, będą mu odpuszczone" (Jk 5, 14-15). Być może właśnie przez takie skojarzenie w Biblii Tysiąclecia czytamy tutaj o „kapłanach", co ma być – językowo zupełnie bezpodstawnie – przekładem greckiego *presbyteros*. W następnym wersie znajdujemy kolejną zachętę, którą można by powiązać z późniejszą praktyką sakramentalną: „Wyznawajcie zatem sobie nawzajem grzechy, módlcie się jeden za drugiego, byście byli uzdrowieni" (Jk 5, 16) – ale, co ciekawe, nie ma tu już wzmianki o wyznaniu grzechów prezbiterom, lecz sobie nawzajem.

Stopniowe zmiany

W następnych pokoleniach chrześcijan następowało stopniowe pomniejszenie znaczenia funkcji i posług charyzmatycznych, natomiast coraz większe znaczenie zyskiwali biskupi, prezbiterzy

i diakoni. Jak jednak wskazują badacze, do końca II w. ich funkcję pojmowano nie tyle jako kapłańską, co administracyjną. Kapłaństwo – czyli przynależność do sfery świętej, rolę składania kultycznych ofiar – przypisywano nadal wszystkim chrześcijanom.

Porównując chrześcijaństwo do innych religii, Ojcowie Kościoła tamtego czasu wskazywali, że wszyscy chrześcijanie powinni być traktowani jak kapłani pogańscy – na przykład powinni być zwolnieni ze służby wojskowej. Można też w pismach tamtego okresu znaleźć wskazówki dotyczące celebracji Eucharystii: jeśli są obecni biskupi czy prezbiterzy, oni powinni przewodniczyć zgromadzeniu, lecz jeśli ich nie ma, zgromadzona wspólnota i bez nich może składać ofiarę.

Dopiero w III w. zaczynają się pojawiać teksty łączące biskupów, prezbiterów i diakonów z kapłanami Starego Testamentu. Radykalna zmiana nastąpiła zaś w IV w., z chwilą gdy Konstantyn uznał chrześcijaństwo za jedną z religii cesarstwa. W powszechnym mniemaniu, podzielanym przez władcę, każda religia powinna mieć swoją kastę kapłańską, nad którą pieczę sprawuje najwyższy *pontifex*, czyli sam cesarz. W przypadku chrześcijaństwa do kasty takiej zaliczono biskupów, prezbiterów i diakonów. Wiązało się to z określonymi przywilejami, jak zwolnienie ze służby wojskowej czy z pewnych podatków. Ta wygodna i chętnie zaakceptowana przez „duchownych" sytuacja została wzmocniona przez „opinię publiczną" – masowe, często politycznie motywowane nawrócenia pogan na chrześcijaństwo spowodowały, że coraz liczniejsi wierni zaczęli postrzegać biskupów czy prezbiterów na wzór pogańskich kapłanów.

Odrębność duchowieństwa jako osobnego stanu społecznego, poświęconego sprawom duchowym, umocniła się w feudalnym społeczeństwie średniowiecznym. Wyrazem takiej wizji był Dekret Gracjana z XII w., w którym czytamy o dwóch rodzajach chrześcijan – duchownych „poświęconych służbie Bożej" i zwykłych świeckich.

Dziś i jutro

Rozważając dzisiaj przyszłość Kościoła, nie można oczywiście pominąć reform *Vaticanum II*. Ostatni sobór do pewnego stopnia powrócił do teologii pierwszych wieków. Widać to np. w strukturze Konstytucji dogmatycznej o Kościele, w której najpierw mówi się o Ludzie Bożym – Kościele jako całości, a dopiero na tym tle przedstawione zostają poszczególne funkcje w służbie wspólnoty. Do takiej teologii wyraźnie nawiązuje ks. Andrzej Draguła. Niemniej, w świetle tego, jak wyglądała teologia i praktyka Kościoła pierwotnego – oraz biorąc pod uwagę współczesne przemiany społeczne i religijne – można postawić pytanie, czy reforma soborowa nie jest jedynie pierwszym krokiem dalej idących przemian.

> Kryzys instytucjonalny Kościoła pokazuje, że w tej chwili pytaniem nie jest „czy", ale **„jak" powinno się zmieniać funkcjonowanie** we wspólnocie biskupów i księży.

Zauważmy, że to, co cytowany przez Dragułę ks. Pasierb pisze o roli księdza w przybliżaniu ludziom Boga, można w oczywisty sposób zastosować do wielu chrześcijan bez sakramentu święceń. Czyż ludzkie ręce, przez które Bóg dotyka, gładzi i podnosi ludzi, nie są np. rękami siostry Małgorzaty Chmielewskiej lub wolontariuszy Zupy na Plantach? Czyż nie mówi zrozumiałym dla ludzi językiem przez usta kobiet psycholożek odbierających telefony od zranionych w Kościele albo przez słowa świeckich charyzmatycznych katechistów czy nauczycieli modlitwy kontemplacyjnej?

Zjawiska takie jak rozwój nowych ruchów religijnych inspirowanych i prowadzonych przez świeckich, liczba i jakość teologicznie wykształconych publicystów, psychoterapeutów, coachów i przewodników duchowych sprawiły, że biskupi i księża stracili pozycję specjalistów od spraw religijnych i egzystencjalnych.

Jak pokazują badania historyczne, także ich pozycja – grupy specjalnie poświęconej kultowi – nie jest czymś, co należało od początku do istoty chrześcijaństwa, lecz raczej wynikiem jego sekularyzacji – upodobnienia się do „politycznych" pogańskich religii cesarstwa. Owszem, księża odgrywali kluczową rolę w chrześcijańskiej liturgii, ale wewnątrz wspólnoty, która cała ma charakter kapłański.

Można zatem postawić poważne pytanie: w jakim kierunku i jak dalece może zmienić się sposób funkcjonowania biskupów i księży? Zwłaszcza że istnieją jeszcze inne czynniki zmiany: kryzys instytucji kościelnych spowodowany skandalami pedofilii i jej ukrywania, coraz mniejsza liczba „powołań", a także coraz powszechniejsza świadomość konieczności wypracowania innego niż dotąd modelu Kościoła – co ujawniło się podczas Synodu dla Amazonii.

Nadchodzi prawdopodobnie czas różnorodności – w różnych miejscach Kościoły lokalne będą wyglądały bardzo różnie. Całkiem jednak możliwe, że powoli dominować zacznie model, w którym przyjęcie sakramentu święceń nie będzie wiązało się z wejściem w żaden osobny „stan duchowny" ani nawet z wykonywaniem w pewnym sensie odrębnego zawodu. Paweł z Tarsu, by się utrzymać, szył namioty. Jego przyjaciele, małżeństwo Pryscylla i Akwila, gromadziło Kościół w swoim domu. Być może któreś z nich pełniło funkcję biskupa, Paweł radził bowiem, by biskupami zostawali ci, którzy umieli wychować swoje dzieci.

Biskupi, prezbiterzy, diakoni – którzy od początku byli w Kościele i pełnili kluczowe role w jego sakramentalnym życiu – nie znikną. „Duchowieństwo" – być może...

©℗ PIOTR SIKORA

Korzystałem z: H. Bourgeois, B. Sesboüé SJ, P. Tihon SJ, „Znaki Zbawienia. Historia dogmatów t. III", przeł. P. Rak, Wydawnictwo M 2001; W. Gajewski, „Charyzmat, urząd, hierarchia", Wydawnictwo WAM 2010; J. Gnilka, „Jezus z Nazaretu", przeł. J. Zychowicz, Znak 1997; J. Gnilka, „Pierwsi chrześcijanie", przeł. W. Szymona OP, Wydawnictwo M 2004; H. Pietras SJ, „Od prezbiteratu do kapłaństwa: ewolucja pojęć i urzędu", „Studia Bobolanum", 3(2002); H. Pietras SJ, „Chrzest jako sakrament kapłaństwa" [w:] „Katechumenat i inicjacja chrześcijańska w Kościele starożytnym", red. S. Drączkowski i in., Polihymnia 2011; É. Trocmé, „Pierwsze kroki chrześcijaństwa", przeł. J. Gorecka-Kalita, Wydawnictwo WAM 2004.

SASCHA STEINBACH / EPA / PAP

Przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble (na wózku) podczas obchodów 80. rocznicy niemieckiego ataku na Polskę, które w Berlinie odbyły się na placu Askańskim. 1 września 2019 r.

KLINCZ POLSKO-NIEMIECKI

Patrząc na Niemcy, Polacy widzą wciąż niezamknięty wojenny rachunek. Jego wagę podkreśla spór o reparacje, ale też pomysł pomnika polskich ofiar w Berlinie. Ten stoi dziś pod znakiem zapytania.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Na terenie niemieckiej stolicy znajduje się 228 placów. Gdyby to zależało od Emilie Mansfeld, nazwę jednego z nich należałoby zmienić na plac 1 Września 1939 roku. Mógłby to być np. plac Askański: to tutaj rok temu 1 września, w 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej, spotkali się zwolennicy pomysłu powstania pomnika ku czci jej polskich ofiar.

Z Warszawy do Berlina przyjechała z tej okazji marszałek Sejmu Elżbieta Witek, aby przekazać inicjatorom poparcie polskiego rządu. Po stronie niemieckiej towarzyszył jej przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble. „Plac Askański byłby odpowiednim miejscem na ten pomnik – stwierdził. – W listopadzie 1940 r. został tu powitany przybywający z wizytą sowiecki minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow, jeden z architektów paktu Ribbentrop-Mołotow, którego skutki były tak fatalne dla Polski. To przypomina, że Polska była okupowana dwukrotnie, najpierw przez Niemcy, a następnie przez Związek Sowiecki" – gdy Schäuble, weteran niemieckiego parlamentaryzmu, wygłaszał te słowa, szczęśliwi zwolennicy pomnika wyobrażali już sobie kolejne etapy jego budowy.

Politycznie mało realne

Zgromadzeni wówczas na placu Askańskim niemieccy politycy komentowali też wycofanie się polskiego rządu z zamiaru ogłoszenia raportu, w którym miała być wyliczona kwota roszczeń wobec Niemiec za zniszczenia wojenne. Przygotowujący dokument poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, który wielokrotnie wspominał o spodziewanym rachunku w wysokości nawet biliona dolarów, chciał wyłożyć karty na stół właśnie 1 września 2019 r. Gdy tak się nie stało, w Berlinie zaczęto dyskutować o sposobie wyjścia naprzeciw polskiemu rządowi i zaproponowaniu alternatywnej formy zadośćuczynienia. Wśród pomysłów przewijało się powołanie specjalnego funduszu dla żyjących jeszcze ofiar i ich rodzin, jak też partycypacja w kosztach odbudowy Pałacu Saskiego w Warszawie.

U zebranych tamtego dnia na placu Askańskim dominowało poczucie, że pomnik i inne formy zadośćuczynienia byłyby warstwą balsamu, potrzebnego na wciąż gojące się rany w relacjach polsko-niemieckich.

Jednak od tamtego czasu sprawy znacznie się skomplikowały. Emilie Mansfeld, która w Deutsches Polen-Institut (Niemieckim Instytucie Spraw Polskich) w Darmstadt odpowiada za projekt pomnika, mówi dziś „Tygodnikowi": – Planowaliśmy na kolejne obchody, 1 września 2020 r., już jakiś konkret w tej sprawie. Ale to się politycznie raczej nie uda.

W minionych miesiącach inicjatywa monumentu napotkała problemy, aż w końcu stanęła w ogóle pod znakiem zapytania. A dyskusja o jakiejś odpowiedzi na ewentualne żądania reparacyjne utknęła w oczekiwaniu na ruch rządu w Warszawie.

Projekt Sarrazina

Raport przygotowywany przez komisję pracującą pod okiem posła Mularczyka pozostaje więc nadal pod kluczem. Sam poseł podkreśla regularnie, że z premierą czeka na właściwy moment. Temat reparacji – do debaty publicznej wprowadzony na poważnie przez Jarosława Kaczyńskiego pod koniec 2015 r. – był wielokrotnie już używany na potrzeby wewnętrznej gry politycznej w Polsce. Jednak w tym roku zdecydowanie przycichł. Na odgrzanie nie zdecydowano się nawet w czasie kampanii prezydenckiej.

Milczenie przerwał Manuel Sarrazin, poseł partii Zielonych i szef niemiecko-polskiej grupy parlamentarnej w Bundestagu. W połowie czerwca wystąpił on z autorskim projektem, który przedstawił także w tekście na łamach dziennika „Rzeczpospolita". Uzasadniając go, Sarrazin pisał, że „jakkolwiek Polska prawnie jednoznacznie zrezygnowała z wypłat reparacji, tym niemniej [niemiecka] wina moralna jest w dalszym ciągu przytłaczająca. Fakt ten sprawił, że obcesowa odmowa [ze strony rządu RFN] zaspokojenia żądań reparacyjnych, jakkolwiek prawnie prawidłowa, była jednak moralnie i politycznie nieusprawiedliwiona. Niemcy nie mogą uznawać tej dyskusji za zakończoną, jeżeli nie jest ona taka dla naszych polskich partnerów i przyjaciół".

Sarrazin zaproponował więc szereg działań, które miałby zainicjować niemiecki rząd. Jego projekt obejmuje m.in. powołanie funduszu opieki medycznej dla polskich ofiar wojny, wypłacanie zadośćuczynienia dla ofiar lub ich potomnych, którzy nie otrzymali dotąd żadnych świadczeń, a także program wspierania polskiej kultury, która tak bardzo ucierpiała podczas niemieckiej okupacji.

Sarrazin argumentował też, że na debatę o reparacjach niemieccy politycy powinni „odpowiadać [Polakom] z empatią i zrozumieniem (...). Niemcy muszą wyraźnie zaznaczyć, że są gotowe do odrobienia swoich zadań domowych". Jego argumentacja znalazła w tych dniach potwierdzenie w badaniach „Barometr Polska-Niemcy 2020": ich autorzy, co roku mierzący wzajemne relacje obu społeczeństw, zauważyli w aktualnej edycji, że 30 proc. skojarzeń, jakie Polacy mają dziś w odniesieniu do Niemiec, to wciąż pojęcia dotyczące wojny – jak „agresor", „okupant" czy „Hitler".

Ciekawa, ale bez szans?

– Propozycje Sarrazina to próba wyjścia z klinczu, w którym znalazły się Polska i Niemcy – mówi „Tygodnikowi" prof. Krzysztof Ruchniewicz, historyk i dyrektor Centrum Willy'ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. – Raportu posła Mularczyka wciąż brak, a w Niemczech do tematu reparacji podchodzi się jednoznacznie negatywnie. Ktoś musiał więc wyjść z pozytywnymi propozycjami.

Prof. Ruchniewicz zwraca uwagę, że termin „reparacje" dotyczy zobowiązań między państwami, tymczasem w 1953 r. rząd PRL zrzekł się reparacji od Niemiec. Ruchniewicz uważa więc tę kwestię za zamkniętą: – Ich dochodzenie jest bezsensowne zarówno prawnie, jak i politycznie. Jeśli Polska uznałaby decyzję z 1953 r. za nieważną, oznaczałoby to w praktyce, że wszystkie inne umowy międzypaństwowe, które podpisały władze komunistyczne w okresie do 1989 r., także np. umowa z NRD o uznaniu granicy na Odrze i Nysie, również byłyby nieważne.

Ruchniewicz uważa, że komisja posła Mularczyka miała polityczny cel: – Bardzo chciałbym przyjrzeć się bliżej efektom jej pracy, a następnie zastanowić się, jak praca tej komisji wpłynęła na pogorszenie się relacji polsko-niemieckich.

Jednak, jak już powiedziano, ostatnio nikt z polityków PiS nie podejmuje tego tematu. Nie poruszano go także, gdy 16 czerwca w Warszawie spotkali się szefowie dyplomacji obu krajów, Jerzy Czaputowicz i Heiko Maas. Niemiecki minister wykonał za to inny krok związany z historią: podpisał zobowiązanie podwojenia z 60 do 120 mln euro niemieckiego ↦

wsparcia dla Fundacji Auschwitz-Birkenau, która zarządza miejscem pamięci i muzeum na terenie dawnego niemieckiego obozu.

Co więc z propozycją Sarrazina – czy może ona być jakąś alternatywą? Wydaje się, że mimo ciepłego przyjęcia w kręgach eksperckich nie ma ona szans na polityczne przebicie się – Zieloni są partią opozycyjną. Jeśli do jesieni 2021 r., gdy odbędą się kolejne wybory do Bundestagu, sondaże się nie zmienią, Zieloni mogą liczyć na 20 proc. głosów, podwojenie liczby posłów i w efekcie na możliwą rolę partnera koalicyjnego we wspólnym rządzie z chadecją. Jeżeli wtedy Sarrazin powtórzy swoje propozycje, będzie miało to o wiele większe znaczenie.

Pomnik, centrum...

Niewykluczone, że również do przyszłego roku przeciągnie się spór o pomnik polskich ofiar. Albo raczej o to, co obecnie w tej sprawie proponuje Deutsches Polen-Institut, współinicjator jego powstania.

Po tamtej fali entuzjazmu sprzed niemal roku inicjatorzy musieli bowiem zmierzyć się z krytyką. W opinii wielu niemieckich polityków i ekspertów taki pomnik nie pasowałby do niemieckiej formy upamiętniania i „przepracowywania" historii. Dla niektórych skupienie się tylko na jednej grupie narodowej byłoby „nacjonalizowaniem pamięci" – choć inicjatorzy pomnika wielokrotnie powtarzali, że miałby on dotyczyć nie tylko etnicznych Polaków, lecz wszystkich obywateli II Rzeczypospolitej. Z kolei inni krytycy zaczęli wyrażać obawy natury bardziej praktycznej: że jeśli pomnik postawi się Polakom, wówczas po „swój" monument zaczną zgłaszać się przedstawiciele innych nacji, które ucierpiały w czasie tamtej wojny.

Zaczęły pojawiać się więc koncepcje alternatywne, a zwolennicy pomysłu polskiego pomnika podzielili się na różne „podgrupy". Aż wreszcie, na początku czerwca, dyrektor Deutsches Polen-Institut prof. Peter Oliver Loew zaproponował kompromis: niech w Berlinie powstanie plac 1 Września 1939 roku, a na nim pomnik z napisem w języku niemieckim i polskim: „Niemiecka napaść na Polskę 1 września 1939 roku rozpoczęła II wojnę światową. Oddajemy cześć ofiarom narodowosocjalistycznej polityki okupacji i zagłady, prowadzonej do 1945 roku". Natomiast obok pomnika miałoby powstać centrum dokumentacyjno-edukacyjne, którego tematem byłaby niemiecka okupacja w Europie w latach 1939-45.

MANUEL SARRAZIN, POSEŁ ZIELONYCH DO BUNDESTAGU:

Niemcy nie mogą uznawać tej dyskusji za zakończoną, jeżeli nie jest ona taka dla naszych polskich partnerów i przyjaciół.

Takie odejście od pierwotnego pomysłu spotkało się z liczną krytyką, zwłaszcza po stronie polskiej. Zaczęto się zastanawiać, czy można jeszcze w ogóle mówić o pomniku polskich ofiar. Prof. Ruchniewicz zwraca uwagę, że zwyczajowo w nazewnictwie ulic lub placów upamiętnia się wydarzenia pozytywne, a nie tragiczne: – Przykładowo ulica 17 Czerwca w Berlinie zwraca uwagę na początek powstania w NRD w 1953 r. i jest to data pozytywna. Ale jak można by rozumieć plac 1 Września 1939 roku? To tragiczny dzień dla Polski. Ale dla Niemców? Sukces? – pyta ironicznie historyk.

Ruchniewicz dodaje, że proponowany kompromis nie odwołuje się do pierwotnego zamysłu inicjatorów, czyli upamiętnienia polskich obywateli, ofiar II wojny. Historyk ma też zastrzeżenia do pomysłu centrum. – Z opisu wynika, że mają się tam spotykać przedstawiciele różnych państw, Polski, Rosji, Białorusi lub Ukrainy, i pod niemieckim parasolem rozmawiać o historii. To brzmi tak: jeśli my sami nie potrafimy, to Niemcy nam pokażą, jak powinniśmy dyskutować. Ja za taką pomoc dziękuję – dodaje z przekąsem.

Kompromisu broni Emilie Mansfeld: – Nie twierdzimy, że to, co zaproponowaliśmy, jest już ostateczną wersją. O tym może zadecydować przecież wyłącznie Bundestag – tłumaczy. – Zbieramy teraz te wszystkie komentarze. Trzeba to będzie następnie opracować, uwzględnić i może wymyślić kompromis do kompromisu.

Mansfeld zwraca też uwagę na rozgrywkę polityczną, która rozpętała się wokół pierwotnego pomysłu: – Nasz kompromis był potrzebny, żeby zapobiec sytuacji, w której albo nic się nie będzie działo w Bundestagu, albo będą rozwijane sprzeczne wobec siebie pomysły. Albo, co jeszcze gorsze, tylko konkurencyjny projekt.

...a może puste miejsce?

Konkurencja, o której wspomina Emilie Mansfeld, dała o sobie znać w ostatnich tygodniach. Swój projekt rezolucji przygotowała komisja ds. kultury Bundestagu: wzywa się w niej rząd, by przygotował plan wzniesienia samego centrum dokumentacyjnego na temat ofiar i okupacji niemieckiej w Europie. W tych planach nie ma już mowy o żadnym pomniku, samo zaś centrum miałoby z jednej strony częściowo opowiadać o okupacji Polski, z drugiej jednak – miałoby kłaść równie silny nacisk na zbrodnie, których Niemcy dopuścili się na terenie Związku Sowieckiego. Ma też opowiadać o innych, mniej znanych rozdziałach niemieckiej okupacji w całej Europie.

Może więc właśnie to perspektywa, że polski aspekt nowego upamiętnienia w niemieckiej stolicy zostałby zepchnięty na margines, sprawiła, iż wsparcia dla kompromisowej koncepcji prof. Loewa udzieliło – choć chyba bez stuprocentowego przekonania – polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych?

Co będzie dalej? Aby dowiedzieć się, która koncepcja zdobędzie poparcie większości Bundestagu – bo na koniec decydować będą posłowie – trzeba czekać przynajmniej do jesieni. Jeżeli nie dłużej. Ambasador RP w Berlinie Andrzej Przyłębski potwierdził nam po spotkaniu z sekretarzem generalnym CDU Paulem Ziemiakiem, że zapadła decyzja, aby przed wakacyjną przerwą w obradach parlamentu nie poddawać pod głosowanie żadnej z przedstawionych koncepcji.

Pracownicy Deutsches Polen-Institut wierzą, że uda im się do tego czasu pogodzić różne intencje. – Najlepiej byłoby, żeby najpierw powstał sam pomnik, bo to mniej skomplikowane, a dopiero później centrum dokumentacyjne – przekonuje Emilie Mansfeld. Tego samego zdania jest ambasador Andrzej Przyłębski.

Inne rozwiązanie proponuje Krzysztof Ruchniewicz: – Dla mnie bardziej wymowne od brnięcia w zgniły kompromis będzie pozostawienie pustego miejsca. To będzie krzyk zdesperowanych, że mimo dobrych sąsiedzkich relacji nie byliśmy w stanie upamiętnić w Berlinie polskich obywateli zamordowanych w czasie wojny.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

SGT. RAYMUNDO PRADO / US ARMY

Żołnierze polscy i amerykańscy na poligonie w Drawsku Pomorskim, 11 czerwca 2020 r.

To była niepotrzebna podróż

OLAF OSICA

Podczas wizyty prezydenta Dudy w Białym Domu nie zapadły żadne nowe decyzje. Za to Polska stała się elementem machiny wyborczej za oceanem – ze wszystkimi tego skutkami, jeśli Trump przegra wybory.

Gdy we wrześniu 2018 r. prezydent Andrzej Duda składał wizytę w Białym Domu, pytałem w komentarzu dla „Tygodnika" (nr 40/2018) o długofalowy cel współpracy politycznej Polski i Stanów Zjednoczonych, który wykracza poza liczenie jednostek wojskowych i sprzętu, a dotyka spraw zasadniczych dla Europy i świata.

Niestety, teraz kolejna okazja do wyjścia poza własne opłotki i pokazania się jako realny przedstawiciel Europy została stracona. Jest w tym niebywały paradoks, że tak bliskie relacje Polski z globalnym mocarstwem od lat sprzyjają umacnianiu się naszej peryferyjności, zamiast jej przełamywaniu.

Nic nowego

W minioną środę 24 czerwca Amerykanie usłyszeli z ust Donalda Trumpa kolejną tyradę przeciwko Niemcom. My znowu nie usłyszeliśmy z ust polskiego prezydenta niczego o stosunkach Europy z Ameryką, o przyszłości wolnego świata i wolnego w nim handlu, o potrzebie przezwyciężania problemów we współpracy gospodarczej, których nazbierało się w ostatnich latach.

A to są kwestie, które zadecydują, czy nagłaśniane już wielkie inwestycje amerykańskich firm dojdą finalnie do skutku, czy też nie, oraz jakie wyciągniemy z nich korzyści. Po 30 latach wolnego rynku wiemy już, że nie każda inwestycja sygnowana globalnymi markami buduje nowoczesną gospodarkę i zrównoważony rozwój oraz zwiększa dochody państwa. Można oczywiście udawać w Waszyngtonie, że Bruksela i nasze członkostwo w Unii Europejskiej nie istnieje – ale wtedy nie ma sensu opowieść, że nasz głos jest czymś więcej niż tylko głosem Polski.

Wszyscy oczywiście czekaliśmy na deklaracje o zwiększonej obecności wojskowej US Army w Polsce. Dla większości Polaków jest to wystarczający powód, aby do Waszyngtonu jeździć i unikać trudnych tematów w obawie o reakcję lokatora Białego Domu. Tym razem zabrakło jednak i tego elementu. Jeszcze przed wizytą media donosiły o zamiarze podpisania tzw. Defence Cooperation Act, który reguluje zasady stacjonowania wojsk amerykańskich. Samych żołnierzy miało być zaś o około tysiąc więcej ponad to, co ustalono w zeszłym roku. Mieli oni przybyć do Polski na stałe z Niemiec, z których Donald Trump postanowił wycofać ok. 9 tys. wojskowych. Według „Dziennika Gazety Prawnej", ok. 30 amerykańskich samolotów F-16 miało też zostać przebazowanych do Polski.

Tymczasem podczas wizyty prezydenta Dudy w Białym Domu nie zapadły żadne nowe decyzje czy zobowiązania. Być może więc wcześniejsze spekulacje były tylko elementami gry na wzmocnienie zainteresowania wizytą. Nie można jednak też wykluczyć, że osiągnęliśmy już wszystko, co było możliwe we współpracy obronnej. Jeszcze dwa lata temu idea „Fort Trump" miała służyć budowie stałej, a nie rotacyjnej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Teraz usłyszeliśmy prezydenta Dudę przekonującego, że była to tylko nazwa „pewnego zbioru działań zwiększających amerykańską obecność militarną w Polsce".

Co się stanie jesienią?

Podsumowując, to była niepotrzebna wizyta. Nie wniosła niczego nowego poza szeregiem politycznych deklaracji i obietnic, które są nam dobrze znane, a które nie są przedmiotem kontrowersji. Uczyniła z nas natomiast element rozpędzającej się machiny wyborczej za oceanem – ze wszystkimi tego konsekwencjami dla naszych interesów, gdy w Białym Domu dojdzie do zmiany warty. Dobre, osobiste stosunki z Donaldem Trumpem nie równają się dzisiaj niestety dobrym stosunkom z USA. Byłoby tak, gdybyśmy równolegle i na innym szczeblu utrzymywali dobre relacje z jego rywalami z Partii Demokratycznej. Tak jak miało to miejsce w czasie przekonywania Kongresu do rozszerzenia NATO. Jeśli tego nie robimy, a nie robimy, to zmiana w Białym Domu może oznaczać zmianę naszego położenia.

Kampania wyborcza ma oczywiście swoje prawa. Odpowiedzialność za państwo powinna jednak skłaniać do większej powściągliwości w polityce zagranicznej. Chyba że dla obu prezydentów była to wizyta pożegnalna. O tym dowiemy się jeszcze w tym roku. ©

Ruletka z konsekwencjami

PATRYCJA BUKALSKA

Szwecja uparcie obstaje przy swojej strategii walki z epidemią, innej niż ta stosowana przez resztę Europy. Na szali jest nie tylko życie jej obywateli, ale także wizerunek kraju.

Jeszcze niedawno, w kwietniu, gdy w większości europejskich krajów ogłoszono powszechną kwarantannę, gdy opustoszały ulice, a ludzie zamknęli się w domach, zdjęcia otwartych szwedzkich kawiarni czy sklepów wzbudzały w Europie całe spektrum emocji: od zazdrości przez zdumienie aż po oburzenie.

Teraz, w czerwcu, gdy w większości krajów wirus został przyduszony (nawet jeśli o końcu epidemii nie można jeszcze mówić), Europa powoli wychodzi z lockdownu, a Szwecja znów jest tematem żywych dyskusji, lecz mających już inny charakter. Bo choć rząd w Sztokholmie nie zmienił swojej osobnej strategii w walce z epidemią, to zmieniła się pozycja kraju w statystycznych tabelach: Szwecja, gdzie na COVID-19 zmarło już ponad 5 tys. ludzi, wysunęła się na prowadzenie, gdy idzie o liczbę zachorowań oraz liczbę zgonów w przeliczeniu na milion mieszkańców.

Uderzająca jest tu zwłaszcza przepaść, która dzieli pod tym względem Szwecję od jej nordyckich sąsiadów, krajów o podobnej przecież kulturze i tradycji. W Szwecji jest to ponad 6 tys. zakażeń na milion mieszkańców oraz aż 516 zgonów na milion, podczas gdy np. w Finlandii wskaźniki te wynoszą odpowiednio 1300 i 59. Oznacza to, że śmiertelność w wyniku zarażenia koronawirusem jest tam prawie dziesięć razy wyższa niż w Finlandii.

Co więcej, w Szwecji epidemia nie zwalnia: jeśli chodzi o liczbę nowych zakażeń na 100 tys. mieszkańców, w drugiej połowie czerwca kraj ten miał najgorszą sytuację w całej Europie – 140 nowych przypadków na 100 tys. obywateli. Dla porównania w Wielkiej Brytanii, którą epidemia dotknęła wcześniej bardzo ciężko, było to niespełna 28 przypadków, w Norwegii – cztery, a w Finlandii – nieco mniej niż cztery.

Co dzieje się w Szwecji? I co sądzą o tym jej mieszkańcy oraz ich sąsiedzi?

Za murami szpitala

Christian Unge odbiera telefon w drodze do pracy, na kolejny nocny dyżur.

Jest lekarzem (jak podkreśla: „po prostu zwykłym lekarzem") w Szpitalu Uniwersyteckim Karolinska w Sztokholmie. Pracuje tam od kilkunastu lat. Wcześniej leczył w Burundi i Kongo, w szeregach Lekarzy bez Granic. O swoich doświadczeniach w Afryce, a także o pierwszych krokach jako młody lekarz w Szwecji napisał książkę pod znaczącym tytułem: „Jeśli będę miał zły dzień, ktoś dziś umrze".

Teraz doktor Unge zajmuje się pacjentami z COVID-19. Dokładnie rzecz biorąc tymi, którzy przeżyli, są odłączani od respiratorów i przenoszeni z oddziału intensywnej terapii na jego oddział. Tutaj czeka ich teraz mozolna rehabilitacja, gdyż – jak się okazuje – długotrwałe przebywanie pod respiratorem ratuje wprawdzie życie, ale przy okazji wyniszcza organizm.

– W porównaniu z marcem jest już znacznie lepiej – mówi „Tygodnikowi" Christian Unge. – Najbardziej raptowny spadek w liczbie pacjentów nastąpił w maju. Teraz w szpitalu na oddziale intensywnej terapii przebywa 15 chorych na COVID-19, gdy w marcu było ich 80-90. To kolosalna różnica.

Z perspektywy minionego czasu Unge podkreśla, że na początku pomogłoby więcej wymiany informacji, dyskusji między klinikami i lekarzami. – Komunikacja była kluczem do sukcesu. Rozmawialiśmy np. z włoskimi lekarzami, którzy byli bardzo otwarci, ale w samej Szwecji brakowało komunikacji między szpitalami o tym, jak leczyć – mówi.

Opowiada: – Bycie lekarzem to teraz trochę surrealistyczne doświadczenie. Gdy wchodzi się do szpitala, który jest – nie chcę przesadzić, ale nasuwa się takie określenie – strefą wojenną, zawsze mnóstwo się dzieje, ratujemy ludzkie życie, dyżury są długie. A potem po pracy wychodzi się na ulicę i widzi się ludzi spokojnie siedzących w kawiarniach, nieświadomych tego, co dzieje się tuż obok... Tak, jest to wyzwanie.

Patrzę i się martwię

– Z jednej strony to miłe: widzieć ludzi, których nie ogarnia panika, którzy żyją swoim życiem – opowiada lekarz. – Z drugiej strony, zwłaszcza gdy patrzę na ludzi starszych, bardziej zagrożonych, to się o nich martwię. Myślę sobie: jak to możliwe, że są nieświadomi zagrożenia? Ale oni nie widzieli tych pacjentów podpiętych do respiratorów, których ja widziałem. Np. młodego, 45-letniego mężczyzny, wcześniej bez żadnych schorzeń. Po odłączeniu od respiratora tacy ludzie uczą się znowu samodzielnie oddychać, chodzić. Mają problem z nerkami. Przed nimi są miesiące rehabilitacji.

IBL / REX / EAST NEWS

Znicze koło parlamentu ku pamięci zmarłych na COVID-19. Sztokholm, 28 kwietnia 2020 r.

Co Christian Unge myśli o szwedzkiej strategii? – Nie jestem epidemiologiem – zastrzega. – A COVID-19 to naprawdę dziwna choroba, trudno zobaczyć cały obraz, ciągle wielu rzeczy nie wiemy. Może za rok, dwa będzie można powiedzieć, czy Szwecja wybrała dobrą, czy złą drogę.

Dr Unge kontynuuje: – Myślę, że szwedzkie szpitale bardzo szybko przestawiły się na walkę z wirusem. Można było natomiast lepiej zadbać o ochronę ludzi starszych w domach opieki. Przy czym problem leżał w samym systemie, w którym rotacja pracowników domów opieki jest znacznie większa niż np. w Norwegii i dlatego trudno było nad tym zapanować. To jednak jest już bardziej problem polityczny.

„Niefortunne" śmierci

Szwedzka strategia opiera się na wprowadzeniu tylko niewielkich ograniczeń (jak zakaz zgromadzeń powyżej 50 osób; w restauracjach i barach można zamawiać tylko siedząc przy stoliku; zdalne nauczanie na wyższych uczelniach) oraz na wydawaniu zaleceń, np. aby osoby mogące pracować zdalnie pozostały w domu.

Zwolennicy takiego podejścia uważają, że to poszanowanie indywidualnych wolności. Wskazują na wzajemne zaufanie, jakim w Szwecji obdarzają się obywatele, rząd i instytucje państwowe. Argumentują, że takie działania opierały się na ustaleniach epidemiologów, a nie na pokusach polityków. Natomiast krytycy uważają, że Szwedzi dążą do uzyskania tzw. odporności stadnej kosztem najsłabszych obywateli, np. seniorów. Oraz że dla władz Szwecji gospodarka jest ważniejsza niż ludzie.

Właściwie od samego początku epidemii wrze nie tylko w szwedzkich mediach, ale też w środowiskach naukowców i ekspertów. Już pod koniec marca ponad 2 tys. naukowców podpisało petycję, domagając się wprowadzenia przez rząd większych restrykcji i bardziej zdecydowanej walki z epidemią. „Prowadzą nas do katastrofy" – ostrzegała immunolog prof. Cecilia Söderberg-Nauclér. W kwietniu kolejny list otwarty wystosowała grupa intelektualistów; była wśród nich Lena Einhorn, wirusolog, pisarka i reżyserka.

W liście tym apelowano również o to, aby osoby pracujące z seniorami, np. personel domów opieki, obowiązkowo nosiły maski. W połowie kwietnia wiadomo już było, że jedna trzecia wszystkich ofiar śmiertelnych COVID-19 w Szwecji to osoby starsze, mieszkające w takich placówkach. Teraz jest ich jeszcze więcej. W Sztokholmie przypadki koronawirusa odnotowano w połowie wszystkich domów opieki.

Nawet Anders Tegnell – główny epidemiolog kraju (odpowiednik głównego inspektora sanitarnego w Polsce) i w tej roli „twarz" szwedzkiej strategii – przyznał w końcu, że ochrona starszych nie zadziałała zbyt dobrze. „Niestety, dość dużo ludzi w domach opieki zostało zarażonych i zmarło. To bardzo niefortunne i pracujemy, aby to naprawić" – stwierdził.

To było w kwietniu. Na początku czerwca, gdy sytuacja nadal była trudna, premier Stefan Löfven ugiął się pod presją i zapowiedział powołanie komisji, która zbada działania władz. W sondażu opublikowanym w tym czasie już tylko 45 proc. Szwedów wyrażało przekonanie, że władze są w stanie poradzić sobie z epidemią. Jeszcze w kwietniu nie miało co do tego wątpliwości 63 proc. ankietowanych.

W nordyckiej rodzinie

Reszta Europy od początku bacznie przygląda się szwedzkiej strategii i jej skutkom. Gdy ostatnio wiele krajów zdecydowało się na otwarcie granic (i zrezygnowanie z kwarantanny wobec przybywających zza granicy), niektóre uznały, że nie powinno dotyczyć to Szwedów. Tak postanowili również ich nordyccy sąsiedzi.

Zamknięte granice bardzo martwią prof. Johana Stranga z Centrum Studiów Nordyckich Uniwersytetu w Helsinkach. – Dla nordyckiej współpracy będzie to miało poważne konsekwencje. Nordycka unia paszportowa powstała w latach 50. XX stulecia i działała bez przeszkód aż do roku 2015, do ówczesnego kryzysu uchodźczego, kiedy to granice zostały upolitycznione. Zamykanie granic stało się pierwszym odruchem polityków w chwili kryzysu – mówi „Tygodnikowi" prof. Strang. – To jednak nowe zjawisko w krajach nordyckich, a utrata wiary ludzi w otwarte granice wpłynie na ich życie i na decyzje, jakie będą podejmować.

Jednak Johan Strang nie sądzi, aby ta kwestia na dłuższą metę zaszkodziła relacjom ze Szwecją: – Mam pewne opory, by postrzegać pandemię jako źródło zmian, jakie mają miejsce w relacjach nordyckich. Jest raczej tak, że epidemia uwidacznia problemy, które istniały wcześniej, jak populizm w polityce. Myślę, że debata w okresie poprzedzającym kryzys ↦

uchodźczy, kiedy Szwedzi w jakiś sposób widzieli w Duńczykach rasistów, Duńczycy zaś w Szwedach naiwnych liberalnych idiotów, była większą próbą dla wzajemnych stosunków.

Strang zwraca przy tym uwagę, że choć w Europie zwykło się patrzeć na Skandynawię jak na jeden spójny region, to w istocie relacje między Szwecją i jej nordyckimi sąsiadami nie są wcale symetryczne. – To raczej Finowie, Norwegowie i Duńczycy podążają za Szwecją, a nie na odwrót. Z kolei Szwecja uważa, że gra w wyższej lidze, wśród takich krajów jak Francja czy Niemcy. I nie ma to nic wspólnego z wielkością państwa ani jego położeniem – uważa Johan Strang. – Powodem są dni chwały państwa opiekuńczego, gdy Szwecja w oczach świata oraz w swoich własnych stała się krajem najbardziej rozwiniętym, cywilizowanym. A kiedy jest się tak daleko przed innymi, nie ma sensu się z nimi porównywać. Każdy problem trzeba rozwiązać samemu, bez kopiowania innych.

Johan Strang przyznaje, że postępowanie Szwedów może wydawać się naiwne. Albo aroganckie. Albo irytujące.

Decyzję o swojej strategii Szwecja podjęła właśnie tak: samodzielnie, bez oglądania się na innych, opierając się na wskazaniach (części) swoich ekspertów.

Matematyk, czyli realista

O koronawirusie nadal nie wiadomo wszystkiego. W tym i tego, jak długo utrzymują się przeciwciała po przebyciu choroby i czy osiągnięcie tzw. odporności stadnej w ogóle jest możliwe. Jednym z naukowców, którzy szukają odpowiedzi, jest prof. Tom Britton, matematyk z Uniwersytetu w Sztokholmie. Modeluje on przebieg epidemii w rejonie szwedzkiej stolicy.

Czy czuje ciężar odpowiedzialności? – Raczej wyzwanie – mówi „Tygodnikowi". – W moich stwierdzeniach staram się być uczciwy i zachować pokorę. Zawsze podkreślam, że opieram się na tym, co wiadomo w danej chwili.

– W ciągu tych ostatnich miesięcy popełniłem kilka błędów – przyznaje prof. Britton. – Najważniejszy to taki, że nie wziąłem wystarczająco pod uwagę niejednorodności populacji: w tej samej sytuacji jedna osoba może się zarazić, a inna nie. Nie należy jednak wstydzić się błędów, ale raczej się na nich uczyć.

Pod koniec czerwca Tom Britton opublikował (wspólnie z innymi naukowcami: Frankiem Ballem i Pieterem Trapmanem) wnioski z najnowszych badań. Wynika z nich, że w przypadku koronawirusa tzw. odporność stadna może wystąpić już wtedy, gdy kontakt z wirusem będzie mieć 40-45 proc. populacji, a nie, jak wcześniej sądzono, dopiero 60 proc.

KAJSA GÖRANSSON / MATERIAŁY PRASOWE

Christian Unge

VEIKKO SOMERPURO / MATERIAŁY PRASOWE

Johan Strang

MAKERERE UNIVERSITY

Tom Britton

– Te 60 proc. wzięło się stąd, że brano pod uwagę odporność uzyskaną w wyniku szczepień. Szczepienia prowadzi się w populacji jednakowo. Tymczasem odporność w wyniku zakażenia się i przejścia choroby nabywana jest inaczej. Np. jest bardziej prawdopodobne, że jednostki aktywne społecznie zostaną zakażone. To trzeba wziąć pod uwagę – tłumaczy Britton. – Co więcej, można też sądzić, że nabyta w populacji odporność jeszcze przed osiągnięciem odporności zbiorowej odgrywa istotną rolę dla wyhamowania epidemii. Większą niż wcześniej sądzono.

Czy to optymistyczna konkluzja? – Nie, realistyczna – odpowiada Britton.

Tymczasem pod koniec kwietnia odsetek mieszkańców Sztokholmu, którzy mogli mieć już przeciwciała i odporność na COVID-19, szacowano dopiero na 7,3 proc. Britton przypuszcza, że dziś może to być 15-20 proc.

– Wciąż daleko od poziomu potrzebnego do nabycia odporności – dodaje.

Epidemia mnie zmieniła

Jak w innych krajach, także w Szwecji epidemia wyostrza istniejące problemy – w tym zaniedbania w służbie zdrowia i systemie opiekuńczym. Zmusza też Szwedów do skonfrontowania się z przekonaniem o wyjątkowości ich kraju.

Lena Einhorn, która szwedzką strategię określa mianem „szaleństwa", powiedziała w jednym z wystąpień, że zaburza ona jej wizerunek „stabilnej, racjonalnej Szwecji", która zwykle „bardzo dbała o swoich obywateli". Rzeczywiście, wygląda na to, że wielu zgonom – zwłaszcza w domach opieki – można było zapobiec.

Co dalej? Jak Szwecja wypadnie w ostatecznym epidemicznym rozrachunku? Podobnie jak w innych krajach, wiele zależy od tego, co stanie się w kolejnych miesiącach.

Christian Unge spogląda w przyszłość z obawą: – Dużo mówi się o drugiej fali. Myślę, że to może być druga fala, ale nie COVID-19, lecz problemów w całym systemie opieki zdrowotnej. Lekarze i pielęgniarki są tak wyczerpani, że wielu odejdzie z pracy. Może na stałe, może na jakiś czas. Jak wtedy poradzimy sobie z leczeniem wszystkich innych chorób? W tym roku czeka nas jeszcze wiele wyzwań.

– Powiem za siebie: COVID-19 mnie zmienił – dodaje Unge. – Jestem lekarzem od 20 lat, ale to najtrudniejsze z wszystkich dotychczasowych wyzwań. W Afryce znaliśmy granice, wiedzieliśmy, czego nie da się zrobić. To było trudne, ale po prostu robiliśmy to, co możliwe. W Szwecji i innych krajach zachodnich mamy sprzęt, mamy leki, a jednak w obliczu koronawirusa straciliśmy na początku kontrolę. Brakowało rękawiczek, masek. A przede wszystkim nadal nie wiemy dokładnie, mimo prowadzonych cały czas badań, jak leczyć. To wyzwanie rzucone całej naszej wiedzy medycznej. To trudne.

– A ci starsi pacjenci... To było dla mnie... – Christian Unge przerywa na chwilę. – Jestem zmęczony, jestem już bardzo zmęczony. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

LA CHAVALA / MATERIAŁY PRASOWE

Carmen del Rosal (z prawej) i Nire Benito na planie serialu „Sopa de limón", grudzień 2019 r.

Hiszpańska zupa z cytryn

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Na początku tego roku bezrobotna była tutaj co trzecia osoba poniżej 25. roku życia. A potem przyszła pandemia i nowe masowe zwolnienia.

We wtorek uderzasz po raz pierwszy. Czemu nie w poniedziałek? – Guifré powtarza pytanie i od razu odpowiada: – A kto lubi poniedziałki? No właśnie, panie z pośredniaka też nie. Dlatego wtorek. Ważna jest godzina: jeśli zaczynają o dziewiątej, to nie należy już kilka minut później wisieć im nad głową. Środa? Odpuść sobie, nic nowego ci nie powiedzą. Czwartek, możesz spróbować. No i piątek. Wszyscy już myślą o weekendzie, niewiele zdziałasz. Piątek to moim zdaniem taki poniedziałek, tylko na odwrót.

Guifré mógłby mieć dyplom z szukania. Wie, do kogo najlepiej zagadać. Wyczuwa, gdy pani z okienka ma zły dzień. A jednak, z jakiegoś powodu, od początku tego roku znowu szuka. Tak jak w czerwcu zeszłego. Oraz w listopadzie dwa lata temu. Odkąd skończył 17 lat, Guifré ma wrażenie, że szuka bez końca.

Lodówka dla mamy

Wszystko zaczęło się od przeprowadzki. Wybrali dom w mniejszej katalońskiej miejscowości. Mniej więcej wtedy ojciec nagle stracił pracę. Dlatego zamiast na zajęcia Guifré chodził roznosić CV. Pierwsza praca: u kolegi mamy, w firmie produkującej okna i drzwi. Przeszedł próbne trzy miesiące, kolejne trzy na umowie tymczasowej, a gdy miał zostać przyjęty na rok, okazało się, że nie jest już potrzebny. Wiadomo, mechanizacja produkcji. Wspomnienia ma stamtąd głównie pozytywne. Rodzice kolegi robili mu kanapki, nie zarabiał tak źle. Przełożony bywał trudny, ale teraz Guifré myśli, że chyba nie bez powodu – nastolatka trzeba trochę utemperować.

– Ale wiesz, co było w tym najlepsze? Duma. Nawet jeśli na pięcioosobową rodzinę mieliśmy tylko 700 euro miesięcznie. Bo gdy mama mówiła, że zepsuła się lodówka, to ja kupowałem jej nową – mówi.

A mamę Guifré ma „włoską". Co to znaczy? Że jak w dzieciństwie przyprowadzał z podwórka ośmiu kolegów, to sadzała ich na krzesłach i każdemu dawała porcję *macarrones*. Że do teraz wszystko mu pierze i układa na półkach, choć Guifré ma już 24 lata i powtarza „mamo, zostaw". Chciała, by odkładał sobie na prawo jazdy. – Dobra, ale jak? Skoro w połowie miesiąca już przychodziła do mnie, bo brakowało na jedzenie.

Koniec pracy przy oknach oznaczał wyprowadzkę. Dwa lata spędził z rodzicami i rodzeństwem w *okupas*, pustostanach należących do banków. Bo, jak mówi Guifré, jeśli już zajmować mieszkanie, to tylko takie. Irytowało go użeranie się z policją, która co kilka dni dobijała się do drzwi (policji nie znosi dziś chyba bardziej od banków). Ale nawet wtedy, nie płacąc czynszu, mieli nóż na gardle. Pracował przy zbiorach winogron, ↦

rozładowywaniu towaru, w magazynach. A przez rok nigdzie, bo akurat w Hiszpanii hulał największy od lat kryzys. „Nigdzie" – to w życiu Guifré taki refren.

Pięćdziesiąt procent

Czy Guifré żałuje, że zrezygnował ze szkoły? – Pytasz! Ja się świetnie dogaduję z ludźmi, myślałem: może będę psychologiem? Albo coś z muzyką, mógłbym mieć własny program radiowy. I taka dziennikarska praca jak twoja też by mi pasowała, lubię prowokować!

Kilka pomysłów na siebie miała też Cecilia, 26-latka z Barcelony. W dzieciństwie chciała pracować w warzywniaku albo w mięsnym. W niektórych sklepach pozwalano jej nawet wchodzić za ladę. Później interesowała się modą, myślała, aby zostać masażystką. Gdy w wieku 16 lat odeszła ze szkoły, zorientowała się, że żaden z tych scenariuszy szybko się nie spełni.

Przez następne cztery lata nie pracowała: – Ale to nie znaczy, że się obijałam! Robiłam wolontariaty, praktyki, kursy. Ale nic, za co ktoś chciałby mi zapłacić.

Cecilia nie wiedziała może jeszcze, że jest jedną z „wielkich przegranych kryzysu gospodarczego". Ale zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Pocieszenie (wątpliwe) mogła jej przynieść jedynie myśl, że nie była sama: na początku 2013 r. bezrobocie wśród osób poniżej 25. roku życia wynosiło w Hiszpanii już ponad 50 proc.

– Kryzys dotknął wszystkich młodych, to oczywiste – mówi Joan Miquel Verd Pericàs, socjolog z Uniwersytetu Autonomicznego w Barcelonie. – Ale niektórych szczególnie. To prawda, że ci z wyższym wykształceniem emigrowali w poszukiwaniu pracy, ale później ich sytuacja w kraju zaczęła się poprawiać. Sektory, w których zatrudniano tych mniej wykształconych, podnoszą się dłużej.

Co nie znaczy, że sytuacja nie idzie ku lepszemu. Na początku roku 2020, gdy nikt w Hiszpanii nie myślał jeszcze o pandemii, bezrobocie w tej najmłodszej grupie wiekowej wynosiło 32 proc. – to wciąż o kilkanaście punktów procentowych więcej niż europejska średnia.

Na ten wynik może mieć wpływ fakt, że to właśnie młodzi Hiszpanie najchętniej w Europie rezygnują z nauki. Przed rokiem 2008, gdy zaczął się kryzys finansowo-gospodarczy, takie osoby jak Guifré czy Cecilia, z wykształceniem podstawowym lub niepełnym średnim, mogły z powodzeniem szukać zatrudnienia w budownictwie albo usługach. Później wielu z tych miejsc pracy zabrakło.

Według Międzynarodowej Organizacji Pracy za sprawą pandemii zatrudnienie straciła już w skali globalnej **jedna na sześć osób pomiędzy 18. a 25. rokiem życia.**

– Atrakcyjne oferty sprzed kryzysu z pewnością wpłynęły na decyzję wielu osób o zrezygnowaniu ze szkoły – przyznaje Verd Pericàs. – Ale nie powiedziałbym, że to był główny powód. Na problem *abandono escolar* [porzucenia szkoły] składa się wiele czynników, jak sztywny system nauczania, nastawiony bardziej na uczniów planujących studia, więc dla pozostałych niezbyt atrakcyjny.

Cecilia myśli o powrocie do nauki. Ale dla niej przydatniejszy byłby kurs masażu, taki z prawdziwego zdarzenia. Może kiedyś się zdecyduje – najpierw musi na niego zarobić.

Słowo na „m"

Guifré swoje dotychczasowe prace opisuje krótko: *una mierda* (gówno). To, nie da się ukryć, wulgarne określenie może by się tutaj nie pojawiło, gdyby nie było tak konsekwentnie używane w kontekście pracy.

Weźmy choćby takie „Mierdajobs" (Gówniana praca): konto na Instagramie, na którym dziennikarka Alejandra de la Fuente umieszcza relacje wyzyskiwanych pracowników. Albo słowa jednej z bohaterek internetowego serialu o życiu milenialsów, które kieruje do przyjaciółki w tarapatach: „Spójrzmy prawdzie w oczy, twoje życie to i tak była *una mierda*".

Ale to wszystko za chwilę. Wróćmy jeszcze na moment do Guifré.

– Kiedyś przy zbieraniu winogron zarabiałem nieco ponad pięć euro na godzinę. Nie muszę ci chyba mówić, że to nie są wymarzone zarobki za taką wykańczającą pracę.

To wtedy Guifré powiedział sobie: „Za mniej niż siedem pracować nie będę". Cały czas marzy mu się jedenaście. Podobno niektórzy rzeczywiście tyle zarabiają.

– W magazynie, jeśli zdarzy się zatrudnienie na dłuższy czas, mogę wyciągnąć 1200 euro na miesiąc. Można powiedzieć, że nie tak źle. Ale wyobraź sobie teraz, że decyduję się na dziecko. Jak je utrzymać przy takich kosztach wynajmu?

Najdrożej jest w Madrycie i Barcelonie: tu w 2019 r. za wynajem płaciło się średnio 819 i 769 euro. Do tego dochodzą klasyczne zagrania pracodawców: niewypłacane nadgodziny, mobbing, nieprzestrzeganie przepisów BHP. Jedyna praca, z której Guifré sam zrezygnował, to ta, w której szef kazał mu wspinać się na półki po towar bez żadnego zabezpieczenia.

„Mierdajobs" to skarbnica takich historii. Właścicielka konta wrzuca tu głównie relacje z życia wzięte i trochę nagłówków z prasy. Są ogłoszenia „Praca szuka człowieka". Np. takie: „W magazynie, cztery euro na godzinę, doświadczenie niewymagane, ważny jest entuzjazm". Są prywatne wiadomości od szefów, jak ta: „Martina, rozumiem, że wyrobiłaś już swoje godziny, ale wiesz, że w naszej firmie doceniamy, kiedy pracujecie dłużej. To tylko taka rada". Wreszcie trochę newsów z kraju: „Pracownicy firmy Alimerka chcą zarabiać przynajmniej 14 tys. euro rocznie. Nie chcą natomiast dalej odpracowywać swojej jedynej 20-minutowej przerwy w ciągu dnia".

A co w tym wszystkim jest najgorsze? Dla Guifré to proste: *la temporalidad*. Robota tymczasowa. – Dzwonią w środę, czy będę mógł przyjść w piątek, jest praca na kilka dni. Co mam powiedzieć? Mówię, że mogę, przecież zawsze mogę.

Cztery dni tu, cztery tam, czasem coś na tydzień – Guifré przepracował tak całe lata. Gdy znajdzie coś na kilka miesięcy, świętuje.

Bez stabilizacji

Patri, 33-latka z Galicji, najkrócej pracowała kilka godzin. Najdłużej rok, ale tylko na pół etatu. Skończyła oceanografię i jest żywym dowodem na to, że choć bezrobocie rzeczywiście maleje w Hiszpanii równolegle do poziomu wykształcenia, to studia – nawet w połączeniu z doświadczeniem – nie gwarantują stabilizacji.

– W trakcie studiów dostawałam „prace dla studentów", na krótko albo

na część etatu – mówi Patri. – Problem w tym, że funkcjonuję tak do teraz. Żeby znaleźć coś lepszego, może bliżej mojego kierunku studiów, musiałabym zacząć od stażu. A to oznacza zarabianie pół tysiąca przez kilka miesięcy.

Krótkoterminowość umów to jeden z głównych problemów tutejszych pracowników. W 2019 r. było tak zatrudnionych aż 26 proc. Hiszpanów.

– To pamiątka po uelastycznieniu rynku pracy w latach 80. XX stulecia – zaznacza Verd Pericàs. – I choć zwykle uznaje się za normalne, że młody człowiek na początku kariery nie dostaje umowy długoterminowej, tutaj ten okres często się wydłuża. Dodatkowo rozwiązania wprowadzone w 2012 r. pogłębiły problemy młodych: firmom jeszcze bardziej ułatwiono zwolnienia i ograniczono działalność związków zawodowych.

Elena Álvarez jest koordynatorką jednego z takich związków: Avalot zrzesza pracowników między 16. a 32. rokiem życia. – Jesteśmy najlepiej wykształconym pokoleniem w historii – opowiada. – Problem w tym, że w kraju mamy masę ludzi po studiach, którzy często zajmują kluczowe stanowiska w firmach, a nie mają nawet umowy o pracę. Później zarzuca się nam, że przedłużamy sobie dzieciństwo, ale prawda jest taka, że te problemy i brak stabilizacji czasem towarzyszą nam nawet do czterdziestki.

Po humanistycznych, ale robię wszystko

O tym, jak może wyglądać życie młodego absolwenta w Madrycie, opowiada nakręcony w domowych warunkach serial komediowy „Sopa de limón" („Zupa z cytryn").

Jeśli wykluczymy wątek ukrywania ciała angielskiego turysty, problemy rezonują pewnie z niejednym dwudziestokilkulatkiem. Bohaterki dzierżą wszystkie insygnia współczesnego prekariusza: 28 metrów kwadratowych wynajmowanego mieszkania, zerowe oszczędności i po kilka słabo opłacanych prac, które nijak nie wiążą się z ich wykształceniem. „Jestem po humanistycznych, ale robię wszystko" – opowiada entuzjastycznie Adela, bohaterka serialu. „Rozdaję ulotki, atakuję przechodniów flakonikiem Fragrance pour Homme albo opowiadam turystom o centrum Madrytu, choć jestem z Guadalajary". Jej współlokatorka Montse, po ekonomii i niekończących się praktykach, „zebrała resztki godności i poprosiła w firmie o umowę o pracę". I co? Teraz dostarcza jedzenie. Za to punktem odniesienia jest sąsiadka, która ze swoim stałym zatrudnieniem w międzynarodowej firmie i wysokimi zarobkami przypomina, że mogłoby być zupełnie inaczej.

Carmen del Rosal i Nire Benito, które serial napisały i wyreżyserowały, nie musiały szukać inspiracji daleko. Fabuła w dużej mierze bazuje na ich życiu. – Trzeba mieć dużo szczęścia albo kontakty, żeby dostać dobrą pracę, która miałaby coś wspólnego z twoim kierunkiem studiów – mówi Carmen.

Tak jak ich bohaterki, Carmen i Nire w pewnym momencie wróciły do rodzinnych miejscowości. Z nadzieją, że może tam się uda. Jeśli nie znaleźć pracę, to chociaż odpocząć.

Na powrót do domu zdecydowała się też Patri. – Jeśli w mojej miejscowości mnie nie zatrudnią, wyjadę za granicę – mówiła jeszcze w marcu.

Skoro życie daje cytryny

Gdy dzwonię do Guifré na początku czerwca, znów używa słowa na „m": – W marcu dostałem w końcu pracę, przedłużyli na kolejny tydzień. A później przyszła epidemia i mnie zwolnili, jak wszystkich. Teraz znalezienie czegoś graniczy z cudem.

Z wyjazdu Patri też nic nie wyszło, utknęła w Galicji u rodziców.

Za to historia Cecilii ma szczęśliwe rozwiązanie: choć na początku epidemii straciła pracę w firmie ochroniarskiej, w maju przyjęto ją z powrotem.

Masowe zwolnienia w trakcie kryzysu sanitarnego dotykają nie tylko młodych Hiszpanów: według Międzynarodowej Organizacji Pracy przez pandemię pracę straciła w skali globalnej jedna na sześć osób między 18. a 25. rokiem życia. Ale Joaquín Nieto z hiszpańskiego biura organizacji przestrzega, że tutaj bezrobocie wśród młodych może się zamienić w problem strukturalny. Potrzebne są reformy, które pomogłyby szczególnie tym bez studiów i zatrudnienia.

– To prawda, że z europejskiego funduszu wsparcia (Youth Guarantee) w Hiszpanii skorzystały głównie osoby po uniwersytetach. Te pieniądze są, ale niekoniecznie trafiają do najbardziej potrzebujących. A ci najbardziej potrzebujący to wśród młodych zwykle osoby niewykształcone, zagrożone wykluczeniem, a także częściej kobiety i imigranci – przyznaje Verd Pericàs, który nadzieje na realne zmiany wiąże z obecnym lewicowym rządem.

Za to Guifré nadziei już nie ma: – Gdyby nie rodzina, już dawno bym wyemigrował. Dla mnie normalny świat kończy się na południu Francji.

Zmęczone są też Carmen i Nire. Ze zmęczenia powstał zresztą ich serial. Również ze zmęczenia tym, że starsze pokolenia często wydają się nie dostrzegać problemu. Mówią młodym, że wszystko zdobywa się ciężką pracą. – To często te same osoby, które za pełen etat proponują nam 300 euro – mówi Carmen.

Jak to było? Kiedy życie daje ci cytryny, zrób z nich lemoniadę? Dzisiaj w karcie niestety chyba tylko zupa. Kwaśna i ciężko ją przełknąć.

© PAULINA MAŚLONA

POŻEGNANIE

17 czerwca 2020 roku zmarła w Londynie w wieku 99 lat

Ś.†P.

Teresa z Horodyńskich Rostworowska

sybirak, poeta, malarz

o czym zawiadamiają jej dzieci

Bogusław i Barbara Rostworowscy

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Ołeksandr Pechnikow (pierwszy z prawej), żołnierz batalionu „Donbas", i weterani z Berdiańska: Andrij Madżarow, Wadim Sawon i Anton Pszeniczny. Siódmy dzień protestu głodowego przed budynkiem Administracji Prezydenta Ukrainy w Kijowie, 15 czerwca 2020 r.

Safari na ludzi

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

W ostatnich latach na Ukrainie doszło do co najmniej stu zamachów na aktywistów obywatelskich walczących z korupcją i bezprawiem. Zleceniodawcy są nieznani.

Lato to trudny czas dla Wiktora Handziuka. Niedawno, 17 czerwca, jego jedyna córka skończyłaby 35 lat. Ale poniedziałek 30 lipca 2018 r. podzielił życie ojca na „przed" i „po". Tego dnia Katia Handziuk, doradczyni burmistrza miasta Chersoń w południowo-wschodniej Ukrainie, została zaatakowana, gdy wychodziła rano do pracy. Działający na zlecenie zabójca wylał na nią litr kwasu siarkowego w chwili, gdy wsiadała do auta. Chwilę postał obok. Patrzył, jak spływają z niej ubrania, włosy, skóra.

Katia umierała 96 dni. „Tato, czy przeżyję?" – pytała codziennie. Ojciec ją uspokajał, choć jako chirurg wiedział, że nie ma szans: rany pokrywały 80 proc. powierzchni ciała. Ochroniarze stojący na korytarzu szpitala musieli się często zmieniać, bo nie mogli wytrzymać jej krzyków z bólu.

Okrucieństwo tego zamachu zaszokowało wielu, nie tylko na Ukrainie. Organizacje międzynarodowe zaczęły pytać rząd w Kijowie o stan społeczeństwa obywatelskiego. Tym bardziej że nie był to jedyny zamach na aktywistów obywatelskich, a ukraińskim śledczym nie udało się dotąd ustalić ani jednego zleceniodawcy.

„Sarmat", co walczył z korupcją

Traf chciał, że tamtego dnia, kilka godzin po ataku na Katię, na nadmorskim deptaku w Berdiańsku (w obwodzie zaporoskim, także na południowym wschodzie kraju) rozległ się przeszywający krzyk. „Witalik mój kochany, Witalika zabili" – szlochała kobieta w letniej sukience, tuląc leżące na chodniku przed domem ciało męża.

Motywem zabójstwa Witalija Oleszki była jego działalność przeciw korupcji w rodzinnym mieście. Był weteranem: jeszcze na początku wojny wstąpił do ochotniczego batalionu „Donbas" (przyjął pseudonim „Sarmat"), wiosną i latem 2014 r. brał udział w wyzwalaniu donbaskich miast oraz w krwawej bitwie pod Iłowajskiem, po której pół roku spędził w niewoli, w piwnicy gdzieś pod Donieckiem.

Po powrocie z frontu „Sarmat" i jego koledzy-weterani stwierdzili, że czas na porządki w ich rodzinnym Berdiańsku, gdzie – jak tłumaczyli – po Rewolucji Godności nic się nie zmieniło. Władze miejskie wciąż są opanowane przez ludzi z prorosyjskiej Partii Regionów (dziś występującej w nowym wcieleniu). Mimo trwającej wojny miejscowi biznesmeni robią interesy z Rosją i anektowanym Krymem.

„Sarmat" tworzył grupę na Facebooku, na której publikował nagrania z posiedzeń rady miasta i wyniki śledztw na temat majątków miejscowych polityków. Wśród lokalnych decydentów niepokój budziło to, że ktoś z władz w Kijowie wreszcie zwróci uwagę na bezprawie nad Morzem Azowskim.

– Jeśli władza nas nie słyszy, będzie patrzeć, jak umieramy tu z głodu. Może wtedy ktoś wreszcie zwróci uwagę na to, co się dzieje – mówi dziś spokojnie chudy mężczyzna o podkrążonych oczach.

To Ołeksandr Pechnikow, też weteran. Na jego oczach dokonano egzekucji przyjaciela. Teraz ma na czole opaskę: „Głoduję". Jego głodówka trwa od trzech tygodni: od chwili, gdy sąd w Berdiańsku wypuścił z aresztu czterech domniemanych zabójców. Pretekstem była epidemia koronawirusa: argumentowano, że trzeba zmniejszyć liczbę przebywających w za-

kładach karnych. Ale Ołeksandr uważa, że to zleceniodawca zabójstwa (dotąd nieustalony; jego zdaniem to ktoś z berdiańskich biznesmanów) po prostu opłacił sąd.

Głodówka dla sprawiedliwości

W każdym razie sytuacja jest precedensowa: w historii Ukrainy jeszcze nie zdarzyło się, aby ktoś, przeciw komu trwa proces o zabójstwo, opuścił areszt i mógł odpowiadać z wolnej stopy. A także, by odpoczywał sobie na plaży Berdiańska – bo po interwencji adwokatów oskarżonych pozwolono im opuścić areszt domowy i udać się nad morze.

– Podczas procesu grozili śmiercią wdowie i nam. Dziś możemy ich spotkać na ulicy. Przecież oni zrobią wszystko, by nie wrócić do aresztu, a pomoże im w tym tylko likwidacja świadków – mówi Ołeksandr. Dodaje, że w śledztwie okazało się, iż miejscowa policja miała informacje, że życie „Sarmata" jest zagrożone, ale nikt go nie ostrzegł.

– Jak tu spać spokojnie, gdy wiemy, że mordercy są na wolności? Mamy wybór: albo wziąć broń i na własną rękę szukać sprawiedliwości, albo głodować i zapłacić zdrowiem za próbę jej przywrócenia. Na razie wybraliśmy drugą drogę – mówi weteran.

Ołeksandr i siedmiu jego kolegów rozłożyli karimaty przed Administracją Prezydenta w Kijowie. Mówią, że będą tu głodować, dopóki mordercy nie wrócą do więzień, a dziwne decyzje sądu nie zostaną wzięte pod lupę.

Głodujących odwiedzają towarzysze broni, artyści, dawni więźniowie polityczni – jak reżyser Ołeh Sencow, który udziela im rad, jak przetrwać głodówkę z jak najmniejszymi ubytkami dla zdrowia. Ze strony władz nikt z nimi nie rozmawia. Gdy więc widzą jakiegoś polityka, podchodzą – transmitując spotkanie na Facebooku.

Dziś nagrywają jedną z posłanek do Rady Najwyższej. Kobieta jest zaskoczona. Ze zdumieniem patrzy na wychudzonych mężczyzn w mundurach. Zapewnia, że nie wiedziała o sprawie. – Ale po co głodujecie? Martwię się o was, to niebezpieczne – wzdycha.

Odpowiadają, że próbowali już wszystkich form pokojowego protestu.

– Poszliśmy na wojnę, gotowi umierać za kraj. Nie zginęliśmy przez przypadek. Ale jesteśmy jakby martwi. Jestem inwalidą, on też był ranny, tamci byli w niewoli – Ołeksandr wskazuje kolejnych kolegów. – A gdy wróciliśmy do domu, okazało się, że możemy być w każdej chwili zabici przed własnymi domami, jak „Sarmat". Mordercy muszą wrócić za kratki, a zleceniodawca musi zostać znaleziony. Czas zatrzymać to polowanie na ludzi.

Feudałowie z regionów

– Na Ukrainie jeszcze od lat 90. działa swego rodzaju system neofeudalny. Każdy region ma swoich „właścicieli": oligarchów, biznesmenów, czasem zwykłych kryminalistów. Kontrolują miejscowe sądy, policję, prokuraturę. Działalność aktywistów społecznych utrudnia im zarabianie pieniędzy. Dlatego starają się ich pozbyć – stwierdza Olha Reszetyłowa z ukraińskiej filii Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Olha zwraca uwagę na pewien szczegół leksykalny: w rozmowach ludzi ze środowisk obywatelskich takie ataki na działaczy nazywa się już „safari" czy „polowaniem".

Reszetyłowa: – W ostatnich latach mieliśmy co najmniej sto ataków na aktywistów, które zagrażały ich życiu. Ta liczba obejmuje również morderstwa i sfingowane samobójstwa. Do tego dochodzą setki, jeśli nie tysiące innych form zastraszania, jak choćby palenie aut. Liczba ataków rośnie, a sprzyja temu bezkarność. Jeśli choć w jednej sprawie zostaną ukarani nie tylko wykonawcy, ale też zleceniodawcy, to następnym razem ktoś zastanowi się, zanim zamówi morderstwo. Ale jak dotąd śledczym nie udało się ukarać ani jednego zleceniodawcy. To najlepszy wskaźnik kondycji naszych organów ścigania.

Mina w ogródku

Wałentyna Buczek, na co dzień pracująca dla kijowskiej firmy energetycznej, spędziła pół roku w niewoli rosyjskich separatystów. Choć Donieck od 2014 r. należy do nieuznawanej tzw. Donieckiej Republiki Ludowej, prąd jest pobierany z terytorium Ukrainy. Sprawdzanie liczników elektrycznych w blokach na terenach okupowanych zostało uznane przez separatystów za szpiegostwo. Po zwolnieniu w 2017 r. kobieta opowiedziała o przeżytych torturach. Będzie świadczyć w Europejskim Trybunale Praw Człowieka.

Komuś to się nie spodobało. Zaczęło się od prób podpalenia jej domu. Ktoś zabił jej kota. Na jej podwórze podrzucono minę przeciwpiechotną, którą w porę znalazła. Żaden z tych ataków nie doczekał się śledztwa.

Wałentyna mieszka w domu rodziców w Konstantynówce, w tej części obwodu donieckiego, która jest pod kontrolą Ukrainy. Jednak ani rząd w Kijowie, ani sama Wałentyna, znana jako proukraińska aktywistka, nie cieszą się tam sympatią. Lokalna władza ogłosiła, że ona sama organizuje na siebie zamachy.

Gdy kilka dni temu Wałentyna wracała do domu i otworzyła furtkę, wybuchł przyczepiony do niej granat. Odłamki ciężko poraniły jej twarz i kończyny. Olha Reszetyłowa uważa, że atak był spowodowany proukraińską działalnością Wałentyny.

– Wsparliśmy przeniesienie jej sprawy do generalnej prokuratury, do departamentu zajmującego się przestępstwami związanymi z konfliktem w Donbasie – mówi. – Uważam, że wszystkie tego typu dochodzenia powinny być prowadzone przez centralne organa, bo miejscowa policja swą biernością wspiera atakujących.

Jedyne dziecko

Rodzina i przyjaciele Katii Handziuk, skupieni w grupie „Kto dał zlecenie na Katię", przeprowadzili własne śledztwo. Jako zleceniodawców morderstwa wskazali: Wiecesława Mangera (szefa rady obwodu chersońskiego, należącego do partii Julii Tymoszenko), Andrija Horabcewa (byłego szefa tamtejszej administracji, z partii ówczesnego prezydenta Petra Poroszenki) i Jewhena Ruszczyka (zastępcę Horabcewa). Jak dotąd nie zostali oni ukarani. Manger wciąż sprawuje urząd. 28 lipca ma odbyć się posiedzenie sądu w jego sprawie; nie przyznaje się do winy.

– Już się nie boję, że mnie zabiją. Straciłem to, co było dla mnie najważniejsze w życiu: jedyne dziecko. Żyję tylko po to, by doprowadzić do sprawiedliwości. Czuję, że w ten sposób kontynuuję jej misję, walkę z korupcją, za którą zginęła – mówi Wiktor Handziuk. Katię pochował tuż obok mogił żołnierzy poległych w Donbasie. Mówi, że nieprzypadkowo: ona też zginęła na wojnie.

Weterani wciąż głodują pod Administracją Prezydenta.

Wałentyna przebywa na razie w szpitalu. Nie dostała ochrony od państwa. Nie wiadomo, co może ją znów spotkać, gdy wróci do domu.

Safari trwa. ©

ANDRZEJ

Stasiuk:
Beskid. Deszcz

Koniec czerwca i pięknie pada od dwóch tygodni. Jak w zimnej Amazonii. Brązowe ślimaki bez skorup wpełzają do domu. Szum kropel nie ustaje nawet na chwilę. Zieleń się burzy i pieni. Z północy ciągną fale dżdżu. Ciężkie, szare zasłony. Chwilami nie widać reszty świata. Woda jak w niebie, tak i na ziemi. Pod nogami mlaszcze i kląska. Wyjdziesz na chwilę, przemkniesz tu i tam, i trzeba wszystko suszyć. Koniec czerwca i trzeba palić w piecu, bo wilgoć, jak te ślimaki, wchodzi do domu. Na dnie doliny słychać, jak Zawoja przybiera, potężnieje z każdym dniem. Dudni i szumi. Na łąkę wychodzą rude sarny z młodymi. Widać, że w tym deszczu, w jego cieniu, czują się bezpiecznie.

Jednak po dwóch tygodniach człowiek potrzebuje odmiany. Ale przecież nie wyjdzie, nie pójdzie, bo nie ma dokąd pójść. Nie wyjdziesz sobie z deszczu ot tak. Żeby jednak jakoś się wymknąć, zacząłem szperać na półkach w poszukiwaniu jakiejś osuszającej lektury. No i jest. T.E. Lawrence, „Siedem filarów mądrości". W starym, solidnym wydaniu PIW-u z 1971 r. w szarej, płóciennej oprawie. Wiele lat temu zacząłem i zarzuciłem. No i trzeba było tego dwutygodniowego deszczu, żeby powrócić i przeczytać dwa tomy, jak się to mówi, jednym tchem.

Pustynia, pustynia, pustynia. Upał i wiatr. Sucho, gorąco, bez śladu cienia, pod bezlitosnym słońcem Arabii. Ze śmierdzącą wodą z wielbłądzich studni, od której chorują zwierzęta i ludzie, ale i tak ją piją, bo nie ma nic innego. W rojach much żywiących się krwią. W długich przemarszach wśród mamideł i fatamorgan, gdy ślepnie się od pyłu i blasku. Doliny wyschniętych rzek, czarne, rozpalone skały, parzące gołoborza, tysiącletni popiół niesiony wiatrem, tak gorącym, że przepala burnusy i namioty. I kolory, odcienie, kształty nicości, którą ponoć uosabia pustynia. Bo Lawrence jakimś cudem nie oślepł. Można wręcz rzec, że zyskał dar widzenia.

Ten drobny mężczyzna, którego nie chcieli wziąć do wojska, bo fizycznie się nie nadawał, został kimś w rodzaju szpiega albo tajnego agenta Jego Królewskiej Mości. Miał wzniecić antytureckie powstanie wśród beduińskich plemion zachodniej Arabii. Absolwent Oxfordu, archeolog, historyk sztuki, subtelny esteta przywdział burnus, doskonale opanował arabski, wsiadł na wielbłąda i zdobył serca oraz zaufanie niepiśmiennych koczowników, których ulubionym zajęciem był rozbój oraz plemienna wendeta. I oczywiście rozpalił irredentę przeciw Osmanom, którzy podczas I wojny byli sojusznikami Niemiec.

Szli za nim w ogień. Za nim, propagandzistą arabskiej niepodległości oraz arabskiego patriotyzmu. Przejął ich obyczaje, przyswoił sobie ich kulturę. Poświęcił im najpiękniejsze strony, jakie napisał Europejczyk o Arabach. A jednocześnie wiedział, że ich zdradza. Że Europa, gdy już pokona Niemców i Turków, zamiast obiecanej niepodległości zaoferuje im tylko coś w rodzaju angielsko-francuskiego protektoratu.

Tak więc miłość i zdrada. Czy może być lepszy temat na opowieść? A w tle światowa polityka, batalistyka, przemarsze, szarże, błyskawiczne kampanie, pustynna partyzantka, śmierć w boju, męska przyjaźń i honor. (Teraz z niejakim zdziwieniem uświadamiam sobie, że na ponad ośmiuset stronach nie ma ani jednej kobiecej postaci. To w dzisiejszych czasach może być groźne dla autora i dzieła. Ale z drugiej strony, pocieszam się, nad pustynią i wojną Lawrence'a unosi się dyskretny, delikatny cień homoerotyzmu, więc może jednak i autor, i dzieło ocaleją).

„Porośnięte piołunem stoki odznaczały się szlachetną czystością konturów, natomiast zapadliska, w których panoszyła się bujna roślinność, sprawiały przygnębiające wrażenie. W czasie tej nocnej jazdy wydawało mi się, że wędruję po ogrodzie mijając klomby różnorakich kwiatów, których niewidzialną piękność mogę rozpoznać jedynie po zapachach. Głosy również niosły się wyraźnie i daleko. Jadący na czele kolumny Auda zaczął śpiewać, a ludzie podejmowali na chwilę melodię, wtórując mu z powagą i przejmującym wzruszeniem żołnierzy idących na bój" (przeł. Jerzy Schwakopf). Czytam to w Beskidzie. Wciąż pada, a ja nie mam wcale ochoty, żeby przestało. ©

Chcesz otrzymać wcześniejsze numery?
Napisz na **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**
Można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Moc czytania", „Polska żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia", „Moc kobiet".

Mistrzynie / Mistrzowie

Pandemia wywróciła nasz świat do góry nogami i zmusiła do pytania o kwestie podstawowe. Wchodząc w nową rzeczywistość, nie chcemy o tej lekcji zapomnieć: wielu ważnych słów z naszego języka możemy używać inaczej niż dotąd. W kolejnym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego" o kluczowych pojęciach, takich jak DOM, NADZIEJA, ŻYWIOŁ, CZAS czy SOLIDARNOŚĆ, mówi dwoje bohaterów, ekspertów, świadków, których opowieść nadaje tym pojęciom mistrzowską interpretację.

Następny numer „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego" ukaże się w środę 29 lipca!

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nasza wspólna Europa. Recepty

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 27/2020

Nadal wierzę we wróżki

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Trwałość wspólnot możliwa jest dlatego, że każde pokolenie przepisuje stare mity po swojemu. Czas to zrobić z opowieścią o Europie.

1 Za każdym razem, kiedy jakieś dziecko powie: „Nie wierzę we wróżki!", jedna wróżka pada nieżywa. Życie to nie bajka, ale gdy rozejrzeć się wokoło, podobnych przykładów nie brakuje. Kiedy dostatecznie ważni ludzie powtórzą wystarczająco głośno: „nie wierzę w tę firmę", ceny akcji spadają. Gdy eksperci i agencje ratingowe mówią: „nie wierzę w to państwo", koszty obsługi długu rosną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Świat rozpięty jest na niewidzialnych niciach zaufania. Na oczekiwaniach, snuciu planów i trzymaniu się tego, co sobie założyliśmy. A przede wszystkim na opowieściach, które wszystkie te sieci tkają i podtrzymują. Im bardziej złożony i zglobalizowany świat, im bardziej skomplikowane więzy łączą nas z ludźmi zamieszkującymi odległe kontynenty, tym ważniejsza i bardziej subtelna staje się oplatająca nas sieć zbiorowej wyobraźni.

2 Ludzie nie potrafią żyć bez opowieści. To nie wiara w moc opowieści jest oznaką naiwności, lecz przekonanie, że możemy się bez nich obejść. Z punktu widzenia antropologii to oczywiste.

Mity to nie coś, z czego się wyrasta, lecz niezbędna instrukcja obsługi rzeczywistości. Jako jednostki potrzebujemy narracji i modeli poznawczych, które będą nam objaśniać świat, motywować do działania, wskazywać cele i przestrzegać przed niebezpieczeństwem. Jako wspólnoty potrzebujemy symboli, które pozwolą nam budować poczucie solidarności i synchronizować zbiorowe wysiłki.

Nie ma innej ucieczki przed mitem jak tylko w inny mit. Zwycięstwo nad opowieścią odnieść może tylko inna, lepsza opowieść.

3 Dlatego rację miał prezydent Andrzej Duda, kiedy nazwał Europę „wyimaginowaną wspólnotą". Wspólna Europa jest niczym więcej jak tylko piękną opowieścią.

Musimy jednak pamiętać, że narody też są opowieściami. Z perspektywy XXI stulecia łatwo uznajemy je za odwieczne i wieczne. Ulegamy tym samym złudzeniom, projektując w odległą przeszłość dzisiejszą mapę świata, podzieloną na równoważne sobie, kolorowe puzzle o w miarę stabilnym kształcie. W rzeczywistości nowoczesny naród, związany z państwem i obejmujący wszystkich obywateli, to wynalazek świeży.

Także regiony nie składają się po prostu z gór, rzek i jezior, lecz raczej ze wspólnej pamięci tego, co się na ich tle rozgrywało. Składają się z rytuałów, smaków, a także ze wspomnień o rytuałach i smakach, które zagubiły się gdzieś po drodze do współczesności.

Nawet rodzina, na ile wykracza poza swoją biologiczną (nie)oczywistość, składa się właśnie ze wspólnych opowieści. Łączy ją mapa miejsc odwiedzonych kiedyś przez ludzi, z którymi czujemy się spokrewnieni, i kalendarz rocznic upamiętniających sprawy wielkie i małe.

Wspólna Europa nie jest więc żadnym wyjątkiem. Każda wspólnota jest wyimaginowana i trwa tylko tak długo, jak długo żywe pozostają podtrzymujące ją opowieści.

4 Nie wszystkie byty powołane do życia przez naszą wiarę są przyjazne. Nie wszystkie opowieści łączą ludzi. Ponieważ nie potrafimy żyć bez opowieści, a wyobraźnia nie znosi próżni – tam, gdzie ludzie przestają kierować się marzeniami, szybko mogą ulec władzy koszmarów. Kto nie wierzy we wróżki, łatwo uwierzyć może w smoki.

Wróżki to istoty zrodzone z marzeń. Mitologiczny folklor i jego współczesne popkulturowe przetworzenia ukazują je jako filigranowe duszki, bardzo zależne od stałego dopływu wiary. Wróżki mają dobroczynną moc i potrafią przydać skrzydeł innym. Jednak, jak poucza nas choćby opowieść o Piotrusiu Panie, są też istotami próżnymi, aroganckimi, łasymi na pochwały i przekonanymi o własnej wspaniałości. To ważna przestroga. Wspólnota oparta na nadziei i optymizmie łatwo zmienia się we wspólnotę narcyzmu i samozachwytu.

Smoki związane są z całkiem innym postrzeganiem świata. Jak pamiętamy z Wagnera albo Tolkiena, smok zazdrośnie strzeże swego skarbu. Z nieufnością patrzy na każdego wędrowca, kierując się logiką maksymalnej akumulacji kapitału i rywalizacji o ograniczone zasoby. Mit smoka opiera się na nieufności, którą przedstawia się jako interesy. Smok gloryfikuje egoizm kosztem naiwności.

Smoki są potrzebne.

Obsługują istotny rejon naszej zbiorowej wyobraźni i nie sądzę, byśmy byli gotowi całkowicie z nich zrezygnować. Problem polega jednak na tym, że smoki kompletnie nie radzą sobie z globalnymi wyzwaniami. Są dobre w strzeżeniu swych jaskiń i dbaniu o stan skarbca. Tam natomiast, gdzie potrzebne jest zaufanie, współpraca, a także odrobina magii czy nawet wiary w cuda, znacznie lepiej sprawdzą się wróżki.

O ile, oczywiście, gotowe są przezwyciężyć swą próżność.

MARIO WEIGT / ANZENBERGER / FORUM

Magazyny w dzielnicy portowej Hamburga. Niemcy, październik 2013 r.

5 Unia Europejska wiele osiągnęła. Dziś jednak potrzebujemy znacznie więcej. Ci, którym bliska jest idea wspólnej Europy, muszą więc bardzo uważać, by dotychczasowe sukcesy nie przyćmiły im przyszłych wyzwań i z kapitału nie zmieniły się w brzemię. Wspólna Europa ma sens tylko jako projekt odważnie wychylony ku jutru. Bez wielkich, zuchwałych marzeń traci atrakcyjność, zmieniając się w maszynkę do mniej lub bardziej sprawiedliwego dzielenia pieniędzy.

Unia ufundowana została na wspólnym przezwyciężeniu trudnej przeszłości. Karmiła się nadzieją zrodzoną z gojenia ran. Dziś, gdy te rany biegnące wzdłuż międzypaństwowych granic nieźle się już zabliźniły, pora zwrócić się ku innym, ropiejącym wrzodom.

Potrzebna nam Unia bardziej sprawiedliwa, odważniej walcząca z nierównościami, dostrzegająca przepaści dzielące bogatych i biednych. Potrzebna nam Unia, która otwarcie mierzy się z kolonialnymi źródłami swego bogactwa; dla której przyjmowanie uchodźców to o wiele za mało. Potrzebna nam wspólna Europa kierowana marzeniem o świecie, gdzie równie prawdopodobne będą podróże na studia, wakacje lub do pracy z Akry do Paryża, jak te przebiegające w drugą stronę. Dopiero wówczas można będzie mówić o gojeniu historycznych ran.

Mądra Europa uświadamia sobie nie tylko swoją wielkość (ponad 440 mln mieszkańców, ustępuje tylko Chinom i Indiom), lecz także swoją małość (zamieszkuje ją niecałe 6 proc. ludności świata). Potrzebujemy silnej Unii, ale nie przeciw innym światowym mocarstwom. Unia nie przelicytuje państw narodowych w tym, w czym są najlepsze – w dbaniu o interesy i wytrwałym walczeniu o swoje. Dlatego powinna je uzupełniać. Potrzebna nam Unia jako odważny i otwarty partner dla Chin i USA, ale też dla Afryki, która zasługuje na więcej, i dla wielu innych miejsc, które dziś nawet nie istnieją na naszej wyobrażonej mapie planów i interesów.

6 Trwałość opowieści i zbudowanych na nich wspólnot nigdy nie wynika z niezmienności. Przeciwnie – ciągłość możliwa jest dlatego, że każde pokolenie przepisuje stare mity po swojemu.

Czy naiwnością jest wiara w możliwość istnienia wspólnot przezwyciężających różne poziomy egoizmu? Czy to dziecinne marzyć o opowieściach konsekwentnie rozszerzających sferę współodpowiedzialności i solidarności? Nie wiem.

Wiem natomiast, że z całą pewnością naiwni są ci, którzy myślą, że stojącym przed nami wyzwaniom można sprostać robiąc wszystko po staremu. Jak na razie to właśnie „trzeźwi realiści" zachowują się jak dzieci przekonując nas, że problemy ignorowane dostatecznie długo rozwiążą się same; że wystarczy zamknąć oczy, a potwór zniknie.

Jeżeli chcemy stawić czoło globalnym wyzwaniom przyspieszającego świata, to musimy wymyślić Europę na nowo. Najlepiej jako pomost, który prowadzi nas od tego, co lokalne i najbliższe, przez tożsamości narodowe, ku szerszym jeszcze horyzontom solidarności i odpowiedzialności. Być może najważniejszym, co może nam dać doświadczenie wspólnej Europy, jest właśnie odkrycie rysującego się na horyzoncie kolejnego poziomu tożsamości. Mit Unii może poprowadzić Europę ku następnej, ledwie na razie rozpoczętej opowieści. Ku świadomości, że zamieszkujemy wspólną planetę. Jej los będzie losem nas wszystkich.

7 „Z każdą chwilą jej światełko stawało się coraz słabsze, wiedział, że gdy zgaśnie, już jej nie będzie.

– Czy wierzycie? – zawołał.

Blaszany Dzwoneczek nieomal gwałtownie usiadła na łóżku, aby usłyszeć swój wyrok. Zdawało jej się, że słyszy potwierdzające odpowiedzi, a potem straciła pewność.

– Jak ci się zdaje? – zapytała Piotrusia.

– Jeżeli wierzycie – zawołał do nich – klaśnijcie w ręce". ©

Populizm – ofiara wirusa?

PAWEŁ BRAVO

Jak wiele razy w przeszłości, Włochy znów są w europejskiej awangardzie. Tym razem przodują w osłabianiu bakcyla populizmu.

Na pierwszy rzut oka Włochy przodują tylko w dziedzinie mody i wzornictwa. Tymczasem kraj ten w ostatnim ćwierćwieczu już kilkakrotnie był inkubatorem nowych zjawisk politycznych. Tutaj po raz pierwszy na kontynencie została pociągnięta do ostatecznych konsekwencji idea, że polityk to taki sam produkt jak każdy inny, że wybory mogą być czystym spektaklem telewizyjnym i że wyborca to konsument, którego mami się środkami typowymi dla reklamy.

Dziś to podejście jest dla nas oczywiste. Jednak w chwili, gdy Silvio Berlusconi „wszedł na boisko", czyli w pierwszej połowie lat 90. XX w., było to czymś szokującym dla ówczesnej włoskiej elity gabinetowej – brutalnej, ale hołdującej swoim autonomicznym zasadom władzy.

Pierwszy premier ważnego kraju Unii, wzięty prosto z wielkiego biznesu, magnat medialny, który udowodnił, co się stanie, gdy potraktować elektorat wyłącznie jak wielką widownię telewizyjną: kupi ona wszystko, łącznie z przywódcą łamiącym większość dotychczas obowiązujących (choćby tylko połowicznie) zasad estetyki i etyki władzy, począwszy od traktowania państwa jak folwarku, aż po skandale obyczajowe.

W stronę zapaści

Na tę awangardę marketingu politycznego Europa zareagowała z zażenowaniem, nie traktując go jednak jako poważnego zagrożenia dla projektu europejskiego. Z prostego powodu: Włosi byli wówczas jednym z najbardziej euroentuzjastycznych narodów Wspólnoty. Poparcie dla integracji utrzymywało się stale na wysokim poziomie. To tu, we Włoszech, krążyły idee federacyjne, w instytucjach unijnych do dziś symbolizowane przez nazwisko Altiero Spinellego.

Podobnie było w poprzedniej dekadzie, gdy również we Włoszech – a ściślej: w Lombardii i Veneto – krystalizowała się nowa postać populizmu. Ówczesna Liga Północna stawiała na wypaczoną postać tożsamości lokalnej, w której liczy się zasadniczo tylko zawiść wobec elit i nienawiść do obcych. To, co kiedyś było wprawdzie odpychające moralnie, ale nie wystawało poza skalę powiatowego pieniactwa, teraz stało się standardem komunikowania się z wyborcami w dziedzinie „dużej" polityki.

Liga spełniała – choć w sposób przewrotny – politologiczne proroctwa o zacieraniu się podziału na lewicę i prawicę: stała się partią czystego resentymentu i ksenofobii. Dawała wyraz odruchom alienacji mas, odczuwających obcość wobec tego, co postrzegały jako zimną technokratyczną maszynę władzy. Włoska gospodarka jeszcze nie zaczęła płacić zbyt wysokiego rachunku za przyjęcie euro, zatem projekt europejski cieszył się niezmiennie poparciem Włochów. Awangardowym populistom z Mediolanu wystarczało, że szczuli na ziomków z Południa.

Dopiero w kolejnej dekadzie Italia – ten „chory człowiek Europy" (sformułowanie tygodnika „The Economist", który miał na celowniku zarówno głębokie skorumpowanie rządzących, jak i fatalną kondycję finansów publicznych) – wpadła w głębszą zapaść po kryzysie finansowym roku 2008 i późniejszym kryzysie zadłużeniowym strefy euro. Okazało się, jak bardzo wspólna waluta jest projektem uszytym na miarę i wedle zasad obowiązujących w niemieckiej polityce monetarnej oraz fiskalnej – i jak bardzo niedostosowane są do niej włoska gospodarka i finanse publiczne.

Rozpoczęta wówczas wieloletnia recesja spowodowała gigantyczny spadek stopy życiowej i ponad 20 proc. bezrobocia wśród młodych, dla których stało się jasne, że ich aspiracje – żyć lepiej niż rodzice – są całkowicie nie do spełnienia.

Czas Salviniego

Wtedy właśnie Liga, która przeszła wymianę kadr i dostała się pod przywództwo Matteo Salviniego (jednego z najbardziej toksycznych, ale i najbardziej utalentowanych liderów jego pokolenia) i która zaczęła grać o dusze Włochów ze wszystkich regionów, musiała porzucić swój pierwotny rasizm wobec mieszkańców włoskiego Południa, wobec „mafiozów i leni" z Rzymu i Palermo. Liga wytworzyła nowych obcych: imigranta z Afryki lub krajów Maghrebu (potem w ogóle każdego „islamisty") oraz eurokratę.

Nie da się rozstrzygnąć sporu, do jakiego stopnia Unia przespała kilka kluczowych momentów, w których Włochy faktycznie miały prawo poczuć się „pozostawione same sobie" w kwestii przybyszów na pontonach z Morza Śródziemnego – oraz prawa do odrzucenia gorsetu narzucanej przez eurogrupę polityki oszczędności. Faktem jest, że ta mieszanka okazała się politycznie płodna, Lidze zaś zapewniła udział w pierwszej lidze włoskiego parlamentu.

Bo gdy wypalił się pomysł zagospodarowania centroprawicowego elektoratu, wymyślony przez Berlusconiego, a stworzony i uosabiany przezeń ruch Forza Italia zaczął tracić z wyborów na wybory, to populiści od Salviniego byli gotowi zagospodarować tę masę upadłościową. Uczynili to tak skutecznie, że w zeszłorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego dostali 38 proc. głosów.

Toksyczna skuteczność Salviniego bierze się nie tylko z tego, że dobrze rozpoznał złe emocje elektoratu. O ile Berlusconi był samorodnym talentem marketingu telewizyjnego, o tyle Salvini używa mediów społecznościowych dla mobilizowania poparcia, intuicyjnie i z widoczną satysfakcją. Rozumie potencjał jątrzenia, polaryzacji i wzmacniania uproszczonych przekazów tego środowiska. Skuteczny przekaz populisty jest prześmiany, prostacki, często świadomie niedoskonały i dobrze udaje naturalny głos „człowieka z ulicy".

Dobrze rozumiejąc te zasady, Salvini – o zaniedbanym wyglądzie, z wyraźną nadwagą, w sweterku, niezmordowanie robiący sobie codziennie po kilka

selfie – przez ostatnie dwa lata wydawał się niepowstrzymany w drodze do pełnej władzy. Liga była wprawdzie drugą siłą w parlamencie, ale formalnie większościowy partner w koalicji – Ruch 5 Gwiazd (czyli kolejny przykład włoskiej innowacyjności, tym razem w dziedzinie demokracji bezpośredniej) – okazał się na tyle nieudolny, że Salvini, formalnie wicepremier i minister spraw wewnętrznych, był jakby faktycznym premierem.

Jego wierni z partii zaczęli określać go mianem il Capitano – na wzór il Duce (faszyzm to przecież jeszcze jeden przykład włoskiej awangardy). Jeszcze w styczniu tego roku serwis „Politico" umieścił go w rankingu 28 najważniejszych polityków Unii, nadając mu przydomek The Disrupter (Rozbijaka). Panowało wrażenie, że po Borisie Johnsonie to on jest kolejny na liście wewnętrznych liderów dezintegracji i że jak tylko proces brexitu dojdzie do fazy końcowej, Unia jako całość będzie musiała zmierzyć się z równie niebezpiecznym buntem w rodzinie.

Nowy czas, nowe emocje

Minęło kilka miesięcy – i dziś to wszystko jest jednak odległą przeszłością. Włochy wyszły na europejską szpicę, jako pierwszy kraj doświadczając skutków nowego koronawirusa. Niespodziewana katastrofa przesunęła nastroje opinii publicznej – z powrotem ku zaufaniu do państwa, do silnych instytucji publicznych.

Ten efekt „jednoczenia się wokół sztandaru" obserwowano w całej Europie, gdzie partie antysystemowe nie umiały się odnaleźć na nowej mapie emocji. Jednak nigdzie nie było to tak spektakularne jak we Włoszech. Poparcie dla Ligi oscyluje dziś wokół 25-27 proc., wskaźnik zaufania do Salviniego spadł w ciągu paru tygodni o 10 punktów (do 37 proc.) i jest prawie dwa razy niższy od wskaźnika zaufania do premiera Giuseppe Contego – do niedawna figuranta w cieniu Salviniego.

W ciężkich czasach Conte umiał stać się tak potrzebnym wcieleniem troskliwego państwa – choć, prawdę mówiąc, w walce z epidemią nie ma wielkich zasług: premier odgrywał rolę koordynatora regionalnych systemów zdrowotnych, i to niezbyt słuchanego. Jednak zrobił coś znacznie ważniejszego dla przyszłości politycznej kraju, co sprawiło, że z Salviniego zeszło powietrze (w rankingach popularności przebił go nawet inny polityk Ligi, gubernator regionu Veneto, Luca Zaia, który lepiej niż w Lombardii poradził sobie z opanowaniem kryzysu; warto zapamiętać to nazwisko).

Otóż Conte zadbał – nie sam, ale miał w tym niewątpliwy udział – aby partnerzy europejscy potraktowali kwestię pomocy dla Włoch jako pilną i wymagającą śmiałych deklaracji (co do czynów, okaże się wkrótce). Było to kluczowe, bo początkowa „bezczynność Brukseli" i lęk przed tym, że wszelka pomoc (np. z Europejskiego Mechanizmu Stabilizacyjnego, EMS) będzie obwarowana drakońskimi warunkami, stała się w pierwszych tygodniach epidemii refrenem populistów z Ligi. Teraz wygląda na to, że tym razem Włosi dostaną istotną transzę z Instrumentu Odbudowy (oficjalna nazwa: Next Generation EU; planowana wysokość: 750 mld euro), a pieniądze z EMS trafią do Włoch na prostszych zasadach niż kilka lat temu do Grecji.

Może się okazać, że o ile do szczepionki na koronawirusa potrzebna jest bardzo zaawansowana wiedza medyczna, o tyle bakcyl populizmu – w jego nowoczesnej, „salvinistycznej" postaci – da się osłabić środkami starymi jak wszelka polityka: zapewniając wyborcom pieniądze i poczucie, że nie zostaną sami. ©℗

PIERO CRUCIATTI / AFP / EAST NEWS

PANDEMIA SPRAWIŁA, że Europejczycy stracili zaufanie – ale nie tylko do Unii. Wyniki nowego badania przeprowadzonego przez think tank European Council on Foreign Relations w dziewięciu państwach członkowskich obalają tezę o tym, że chcemy silniejszych, kosztem Brukseli, rządów narodowych. Choć aż 48 proc. Polaków twierdzi, że Unia nie odegrała istotnej roli podczas kryzysu, znacznie więcej – 68 proc. – uważa, że następstwem tego powinna być głębsza współpraca. Mniej więcej połowa ankietowanych sądzi, że Unia musi wypracować nowe, wspólne procedury reagowania na podobne kryzysy w przyszłości, państwa członkowskie powinny solidarnie dzielić się kosztami walki z zagrożeniami, a także wzmocniona powinna być zewnętrzna granica Unii. Na zdjęciu: mural Franco Rivollego na ścianie szpitala we włoskim Bergamo, marzec 2020 r.

KAI KUUSISTO / AFP / EAST NEWS

PRZYKŁADÓW SUKCESU Unii jest dużo – zwykle koncentrujemy się na tych politycznych. Nieco mniej widocznym efektem wspólnej Europy jest jednak wzmocnienie tożsamości tych jej regionów, które dotąd pozostawały na peryferiach. Finlandia, Słowenia, Portugalia czy Słowacja to przykłady państw, w których mityczny „dyktat Brukseli" okazał się mrzonką. Na zdjęciu: fińska łyżwiarka figurowa Emmi Peltonen występuje ze specjalnym układem choreograficznym na zamarzniętym jeziorze niedaleko Nuorgam, najbardziej na północ wysuniętej miejscowości Laponii, luty 2020 r.

MAREK RABIJ

Uczynienie Europy pierwszym kontynentem neutralnym dla klimatu można oceniać w kategoriach gry interesów. Warto jednak spojrzeć nań także z perspektywy praw człowieka, do których Unia może dopisać prawo do czystego środowiska.

Jeszcze w zielone grajmy

W krótkiej historii Unii Europejskiej nie brak ogłaszanych z pompą strategii, które z upływem czasu rozpłynęły się w biurokratycznym marazmie. Trudno się w tej sytuacji dziwić rezerwie, z jaką wielu przyjmuje także najnowszy plan Wspólnoty, czyli osiągnięcie do 2050 r. pełnej neutralności klimatycznej pod względem poziomu emisji dwutlenku węgla oraz innych zanieczyszczeń. Wśród głosów krytycznych nie brak nawet opinii o spektakularnym gospodarczym samobójstwie, fundowanym samej sobie przez Europę u progu jednej z najgłębszych recesji w dziejach wspólnego rynku, którą zapoczątkowała pandemia koronawirusa.

Zielony Ład – z nazwą nawiązującą do amerykańskiego New Dealu z lat 30. XX w., który pozwolił USA wyjść z Wielkiego Kryzysu – jest próbą podporządkowania gospodarki Unii celowi nadrzędnemu, czyli walce z katastrofą klimatyczną. Narzędzia, po jakie sięga w tym celu Bruksela, mają jednak niejako wtórnie przywrócić Europie konkurencyjność w globalnej gospodarce – gdy konieczność zielonej transformacji stanie się oczywista nawet dla takich trucicieli jak Chiny czy Indie. Kiedy gospodarki krajów rozwijających się staną wreszcie w obliczu konieczności transformacji energetycznej i ekologicznej, Europa będzie mogła odcinać już od niej pierwsze kupony, chociażby w formie zysków z eksportu technologii. Z niektórych (chyba jednak nazbyt optymistycznych) analiz wynika wręcz, że zielona rewolucja mogłaby nawet odwrócić relację kosztów produkcji, która obecnie przemawia na rzecz przenoszenia jej poza obszar wspólnego rynku.

Świat wielkich liczb

Na razie podatnicy w krajach członkowskich muszą jednak pogodzić się z wydatkami. Kwestie klimatyczne mają stać w centrum nowego budżetu UE na lata 2021-27, w którym łącznie na te cele Wspólnota miałaby wydatkować, jak szacował ostatnio serwis Bloomberg, nawet bilion z 1,87 bln euro przewidzianych łącznie do wydania.

Komisja Europejska chce, aby jednym z narzędzi do realizacji założeń Zielonego Ładu stał się także unijny Instrument Odbudowy, przez który do wspólnej gospodarki trafić ma w najbliższych latach aż 750 mld euro – w formie bezzwrotnych dodatków oraz pożyczek na wyjście krajowych gospodarek z koronakryzysu. W tym celu Unia po raz pierwszy wyemituje obligacje, a spłatę tych zobowiązań miałyby pokryć wpływy ze sprzedaży zezwoleń na emisję dwutlenku węgla w systemie ETS, z „opłaty węglowej" za emisje nakładanej na towary importowane spoza Unii, z podatków od działalności międzynarodowych korporacji na terenie Unii i wreszcie z podatku cyfrowego, który uderzyłby po kieszeni głównie internetowe giganty z Doliny Krzemowej. W tej propozycji krajom uzależnionym energetycznie od węgla, zwłaszcza Polsce, groziłoby ryzyko zostania płatnikiem netto, dlatego w projekcie przewidziano też Fundusz Sprawiedliwej Transformacji z budżetem rzędu

40 mld euro, w którym 8 mld zarezerwowano dla Warszawy.

Świat wielkich liczb – mówią z przekąsem o unijnych propozycjach ich przeciwnicy. Istotnie, doprowadzenie unijnej gospodarki tylko do stanu „zeroemisyjności" dwutlenku węgla, bez realizacji pozostałych celów, może kosztować nawet 250 mld euro rocznie – czyli równowartość około 1,5 proc. PKB całej Wspólnoty. To pieniądze, które mogłyby przynieść szybką i wymierną poprawę warunków w wielu obszarach funkcjonowania Unii, np. finansowania badań naukowych, bezpieczeństwa czy wspólnotowego programu walki z nowotworami.

Pełną piersią

Po drugiej stronie tego rachunku są jednak koszty innego rodzaju. Według Europejskiej Agencji Środowiska w ciągu ostatnich 35 lat skutki negatywnych zmian klimatu kosztowały Europę ok. 400 mld euro. Ten rachunek byłby jeszcze wyższy, gdyby doliczyć doń koszty ludzkie. Tylko w Polsce od chorób wywoływanych zanieczyszczeniem powietrza umiera rocznie ok. 45 tys. osób. Neutralność klimatyczną, która marzy się dziś eurokratom, można zatem traktować także jako głos za upowszechnieniem prawa do zdrowego życia w środowisku wolnym od zanieczyszczeń i gwałtownych zjawisk pogodowych. A docelowo – być może nawet za nazwaniem tego prawem człowieka.

W Polsce ani konstytucja z 1997 r., ani uchwalona cztery lata później ustawa o ochronie środowiska nie gwarantują obywatelom prawa do oddychania czystym powietrzem. Unijne akty prawne na razie również nie przyznają takiego prawa obywatelom Wspólnoty, linia orzecznicza jej instytucji skręca jednak wyraźnie w tym kierunku. Wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE w sprawie Dietera Janecka przeciwko Wolnemu Krajowi Związkowemu Bawaria z 2008 r. stwierdza wprost, że osoby dotknięte niebezpiecznym przekroczeniem progów alarmowych lub dopuszczalnych wartości stężenia szkodliwych substancji w powietrzu mogą domagać się od organów krajowych – również na drodze sądowej – sporządzenia planów działań zmierzających do spełnienia limitów nałożonych przez prawo Unii. Zespół aktów prawnych, które mają konstytuować unijny Zielony Ład, wraz z pieniędzmi na ten cel w budżecie, daje nadzieję, że tego typu roszczenia w przyszłości będą mogły zostać zrealizowane.

Pozostaje pytanie: czy Europa zdoła przekonać resztę świata do gry w zielone?

Wielcy hamulcowi

Wraz z krajami stowarzyszonymi Unia nominalnie pozostaje największą potęgą gospodarczą globu o PKB przekraczającym 16 bln dolarów w skali roku. Ponad 450 mln mieszkańców obszaru stanowiącego wspólny rynek tworzy trzecią najliczniejszą populację świata – zaraz po Chinach i Indiach. W dodatku o znacznie wyższej sile nabywczej. Mimo że w Unii mieszka niecałe 6 proc. ludności świata, jej udział w globalnej wymianie handlowej przekracza 15,6 proc. i dopiero od kilku lat ustępuje miejsca „fabryce świata", jaką stały się Chiny (16,1 proc.). A choć ostatnie dwie dekady upłynęły Wspólnocie na snach o potędze (dość przypomnieć strategię lizbońską, która Stary Kontynent miała ponownie uczynić rzutkim globalnym młodzieniaszkiem), Unia nadal dysponuje dostatecznie dużą siłą gospodarczego i cywilizacyjnego ciążenia, by pociągnąć resztę regionów w tym samym kierunku.

Problem w tym, że prawdopodobieństwo ziszczenia się takiego scenariusza jest obecnie mniej więcej takie samo, jak ryzyko, że nigdy do tego nie dojdzie. Pomimo apeli naukowców, którzy prognozują początek katastrofy klimatycznej już niemal z dokładnością do miesięcy, w globalnej polityce nadal górę biorą doraźne interesy i partykularyzmy. Politycy nie czują presji opinii publicznej na zdecydowane działania dla ratowania klimatu. Niektórzy wyborcy nadal widzą w takich ostrzeżeniach narzędzie socjotechnicznej manipulacji, a w najlepszym razie – odległe zagrożenie, które zamiast strachu wzbudza bardziej uczucie Kantowskiej wzniosłości.

Rząd Donalda Trumpa wypowiedział paryskie porozumienie klimatyczne z 2016 r. w ostentacyjnym geście wsparcia dla własnej gospodarki, a zwłaszcza sektora naftowego, hojnie wspierającego każdego republikańskiego kandydata do Białego Domu. Pekin wciąż uprzejmie zapewnia, że nie widzi ze swej strony przeszkód dla realizacji zobowiązań, jakie wziął na siebie w Paryżu, ale nie zamierza przerywać rozpoczętych już inwestycji w energetykę węglową. Niecałe 250 km od chińskiej granicy, w mongolskim Tavan Tolgoi, płytko pod ziemią na wydobycie czeka wszak rekordowe 6,4 mld ton węgla. Nawet demokratyczna Australia nie kwapi się do porzucenia eksploatacji bogatych złóż tego surowca.

Toksyczny miks

Polski rząd pod koniec zeszłego roku również chwalił się „szarżą premiera Morawieckiego", która dała rzekomo Warszawie zwolnienie ze wspólnych celów klimatycznych (w istocie podczas grudniowego szczytu Wspólnota ustaliła, że wróci do rozmów na ten temat za pół roku). Pomimo koncyliacyjnych wypowiedzi eurokratów w Brukseli nikt nie ma wątpliwości, że nad wcieleniem w życie założeń Zielonego Ładu nadal wisi polskie weto. W pewnym sensie nawet zrozumiałe: dystans dzielący od realizacji tego celu wysoko rozwinięte gospodarki Europy Zachodniej, w przypadku Polski, uzależnionej od węgla, jest dwukrotnie dłuższy.

Jak zauważają autorzy raportu „Transformacja energetyczna w Polsce", opublikowanego w marcu przez think tank Forum Energii, produkcja energii elektrycznej w polskich elektrowniach w 2019 r. spadła do poziomu najniższego od pięciu lat i wyniosła 164 terawatogodziny. W tym samym czasie import energii zwiększył się blisko dwukrotnie, do 10,6 TWh. Na plus w tym zestawieniu trzeba zaliczyć wzrost produkcji energii ze źródeł odnawialnych (OZE) do rekordowego dla Polski poziomu ponad 25 TWh. – choć to nadal zbyt mało, aby Polska mogła spełnić unijne zobowiązania dotyczące udziału odnawialnych źródeł energii w energetycznym miksie.

Autorzy raportu podkreślają zresztą, że rosnący udział OZE nie jest rezultatem działań rządu, wynika bowiem z coraz większego zainteresowania czystą energią wśród jej konsumentów. Problemem jest również ograniczanie emisji gazów cieplarnianych. Emisje w Polsce w 2018 r. utrzymały się na poziomie z roku 2017, przekraczając 412 mln ton ekwiwalentu dwutlenku węgla. Sama elektroenergetyka wyprodukowała blisko 150 mln ton.

W podsumowaniu raportu jego współautorka, prezeska Forum Energii dr Joanna Maćkowiak-Pandera pisze: „Zmiany w energetyce są widoczne, ale można mieć wątpliwości, czy zostały zaplanowane, czy są raczej zaskoczeniem". ©℗

PIOTR BURAS, EUROPEAN COUNCIL ON FOREIGN RELATIONS: Dla Niemiec Unia Europejska była, jest i pozostanie fundamentalnym elementem tożsamości.

Po Merkel nie będzie rewolucji

MARCIN ŻYŁA: Co się stanie w Niemczech po odejściu Angeli Merkel?

PIOTR BURAS: To zależy od jej następcy na stanowisku szefa partii i – przy założeniu dalszych rządów chadecji – kanclerza. Wiele wskazuje na to, że zostanie nim osoba nastawiona w najważniejszych aspektach polityki na kontynuowanie jej kursu. Z czterech kandydatów, o których dziś się mówi – obecnego ministra zdrowia Jensa Spahna, Norberta Roettgena z CDU, Armina Lascheta, premiera landu Nadrenia Północna-Westfalia, oraz Friedricha Merza, szefa grupy CDU/CSU w Bundestagu – tylko ten ostatni wyraźnie odcinał się od Merkel, zwłaszcza w polityce migracyjnej. Jeśli następnym kanclerzem zostałby szef bawarskiej CSU, Markus Söder, którego szanse ostatnio rosną, też nie należy spodziewać się rewolucji, zwłaszcza jeśli miałby rządzić z Zielonymi po wyborach w 2021 r. To dziś najbardziej realny scenariusz.

Głębsza zmiana mogłaby nastąpić np. w polityce bezpieczeństwa czy gospodarczej, gdyby do władzy doszła koalicja lewicowa. Niemniej konsensus polityczny jest w Niemczech nadal szeroki – choć w ostatnich latach nieco skruszał pod wpływem populistycznej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD).

A więc zero zmian?

Niekoniecznie. W czasie epidemii doszło do dwóch powiązanych ze sobą zwrotów, których nikt się nie spodziewał. Niemcy, które zawsze były nastawione na politykę zbilansowanego budżetu, zaakceptowały fakt, że zadłużenie się może posłużyć gospodarce. Proponując rozwiązanie, które posłużyło Komisji Europejskiej jako podstawa tzw. Instrumentu Odbudowy, uznały zaś, że solidarność europejska wymaga od nich wyższego wkładu do wspólnego budżetu. Ponadto Merkel, która do tej pory była przeciwna głębokim zmianom w Unii, zrozumiała, że są one potrzebne.

To ewolucja podejścia czy nie było innego wyjścia?

Gdyby nie pandemia, pewnie by do niej nie doszło. Ale to też efekt zmiany pokoleniowej wśród niemieckich polityków i ekonomistów. Od dłuższego już czasu dojrzewała myśl, że polityka ordoliberalna, czyli właśnie przywiązana do dyscypliny fiskalnej i budżetowej, tłamsi rozwój gospodarki. Pandemia spowodowała, że doszło do przełomu. Wydaje mi się, że będzie trudno wrócić do tamtego, poprzedniego myślenia.

W Niemczech ma to znaczenie, bo od wielu lat narzeka się tu, że kraj żyje tylko ze swojej „substancji". Oczywiście, ma świetne wyniki gospodarcze, ale tzw. twarda infrastruktura – drogi, mosty, ale też np. digitalizacja – jest coraz bardziej zaniedbana. Jednocześnie Niemcy, mając gigantyczne nadwyżki, wciąż oszczędzali, zamiast inwestować pieniądze właśnie w infrastrukturę. Takie inwestycje pobudzałyby zresztą koniunkturę na całym kontynencie.

ARCHIWUM PRYWATNE

W ostatniej dekadzie XX i pierwszej XXI w. Niemcy były motorem rozszerzenia Unii. Potem odegrały ważną rolę w walce z kryzysem strefy euro, zwłaszcza w Grecji. Teraz, wspólnie z Francją, zaproponowały odbudowę Unii po kryzysie pandemicznym. Co pcha Berlin do takich działań?

Z perspektywy wielu krajów Unii rola Niemiec jest bardziej zniuansowana. Faktycznie, parły one do poszerzenia Unii na wschód, ale nie był to altruizm – leżało to w ich interesie ekonomicznym i geopolitycznym. I dziś niemiecki dobrobyt zależy w dużej mierze od państw Europy Środkowo-Wschodniej.

Rolę Niemiec w walce z kryzysem strefy euro oceniano źle. Ostatecznie pomogły one Grecji, długo jednak zwlekały z decyzjami i upierały się przy krytykowanej dziś polityce zaciskania pasa, która wywołała kryzys gospodarczy i społeczny w krajach południa Europy.

Niemcy są jednak nadal pewne, że Unia Europejska jest ramą, w której mogą funkcjonować w świecie. Dla Wielkiej Brytanii Unia była jedną z organizacji międzynarodowych, w której, z powodów gospodarczych, warto było przez pewien czas działać. Francji Unia daje możliwość zwiększenia potęgi i siły. Dla Niemiec – była, jest i będzie jednym z fundamentów tożsamości.

I jakie ma to przełożenie na całą Wspólnotę?

Stąd bierze się dbałość Niemców o jedność Europy. Z drugiej strony, takie myślenie rodzi pułapki. Niemcy kapitalnie odnajdywali się w tym kształcie Unii, który funkcjonował przez ostatnie 10 czy 15 lat. Unia walutowa? Inni narzekali na euro, a oni radzili sobie świetnie. Rozszerzenie na wschód? Ekonomicznie tylko zyskali. W efekcie Niemcy stały się opoką *status quo* – krajem, który reagował na

PIOTR BURAS jest dyrektorem warszawskiego biura międzynarodowego think tanku European Council on Foreign Relations. Zajmuje się m.in. problematyką Niemiec i Unii Europejskiej.

kryzysy Unii, starał się je przezwyciężać i brać odpowiedzialność za sytuację, ale tak naprawdę nie chciał zmian. Zmian, które – to okazało się po latach – są konieczne.

Dlaczego, pomimo stałej obecności w polityce skrajnie prawicowej AfD, populizm właściwie nie wszedł do niemieckiego mainstreamu?

To prawda, Niemcy – inaczej niż Francja, Hiszpania, Włochy czy Holandia – nie doświadczyły pod tym względem żadnego tąpnięcia. AfD ma stabilne 15 proc. poparcia. To niemało, ale jednak nie przekracza tego pułapu.

W powstrzymywaniu populizmu pomagała koniunktura ostatnich lat. Gdy inne kraje doświadczały poważnych problemów, Niemcy przeżywały najlepszy okres od zjednoczenia. Także Merkel trafiła w swój czas. Zaczęła rządzić w 2005 r., kiedy przez kraj przetoczyły się już najważniejsze debaty pozjednoczeniowe, problemy dotyczące tożsamości i reform gospodarczych. Gerhard Schröder, poprzednik Merkel, doprowadził do zmian rynku pracy i polityki socjalnej. Niemcy mieli dość napięć, sporów. *Zeitgeist* był taki, że potrzebny był spokój. A Merkel dobrze wyczuwa nastroje społeczne i za nimi idzie. Bywa za to krytykowana, daje jednak poczucie oparcia dużej części społeczeństwa, znacznie wykraczającej poza elektorat chadecji. To ogranicza potencjał ruchów radykalnych.

W 2015 r. podjęta podobnie szybko decyzja – o przyjęciu setek tysięcy migrantów i uchodźców – spowodowała powstanie ruchu protestu, który napędził skrajną prawicę. Czy po pięciu latach można już powiedzieć, jak tamten czas zmienił Niemcy?

Trudno mówić o bilansie, ponieważ ludzie, którzy wtedy przybyli do kraju, wciąż się integrują. To długi proces. Merkel mówiła wtedy Niemcom: „damy radę" – i rzeczywiście ostrożnie można powiedzieć, że dali radę. Masowa imigracja nie stała się najważniejszym tematem, który by kształtował dziś politykę niemiecką bądź ją dezorganizował.

Owszem, wzrost skrajnej prawicy jest najbardziej trwałym efektem tamtego kryzysu. Ale AfD jest najsilniejsza na wschodzie Niemiec. W Saksonii czy Brandenburgii popiera ją jedna trzecia mieszkańców. Nie jest to jednak spowodowane wyłącznie tematem migracji. Sytuacja jest tu bardziej skomplikowana, frustracja jest też następstwem poczucia, że mieszkańcy wschodu kraju są obywatelami drugiej kategorii.

Jakie zmiany w Unii są skłonne poprzeć Niemcy?

Nie mają rozbudowanej wizji Europy, która byłaby porównywalna choćby z pomysłami Macrona. W Niemczech dominuje skłonność do popierania stopniowych zmian, działania w reakcji na kryzysy. A także przekonanie, że Unia jest jak wielki tankowiec, którym trzeba sterować ostrożnie, bez wykonywania gwałtownych zwrotów. Niemcy są przekonane, że mają być w środku UE, gotowe na godzenie rozmaitych sprzeczności.

W lipcu zacznie się niemiecka prezydencja w Unii. Kluczowym tematem będzie nowy budżet. Już widać, że Berlin będzie nawigował pomiędzy tzw. krajami oszczędnymi – Holandią, Szwecją, Finlandią i Austrią – które nie chcą zgodzić się na zbyt szczodry budżet, a państwami najbardziej poszkodowanymi przez pandemię. Niemcy tradycyjnie będą sympatyzowały z tym pierwszym myśleniem, ale już teraz zadeklarowały, że będą też spełniać oczekiwania państw Europy Środkowo-Wschodniej i Południowej.

Zanim wybuchła pandemia, głównym tematem niemieckiej prezydencji miała być polityka klimatyczna. Teraz, prócz spraw zdrowotnych, doszły jeszcze relacje z Chinami.

W ostatnich miesiącach w Unii zwyciężyło poczucie, że Europa musi zachować autonomię wobec Chin. Chodzi m.in. o zapobieganie wrogim przejęciom europejskich firm i ochronę wspólnego rynku przed przedsiębiorstwami subsydiowanymi przez Pekin. Przekonaliśmy się np., że branża farmaceutyczna oraz produkcja materiałów medycznych mają znaczenie strategiczne i powinny być chronione.

To kolejna dziedzina, w której Niemcy muszą przeskoczyć swój cień. Z wszystkich krajów europejskich mają największe związki gospodarcze z Chinami. Są w dużej mierze uzależnione od eksportu – zwłaszcza jeśli chodzi o przemysł samochodowy – ale i importu półproduktów, kluczowych dla chińskiej gospodarki. Jeśli Unia będzie na nowo kalibrować relacje z Chinami, same Niemcy muszą się też zmienić. Zresztą, to się już dzieje. Ostatnio rząd przejął pakiet kontrolny w firmie CureVac, która pracuje nad szczepionką przeciw COVID-19 – po to, aby uniemożliwić jej przejęcie przez Amerykanów lub Chińczyków.

A co z przyszłością stosunków ze Stanami Zjednoczonymi?

Niemcy są na celowniku Donalda Trumpa. Relacje amerykańsko-niemieckie są teraz najgorsze w powojennej historii. Trump uznał, że Niemcy są rywalem, i to ma konsekwencje dla UE, co widzimy choćby na przykładzie ubiegłotygodniowej wizyty prezydenta Dudy w Waszyngtonie – celem polityki Trumpa jest tworzenie w Unii napięć i podziałów.

Natomiast co do Rosji: Unia zdała sobie już sprawę z tego, że w stosunkach z Moskwą nie będzie zasadniczej zmiany, pozostaną one wrogie. Rosja nie chce realizować porozumień mińskich dotyczących Ukrainy, które dla Wspólnoty są warunkiem poprawy relacji. Merkel niepokoi fakt, że w polityce wschodniej pierwsze skrzypce zaczął odgrywać Macron – uważa, że jest on zbyt naiwny w relacjach z Rosją.

Adenauer zapoczątkował niemiecką przygodę ze zjednoczoną Europą, Brandt jednał się z Europą Wschodnią, Kohl doprowadził do zjednoczenia kraju. Co za jakiś czas powiemy o Angeli Merkel?

Jej era obfitowała w wiele przełomowych wydarzeń – rezygnację z energii atomowej, zniesienie obowiązku służby wojskowej, kryzys migracyjny. Trudno natomiast wyróżnić jeden wspólny mianownik, symbol rządów. Jest jak świetna, ciesząca się zaufaniem zarządczyni dobrze funkcjonującego folwarku. Właśnie w ten sposób jest teraz w dużej mierze w Niemczech postrzegana i za to ceniona.

Istotne są też ostatnie wydarzenia. Jeżeli na koniec swoich rządów Merkel uda się doprowadzić do przyjęcia unijnego budżetu w wersji, którą zaproponowała z Macronem, jeśli zapobiegnie wpadnięciu przez Unię w głęboką recesję po pandemii, będzie to „kropka nad i" jej rządów. I zapewne – jej największe dokonanie.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

VIRGINIA MAYO / AP / EAST NEWS

Charles N. Shay, weteran z USA, Normandia, 10 czerwca 2020 r.

USA: znikający sojusz

SZKICUJĄC RAMY, przez które Ameryka patrzy na Europę, zwykliśmy zaczynać od polityki. To, jak elity waszyngtońskie interpretują świat, w tym NATO, Unię Europejską, przyszłość demokracji i swobód obywatelskich, jest oczywiście ważne. Prezydentura Donalda Trumpa odegrała w tym względzie ogromną rolę, kwestionując wiele naszych wierzeń, a czasami po prostu komunikując nam bez ogródek problemy, o których nie lubimy słyszeć. Ale jeśli chcemy pogłębić nasze rozumienie tego, co wpływa na postrzeganie Europy w Stanach Zjednoczonych, warto przyjrzeć się ludziom, bo to ich historie i emocje w długiej perspektywie o tym decydują.

W zeszłym roku obchodziliśmy w Europie 75. rocznicę D-Day, alianckiej inwazji na Francję. Jeszcze 5 lat temu w Stanach żył niespełna milion weteranów II wojny światowej, z których wielu pamiętało lądowanie na plażach Normandii. W tym roku jest ich około 300 tysięcy. Według Departamentu ds. Weteranów są to ludzie w wieku 90 lat i więcej. Liczba ta maleje codziennie o 245 osób.

Obok zmian etnicznych to właśnie zmiana pokoleniowa jest największym źródłem amerykańskich przeobrażeń społecznych i politycznych, które mają znaczenie dla Europy. Dla wnuczek i wnuków żołnierzy US Army Europa nie jest już kluczowym miejscem na mapie świata, które wymaga nieustannej opieki i troski, ani źródłem kulturowych inspiracji. Jest po prostu jednym z wielu elementów współczesnego świata. Szczególny rodzaj więzi powstały po II wojnie światowej i scementowany prawie półwieczem zimnowojennej rywalizacji z ZSRR odchodzi do przeszłości.

Był to okres wyjątkowy w historii współpracy z Europą, choć przywykliśmy uważać go za coś oczywistego. Idea stosunków transatlantyckich jest tymczasem o wiele młodsza niż same Stany Zjednoczone, które zrodziły się przecież w opozycji do wszystkiego, czym była Europa od XVIII aż po początek XX w. W ciągu kilkuset lat Ameryka przeszła drogę od brytyjskiej kolonii, której walkę o niezależność wspierała Francja, po globalne mocarstwo, które uważa Francję za swojego największego politycznego rywala na Starym Kontynencie, a Wielką Brytanię traktuje jako młodszego partnera. Po drodze stworzyła jeszcze współczesną potęgę gospodarczą Niemiec, która tak bardzo uwiera Donalda Trumpa.

Co zatem nas czeka? Większość Amerykanów odpytywanych na przełomie maja i czerwca przez Pew Research Center uważa, że pandemia w żaden sposób nie zmieni wpływu Unii Europejskiej na sprawy światowe. Około jednej piątej twierdzi, że pozycja Unii się poprawi i podobna część oczekuje, że ulegnie osłabieniu. Co ciekawe, zwolennicy Republikanów są bardziej pesymistyczni w sprawie pozycji Unii niż osoby z poglądami bliższymi Demokratom. Być może powodem jest rozumienie siły. Militarnie Europa jest coraz słabsza. Jako miejsce do życia jest jednak wciąż projektem wyjątkowym, które nie ma sobie równych w skali świata.

Dlatego więcej integracji politycznej w Europie bez wzrostu wydatków na obronę pozostanie stałym zarzewiem sporów i konfliktów. Po drugie, znaczenie Europy w Waszyngtonie będzie mierzone jej wolą współpracy przy ograniczaniu potęgi chińskiej, której wzrost jest wspólnym dziełem Ameryki i Europy. Po trzecie zaś, i w Stanach Zjednoczonych, i w Europie rośnie przekonanie o doraźności współpracy, a zatem i wzajemnych oczekiwań. Wielkie polityczne projekty w rodzaju rozszerzenia NATO czy Unii zostały zrealizowane. Sukcesy ostatnich dekad, bardziej niż głośne spory, sprzyjają więc rozchodzeniu się obu stron.

© OLAF OSICA

JIANG QIMING / GETTY IMAGES

Szczyt poświęcony walce z COVID-19, Pekin, 10 czerwca 2020 r.

Chiny: rozgrywanie Europy

NIEWIELE POZOSTAŁO dziś z dobrego wrażenia, jakie na europejskich elitach wywarł chiński przywódca Xi Jinping podczas forum ekonomicznego w Davos zimą 2017 r. Tuż po objęciu urzędu przez Donalda Trumpa, który zapowiadał handlowy protekcjonizm i politykę *America First*, Xi stanął w obronie globalizacji i kompromisu klimatycznego. Niektórzy widzieli w nim nawet nowego światowego lidera.

Teraz Bruksela oficjalnie nazywa Chiny swoim „systemowym rywalem", a do poczynań Pekinu wobec

Europy w czasie pandemii przylgnęło już określenie „wilczej dyplomacji". Chińczycy próbowali obarczyć Włochy winą za rozniecenie pandemii, Holendrom zagrozili wstrzymaniem dostaw sprzętu medycznego do walki z koronawirusem, gdy uznali, że kraj ten spoufala się z Tajwanem. Chińska ambasada w Paryżu zaś zamieszczała na swojej stronie internetowej komentarze, że Francuzi pozostawiają pensjonariuszy domów starców na śmierć w czasie epidemii i że ludzie Zachodu „tracą zaufanie do liberalnej demokracji".

Do tej pory Pekin był subtelniejszy wobec Europy. Swoją strategię dyplomatyczną, pomimo regularnych szczytów Chiny-UE, oparł na kontaktach dwustronnych lub z wybranymi blokami państw. Wykładając gotówkę po kryzysie 2008 r., Chińczycy uzyskali przyczółki na rubieżach kontynentu. W Grecji, na Bałkanach i Białorusi pojawiły się chińskie inwestycje w infrastrukturę, porty i energetykę. Nawiązali też współpracę z Europą Środkowo-Wschodnią, co stanowiło element budowy Nowego Jedwabnego Szlaku. Tworzenie stref wpływów w Serbii czy Czarnogórze ma po przystąpieniu tych państw do Unii ułatwić Chińczykom ekspansję na kontynent.

Państwa tzw. starej Unii do działania przystąpiły dopiero wtedy, gdy Chiny wyciągnęły ręce po ich własne firmy, zwłaszcza te z branży wysokich technologii. Pospiesznie tworzono przepisy mające chronić wrażliwe dla bezpieczeństwa narodowego sektory. Dziś, gdy wskutek kryzysu gospodarczego aktywa wielu przedsiębiorstw tanieją, problem jest tym bardziej aktualny. Chińczycy krzywo patrzą na protekcjonizm, ale sami, wbrew głoszonym globalistycznym sloganom, rygorystycznie regulują dostęp do własnego rynku.

Równocześnie maleje sympatia do Chin u większości Europejczyków. Tąpniecie nastąpiło już w ubiegłym roku, głównie w wyniku represji reżymu Xi Jinpinga wobec Hongkongu i Sinkiangu. Czas epidemii tych notowań raczej nie poprawi.

Nie znaczy to, że Pekin traci narzędzia oddziaływania na Europę. Projekt Nowego Jedwabnego Szlaku nie został przekreślony. Chiny wciąż produkują towary, których Europa potrzebuje, dysponują też kapitałem oraz wielkim rynkiem, za dostęp do których mogą jednak domagać się przysług. Węgry i Grecja, korzystające z chińskich inwestycji, potrafią więc zawetować unijną rezolucję o łamaniu praw człowieka w Chinach. A Niemcy blokowały niedawno ostrzejsze stanowisko Brukseli wobec Pekinu likwidującego autonomię Hongkongu.

W globalnym konflikcie z USA Chinom nie uda się *en bloc* przeciągnąć Europy na swoją stronę. Pomimo chłodu między Waszyngtonem a Brukselą NATO i wspólnota zachodnich wartości mają swoją wagę. Ale Chiny w Europie już są i cierpliwie robić będą swoje: wchodzić w pojawiające się szczeliny, kusić kredytami czy jak firma Huawei technologią 5G. Sukcesy Chin w relacjach z Europą były dotąd często efektem rozgrywania jej wewnętrznych słabości i sprzecznych interesów. Dotyczy to samej Unii, jak i państw poza nią, którym Bruksela nie potrafiła zaproponować atrakcyjniejszej alternatywy.

© PIOTR BERNARDYN

TOLGA AKMEN / AFP / EAST NEWS

Pierwszy dzień masek w metrze, Londyn, 15 czerwca 2020 r.

Brytania: wielka podróż

„ZAMKNĘLIŚMY PYTANIE o suwerenną władzę, zakończyliśmy debatę, która trwała od trzech i pół roku – niektórzy powiedzieliby, że od 47 lat" – ogłaszał premier Boris Johnson 3 lutego, czyli kilka dni po tym, gdy Zjednoczone Królestwo przestało być członkiem Unii. Mówił o śmiałych planach i o brytyjskiej jagnięcinie (najlepszej na świecie, jak twierdzi), europejskich przyjaciołach, tanich lotach i rybołóstwie. Słowem – o wszystkim, co jest lub będzie omawiane w negocjacjach o przyszłych stosunkach między Brytanią a Unią.

Wkrótce potem wybuchła pandemia COVID-19 i brexit zniknął z mediów, a przede wszystkim z głów obywateli. Harmonogram jest jednak nieubłagany. Londyn nie wnioskował w czerwcu o przedłużenie okresu przejściowego, a to oznacza, że z końcem grudnia dotychczasowe regulacje w stosunkach z kontynentem powinny zostać zastąpione przez nowe, zapisane w umowie. Negocjacje idą opornie. Czy zatem znów grozi nam twardy brexit bez umowy?

– Ryzyko z pewnością jest, ale podejrzewam, że jeśli by się tak stało, to raczej przez przypadek, a nie celowo. Brytyjski rząd desperacko potrzebuje tej umowy. W innym razie krótkoterminowe zakłócenia i szkody dla gospodarki będą znaczne. I bardzo widoczne dla wyborców – mówi „Tygodnikowi" prof. Tim Bale, wicedyrektor think tanku UK in a Changing Europe.

Im szybciej udałoby się osiągnąć porozumienie, tym lepiej, bo firmy i przedsiębiorcy mieliby więcej czasu na dostosowanie się do nowych regulacji. Unia również chce umowy, ale nie pozwoli wywierać na siebie presji.

Brytyjski rząd podjął za to decyzję o kampanii informacyjnej dla obywateli – ma wystartować już w lipcu i skłonić Brytyjczyków do działania. Według „Politico", jeszcze w styczniu aż 74 proc. Brytyjczyków deklarowało, że nie zrobiło i nie zamierza zrobić nic, aby przygotować się na brexit. Zmiana jednak nadchodzi – jak wielka, okaże się po 31 grudnia.

A co sami obywatele Wielkiej Brytanii myślą o życiu poza Wspólnotą? – Większość ludzi nigdy nie zwracała większej uwagi na Unię Europejską. A jeśli zwracali,

↦

↦ to bardziej jako na coś zewnętrznego w stosunku do Brytanii niż coś, czego sami byliśmy naturalną częścią. Wątpię, czy będą mieli jakiś problem, by przyzwyczaić się do nowej rzeczywistości – stwierdza prof. Bale.

Ma rację – tęsknoty za Unią nie widać. W lutowym sondażu YouGov tylko 27 proc. ankietowanych dopuszczało możliwość, że kiedyś Wielka Brytania znów stanie się członkiem Unii. Prawie 50 proc. nie widziało na to większych szans.

W czerwcu Brytyjczyków zajmowały już inne tematy – jak stosunek do chlorowanych kurczaków, które mogłyby być dopuszczone do brytyjskich sklepów po zawarciu umowy z USA (europejskie standardy wtedy już by nie obowiązywały). Odpowiedź brzmi: „nie" – 80 proc. Brytyjczyków odrzuca i chlorowane kurczaki, i te faszerowane hormonami. Nie chce też warzyw uprawianych z użyciem zakazanych w Unii pestycydów. Słowem: unijne standardy Brytyjczykom odpowiadają, nawet jeśli sama Unia – nie.

Przyszłe relacje Wielkiej Brytanii i Unii będą zależały od negocjowanej umowy, ale też od stanu ducha, dobrej woli i chęci. Na razie premier roztacza przed obywatelami wizję globalnej Brytanii. Tuż po brexicie mówił: „Rozpoczynamy wielką podróż, nikt we wspólnocie międzynarodowej nie wierzył, że ten kraj będzie miał odwagę podjąć taki projekt, ale jeśli będziemy odważni [...] to wierzę, że odniesiemy olbrzymi sukces [...], dla Brytanii, dla naszych europejskich przyjaciół, i dla świata". Wielka Brytania wypływa na niezbadane wody. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

MICHELE CATTANI / AFP / EAST NEWS

Przed grobowcem Askii, Gao, Mali, 10 marca 2020 r.

Afryka: nowe oczekiwania

GEOGRAFICZNA BLISKOŚĆ i bolesna historia, naznaczona piętnem niewolnictwa i podbojów kolonialnych, sprawiają, że ze wszystkich kontynentów żaden nie jest związany z Europą tak bardzo jak Afryka. Żaden inny nie ma też wobec Europy tak wielkich oczekiwań.

Najważniejsze dotyczą spraw bezpieczeństwa. Afryce zagrażają dżihadyści, którzy przybyli tu po przegranych z armiami Zachodu wojnach pod Hindukuszem oraz nad Tygrysem i Eufratem. Afryka sama od lat wydawała dżihadystów – zwłaszcza Egipt i kraje arabskiego Maghrebu. Rządzony przez muzułmańskich radykałów Sudan udzielił gościny wygnanemu z Arabii Saudyjskiej Osamie bin Ladenowi, a amerykańskie ambasady w Nairobi i Dar es Salaam posłużyły za pierwsze cele Al-Kaidzie. Ale afrykańscy dżihadyści jeszcze do niedawna nie toczyli wojen u siebie w domu – prowadzone przez muzułmańskich fanatyków wojny w Somalii, Algierii czy Nigerii dotyczyły spraw krajowych – lecz wyprawiali się na nie do Afganistanu, Iraku, Syrii, a nawet Czeczenii i Bośni.

Zmieniło się to wszystko za sprawą wojen Zachodu w Afganistanie, Iraku, a także Libii, która wskutek zbrojnej interwencji NATO została zawłaszczona przez skłóconych watażków, a jej przepastne arsenały rozgrabione zostały przez wszelkiej maści partyzantki. Dzięki zdobycznej broni nieliczni dżihadyści z Sahary wywołali wojny, które zagrażają dziś całemu regionowi, od Somalii i Mombasy, po Mali, Mauretanię i Senegal, od Czadu po Nigerię i Kamerun. Ostatnio dżihadyści pojawili się nawet nad równikiem, na wschodzie Konga i w Mozambiku.

Słabe afrykańskie armie ani w pojedynkę, ani wspólnymi siłami, ani nawet przy wsparciu wojsk ONZ nie stawią czoła dżihadystom, a pomóc może tu jedynie Europa (na Sahelu robi to dziś 5 tys. żołnierzy z Francji), bo z pozostałych mocarstw żadne nie jest tym zainteresowane. Amerykanie pod wodzą Trumpa wycofują wojska skąd się da, Chińczycy i Hindusi w cudze wojny się nie mieszają, a Rosjanie wysyłają na nie najemników i każą sobie płacić koncesjami na złoża surowców.

Jeśli jesienią nie zmieni się gospodarz w Białym Domu, także na pomoc gospodarczą, humanitarną (ważną zwłaszcza podczas pandemii) czy rozwojową, strukturalną, która powstrzymałaby wędrówki ludzi za pracą, Afryka będzie mogła liczyć tylko z Europy. Głównie dlatego, że właśnie tego kontynentu najbardziej dotyczy masowa imigracja z Afryki, ale także z powodu jej uwikłania w kolonialną przeszłość i nasilające się żądania zadośćuczynienia wyrządzonym Afryce krzywdom. Działacze ruchu praw człowieka liczą też, że Unia Europejska pozostanie dla państw afrykańskich krzewicielką demokracji oraz jej opiekunką, i nawet zajęta bardziej niż dotąd własnymi sprawami nie odwróci się od niej i nie pozwoli, by wróciła we władanie satrapów i kleptokratów.

Afryka wie, że jej oczekiwania spełnią się prędzej w zgodnej i silnej Unii Europejskiej. Nie miałaby jednak nic przeciwko temu, by coraz bardziej sobą rozczarowani i skłóceni zachodni oraz wschodni Europejczycy postanowili się rozstać czy zdecydowali na separację. Wschodnia Europa nie brała udziału w kolonialnym podboju Afryki i nie poczuwa się do jakichkolwiek wobec niej zobowiązań. Nie chce przyjmować u siebie afrykańskich imigrantów, a europejskie pieniądze wydawane na pomoc Afryce wolałaby przeznaczyć na własne potrzeby. Europa Zachodnia, której bogactwo i dominacja nad światem wzięły się także z kolonialnych podbojów i wyzysku podbitych ludów, w afrykańskich sprawach wykazuje się większym zainteresowaniem i zrozumieniem. ©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Sprzątanie po katastrofie

KLAUS BACHMANN

W zamian za transfery dla odbudowy gospodarki i służby zdrowia eurosceptyczne rządy zgodzą się na pogłębienie integracji w polityce zdrowotnej, w dodatku sfinansowanej z unijnych podatków.

Każdy, kto domagał się opuszczenia Unii albo Europy „pod dyktatem z Brukseli", mógł się w połowie marca przekonać, jak by to wyglądało. Wielu Polaków pamięta sceny z lat 80., kiedy chcący wyjechać za granicę koczowali przed zachodnimi ambasadami, a potem, w latach 90., po zniesieniu wiz, sterczeli w kolejkach na granicach, poniewierani przez celników. Być może w Polsce poparcie dla Unii jest wysokie także z powodu tych wspomnień. Na granicy niemiecko-francuskiej już tylko najstarsi pamiętają, kiedy trzeba było mieć paszport, aby wyjechać. Zasieków nie pamięta nikt.

Jakby Unii nie było

Teraz to wszystko wróciło. Przez trzy miesiące granice były zamknięte, wspólny rynek wyhamował, a rządy państw członkowskich robiły swoje, często bez oglądania się na sąsiadów. Ministrowie jednego kraju dowiadywali się z mediów o ograniczeniach, jakie wprowadził rząd kraju sąsiedniego. Kiedy mieszkańcy miast na pograniczach budzili się rano, zauważali, że jedna dzielnica była odcięta od drugiej. Granica, której przez ostatnie dekady nikt nie traktował poważnie, nagle oddzieliła pracowników od ich miejsc pracy, mieszkańców od swoich domów, rodzin i działek.

Wtedy zaczęło się szukanie kozłów ofiarnych. Winni byli więc „ci Francuzi" i „ci Niemcy", to znaczy ci, którzy pierwsi zamknęli granice, a potem, kiedy zrobiła tak też Polska, „ci Polacy", których jeden z moderatorów publicznej telewizji oskarżył o irracjonalne zachowanie, zapominając, że dzień wcześniej pochwalił niemiecki rząd za zamykanie granic. W minionym tygodniu w Niemczech kozłami ofiarnymi okazali się pracownicy z Bułgarii i Rumunii, którzy (wedle słów premiera Nadrenii Armina Lascheta) „przywieźli chorobę", rzekomo powodując lokalny wybuch infekcji w dużym zakładzie mięsnym.

W marcu, kiedy państwa członkowskie zaczęły po omacku i chaotycznie reagować na zbliżającą się katastrofę, szybko znalazł się winowajca, który faktycznie w tej fazie pandemii nie odgrywał znaczącej roli – Unia Europejska. Nagle się okazało, że Unia, jak napisał wtedy „The New York Times", jest lepiej przygotowana na wybuch epidemii zwierząt niż pandemii, która zagraża ludziom. Także przez media europejskie przetoczyła się fala krytyki UE, która rzekomo „nic nie robiła", albo jak później twierdził premier Mateusz Morawiecki, „eurocenta nie dała na walkę z koronawirusem".

Paradoks polega na tym, że Unia Europejska faktycznie zawiodła w kilku kwestiach – ale akurat nie wtedy i nie tam, gdzie jej to wytykano. Kiedy się dokładnie przyjrzymy najbardziej popularnym zarzutom, szybko okaże się, że są one *de facto* skierowane wobec (niektórych) państw członkowskich i ich rządów – nie dotyczą natomiast instytucji UE.

Państwo najważniejsze – ale zawiodło

Kiedy Włochy jako pierwsze zamykały granicę dla samolotów z Chin, wirus już dawno był w Europie. Kiedy Austria zamknęła granice z Włochami, wirus już szerzył się w krajach skandynawskich, bo władze kilku austriackich miejscowości narciarskich lekceważyły ostrzeżenia, a ich goście, którzy się tam zarazili, bez przeszkód wracali do domu. Były to działania i zaniechania poszczególnych państw, nie instytucji unijnych. Wszystkie te państwa miały i mają ośrodki badawcze monitorujące wydarzenia na świecie, a także przedstawicielstwa dyplomatyczne w Chinach, które pisały raporty o rozwoju epidemii i otrzymywały raporty WHO.

Unia Europejska już w styczniu 2020 r. ostrzegała państwa członkowskie przed nadejściem epidemii, ale do marca włącznie rządy bardziej emocjonowały się grożącą powtórką kryzysu uchodźczego w Grecji i Włoszech. Wiadomo też, że 3 marca Francja zaczęła przejmować maski i ubrania ochronne dla pracowników medycznych, wywołując obawy w innych państwach, że może ich zabraknąć. To z kolei skłoniło władze niemieckie do zakazania (na krótko) eksportu takich zasobów. Przez następne tygodnie państwa ścigały się w zakupach sprzętu ochronnego i środków do dezynfekcji na rynkach światowych, podbijając w ten sposób ceny, zamiast korzystać z siły przebicia, jakie ma Unia jako największy blok gospodarczy świata.

Prawdą jest też, że nikt się nie odezwał, kiedy pod koniec lutego Włochy uruchomiły wewnątrzunijny mechanizm obrony cywilnej, aby otrzymać dodatkowe wyposażenie dla personelu medycznego. Szkopuł w tym, że ten mechanizm nie rodzi prawnych obowiązków, lecz polega na całkowicie dobrowolnych dostawach. Kiedy nikt nie zgłasza dostaw, Komisja Europejska nie ma co koordynować.

Potem Chiny i Rosja zaczęły dostarczać Włochom maski. Był to sprytny i – sądząc po zmianach we włoskich sondażach – bardzo skuteczny zabieg *public relations*, który miał małe znaczenie dla pandemii, ale duży efekt psychologiczny: w chwili największej zapaści pomoc przyszła nie z Europy, lecz z Rosji i Chin.

Jak okazać Włochom miłość

Unia, która własnych zapasów masek i ubrań ochronnych nie posiada, nie mogła uczestniczyć w wyścigu o duszę Włoch i opinii publicznej. Kiedy w państwie wybucha kryzys, premier lub prezydent nakłada mundur, przylatuje helikopterem, wygłasza stanowcze orędzie i wspiera swoje służby, klepiąc strażaków i żołnierzy po ramionach. Unia Europejska takiej możliwości nie ma; nie wiadomo nawet, kto miałby wystąpić ↦

MARIUS BECKER / DPA / EAST NEWS

EUROPĘ CZEKAJĄ największe wyzwania. Ma jednak wszystko, co potrzebne na najtrudniejsze czasy: doświadczenie bolesnej historii (to nieprawda, że nie wyciąga z niej wniosków); jest bogata, silna i w dużej mierze zjednoczona; szczęśliwie wiele jej państw ma zbieżne potrzeby, interesy i cele; od dawna panuje w niej pokój. Jeśli wciąż będzie działać razem – da radę. Na zdjęciu: niemieccy maturzyści – zachowując wymagany prawem dystans między sobą – świętują koniec roku szkolnego, Rheinbach, Nadrenia Północna–Westfalia, 24 czerwca 2020 r.

↦ w jej imieniu w takiej roli: Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji, Charles Michel, szef Rady Europejskiej, czy Andrej Plenković, premier Chorwacji, która Unii przewodniczyła? Żaden z nich nie ma europejskiego munduru, który mógłby przywdziać, stacji telewizyjnej, z której mógłby przemawiać do Europejczyków, ani wojska czy nawet obrony cywilnej, której funkcjonariuszom mógłby uścisnąć dłoń przed kamerą.

Jest to problem strukturalny. Unia Europejska nie może występować jako paneuropejski superrząd, ponieważ wiele krajów nie życzyłoby sobie tego nawet w wymiarze symbolicznym. Unia ma tyle kompetencji, ile państwa jej nadawały w trakcie kolejnych zmian traktatowych. A kompetencji w obronie cywilnej, polityce zdrowotnej, zarządzaniu granicami nigdy jej nie przekazano. Nie mogła zarządzać kryzysem bez łamania traktatu i konfliktu z państwami członkowskimi oraz Trybunałem Sprawiedliwości UE, który mogłaby tylko przegrać.

Nie mogła nawet dokonać tak widowiskowych akcji jak uroczyste odbieranie masek importowanych z Chin na lotnisku, bo nie ma ani swojego lotniska, ani pieniędzy, aby kontraktować maski. W najgorętszym momencie pandemii brytyjski dziennik „The Guardian" zastanawiał się wręcz, czy nie ma sposobu, „w jaki Europa mogłaby okazać Włochom miłość". Być może Europa ma taki sposób. Ale instytucje Unii muszą działać w ramach prawa, a traktaty nie przewidują kompetencji Wspólnoty w szerzeniu ciepłych uczuć. Te ostatnie zastrzegły państwa członkowskie dla siebie.

Właśnie dlatego Unia nadaje się perfekcyjnie na kozła ofiarnego dla rządów państw członkowskich – im bardziej one same zawodzą, tym chętniej obarczają potem winą Europę, Unię albo Komisję Europejską. To dobrze znany mechanizm: premier jedzie do Brukseli, aby tam zapobiec niekorzystniej dla jego kraju decyzji, ale z braku poparcia (albo dlatego, że nie umie zmontować koalicji blokującej) zostaje przegłosowany i wraca do kraju, winiąc „dyktat Unii" za swoje niepowodzenia. Teraz ten mechanizm wzbogacił się o nowy element: rządy państw członkowskich, które nie przekazały Unii kompetencji do skutecznego działania, oskarżają ją potem o... brak skutecznego działania.

Wspólny rynek zagrożony

Nie oznacza to, że instytucje działały bez zarzutu. Ale znowu: o uchybieniach mało kto mówi, bo dyskusja o nich znowu odkryłaby grzechy rządów państw członkowskich. Obecnie, na etapie odmrażania gospodarki, podstawowe mechanizmy kontrolne wspólnego rynku zostały *de facto* zawieszone. Państwa członkowskie zadłużają się w niespotykanej dotąd skali, dotując swój przemysł i stymulując konsumpcję. Najlepiej to widać na rynku lotniczym, gdzie zaczął się już wyścig protekcjonizmu. Komisja Europejska może nakładać dodatkowe ograniczenia na Lufthansę, godząc się na wielomiliardowe subwencje rządu niemieckiego, ale nie może spowodować, aby rządy innych państw dotowały swoich przewoźników w podobny sposób. Nie każdy zresztą jest w stanie: kiedy Hiszpania i Włochy zaciągają kredyty, płacą spore, jak na strefę euro, odsetki, podczas gdy niemiecki minister finansów obecnie dostaje jeszcze od wierzycieli tzw. odsetki negatywne.

W ten sposób postpandemiczny wyścig o to, kto bardziej wspiera swoją gospodarkę, zwiększa nierówności między państwami członkowskimi. Warto to uwzględnić przy ogólnej ocenie wielkiego „pakietu ratunkowego", który jest obecnie negocjowany i który ma te nierówności niwelować. W obliczu faktu, że pomoc rządu Angeli Merkel dla gospodarki niemieckiej jest ponadproporcjonalnie duża w stosunku do udziału Niemców w ogólnej liczbie mieszkańców Unii, jego blask nieco blednie.

Przed pandemią Komisja Europejska zablokowała tworzenie europejskiego giganta transportowego, czyli połączenie niemieckiego Siemensa i francuskiego Alstomu, co zmonopolizowałoby produkcję szybkich pociągów w Unii. Ale w dobie depresji postpandemicznej zwolennicy tak pojętej „polityki przemysłowej" zyskali nowy argument: ochronę miejsc pracy i utrzymanie potencjału produkcji. Wtedy też pokusa jest wielka, aby

w zamian za zgodę na tworzenie takich gigantów dać mniejszym i ekonomicznie słabszym państwom członkowskim okazję do eliminowania konkurencji dla swoich państwowych konglomeratów, które często już przed pandemią były nierentowne. Nikt z uczestników takiego targu nie będzie krytykować instytucji europejskich za to, że nie zapobiegają takim manewrom.

Standardy liczenia i śledzenia

Jest inna dziedzina, w której Komisja Europejska ma kompetencje, ale nie widać, aby cokolwiek z nich wynikało dla obecnego kryzysu. To ochrona danych i telekomunikacja. Dzięki tym kompetencjom mamy rozbudowany system ochrony i retencji danych, który uwzględnia prawo prywatności obywateli, prawa człowieka i interesy koncernów IT. Na podstawie tych samych kompetencji moglibyśmy też mieć jedną ogólnoeuropejską aplikację śledzącą łańcuchy infekcji koronawirusem, która w dodatku cieszyłaby się (zwłaszcza w Polsce) większym zaufaniem niż lokalne, narodowe rozwiązania.

Aplikacje najczęściej nie działają za granicą. Nie jest to tylko problem techniczny: aplikacja niemiecka cieszy się tak dużą popularnością tylko dlatego, że unika centralnego przechowywania danych (przechowuje je na smartfonie) i została opracowana we współpracy rządu z organizacjami pozarządowymi. Jeśli ta aplikacja zacznie wymieniać dane z aplikacją duńską (która dane przechowuje centralnie, ale anonimowo), polską (która dane przechowuje lokalnie) lub inną, która nie zapewnia anonimowości – utraci zaufanie klientów i przestanie być użyteczna.

Powstanie jednej ogólnoeuropejskiej, dobrowolnej aplikacji wyjęłoby ją spod kontroli rządów i mogłoby skłonić obywateli do jej stosowania nawet w krajach o najniższym zaufaniu do państwa. Nie jest to jedyny problem pandemiczny, który można rozwiązać tylko na poziomie Unii. Wszystkie decyzje o otwarciu granic opierają się na niepełnych, często mało wiarygodnych danych dostarczonych przez poszczególne rządy. Niektóre kraje przeprowadzają przesiewowe testy bez względu na to, czy ludzie mają objawy, czy nie, inne testują tylko na podstawie ostrych symptomów. Austria liczy każdego zmarłego na COVID-19 jako ofiarę pandemii, Belgia liczy tak nawet ludzi, którzy zmarli bez potwierdzonej infekcji, podczas gdy Holandia wymaga, aby zmarły miał pozytywny wynik testu na COVID-19, zanim trafi do oficjalnej statystyki. Podobne różnice istnieją w stosunku do testów. Gdyby „Unia Zdrowotna" istniała, Komisja Europejska miałaby możliwości, aby przeprowadzić taką harmonizację standardów liczenia zachorowań i zgonów, a polityka wobec pandemii miałaby nieco bardziej racjonalne podstawy.

> Unia nie ma dobrych narzędzi, aby sprawnie zapobiegać **szybko rozwijającym się kryzysom,** właśnie dlatego, że nie stała się tym superpaństwem, o jakim lubią mówić eurosceptyczni politycy.

Pełzająca federalizacja

Nic dziwnego, że obecnie nawet najbardziej eurosceptyczne rządy nagle odkryły zalety integracji w polityce zdrowotnej. Ochrona zdrowia w wielu państwach europejskich jest w głębokiej zapaści, w niektórych krajach może być więcej ofiar właśnie z tego powodu, a nie samej pandemii.

„Uwspólnotowienie" polityki zdrowotnej pozwoli dzielić się kosztami odbudowy z tymi, którzy są mniej dotknięci albo mają więcej środków. Prawdopodobnie więc instytucje Unii zyskają te kompetencje, których państwa dotąd nie chciały im przekazać. Problem w tym, że wymagać to będzie zmiany traktatów, co może potrwać kilka lat.

Dotychczas taka pełzająca federalizacja Unii opierała się głównie na „przelewaniu się" integracji z jednej dziedziny w drugą. Niczym naczynia połączone integracja w handlu wymusiła wspólne zasady dotowania, ochrony konkurencji, standardów socjalnych i ekologicznych. Ci, którzy tym standardom podlegali, sami dbali o to, aby Komisja Europejska pilnowała ich przestrzegania, bo tylko wtedy istniały równe warunki konkurencji na wspólnym rynku. Teraz dojdzie do tego nowy mechanizm: w zamian za transfery dla odbudowy gospodarki i ochrony zdrowia eurosceptyczne rządy zgodzą się na pogłębienie integracji w polityce zdrowotnej, w dodatku sfinansowanej z unijnych podatków.

I tak Unia, która do niedawna jeszcze była „wyimaginowaną wspólnotą, która niewiele daje" (wedle słów prezydenta Andrzeja Dudy), teraz jest adresatem listu prezydenta w sprawie koordynacji polityki zdrowotnej, a polski rząd z przeciwnika podatku cyfrowego stał się jego zwolennikiem.

Unia nie jest dobrym narzędziem, aby sprawnie zapobiegać szybko rozwijającym się kryzysom, właśnie dlatego, że nigdy nie stała się tym superpaństwem, o jakim lubią mówić eurosceptyczni politycy. Ale jest najlepszym narzędziem, aby sprawnie sprzątać po katastrofie, będąc jedyną na świecie w miarę skuteczną organizacją, która redystrybuuje dużą część swojego budżetu. Strefy wolnego handlu, organizacje wzajemnego bezpieczeństwa i sojusze obronne dzielą się tylko kosztami administracji. Unia zbiera według bogactwa swoich członków i daje według potrzeb. Robi to na relatywnie małą skalę, ale większego mechanizmu dzielenia się na świecie nie ma. Powstanie funduszu ratunkowego w wysokości 750 mld euro, z którego lwia część to pomoc bezzwrotna, będzie jeszcze większą zachętą, aby „przekazać część suwerenności na rzecz organizacji międzynarodowej", niż kiedykolwiek wcześniej.

© KLAUS BACHMANN

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 27/2020

REDAKCJA: Marcin Żyła | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
PROJ. GRAFICZNY: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

GRAFIKA OKŁADKOWA: Admind

PUBLIKACJA POWSTAŁA WE WSPÓŁPRACY Z PRZEDSTAWICIELSTWEM KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE

Komisja Europejska

Wersal, 18 stycznia 1871 r.: Wilhelm I proklamuje powstanie cesarstwa niemieckiego. Obraz Antona von Wernera (1843–1915).

NIEŚWIĘTA RZESZA

150 lat temu Otto von Bismarck zjednoczył Niemców. Ale wcześniej musiał pokonać głównego oponenta: Francję. W ten sposób w lipcu 1870 r. doszło do wojny, która zmieniła układ sił w Europie.

ZBIGNIEW ROKITA

BISMARCK-MUSEUM FRIEDRICHSRUH

Gdy w roku 1839 w górnośląskiej wiosce, należącej do Królestwa Prus, na świat przychodzi mój prapra-pradziadek Josef Krauthakel, zjednoczone państwo niemieckie jest tylko intelektualną koncepcją. Wcześniej przez stulecia na terenach dzisiejszej Republiki Federalnej i jej sąsiadów (Polski, Czech, nawet Włoch) funkcjonowały setki organizmów państwowych: królestw, księstw, wolnych miast itd., należących do Cesarstwa Niemieckiego. Niektóre były potężne, inne mikroskopijne.

Silny impuls zjednoczeniowy przynoszą wojny napoleońskie. Gdy po ich zakończeniu na kongresie wiedeńskim (1814-15) budowano nowy ład w Europie, nie odtworzono już wspomnianego Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego – istniejącego od koronacji niemieckiego króla Ottona I na cesarza w 962 r. i na koniec mającego charakter bardziej symboliczny niż realny, a ostatecznie zlikwidowanego w 1806 r. przez Napoleona I Bonapartego. Zaś liczbę niemieckich państw zmniejszono z kilkuset do kilkudziesięciu.

Preludium

Przez pierwsze dekady wieku XIX, podczas tzw. przedwiośnia ludów, wydaje się, że centrum zjednoczonych ziem niemieckich będzie Wiedeń, stolica mocarstwowej wówczas Austrii. Wprawdzie pruscy Hohenzollernowie też pretendują do roli lidera, ale przyszłe zjednoczone Niemcy wyobrażają sobie inaczej niż Austria. I w ogóle nie widzą dla niej tutaj miejsca – jest zbyt silna, by mogli ją zdominować w przyszłym państwie.

Cezurą w rywalizacji austriacko-pruskiej jest Wiosna Ludów (1848-49), która mocno wstrząsa Austrią. Później, w drugiej połowie XIX w., staje się jasne, że Wiedeń nie będzie w stanie zjednoczyć wszystkich ziem niemieckich, łącznie z Prusami, i dominować w takim państwie. Prusy rosną w siłę, a targana licznymi problemami Austria słabnie.

Jednak aby osiągnąć pozycję lidera, królestwo Hohenzollernów musi uporać się z wrogami proklamowania zjednoczonych Niemiec pod swoim panowaniem: Francją i właśnie Austrią. Wiedeń stoi zresztą na drodze dwóm wielkim XIX-wiecznym zjednoczeniom: nie tylko niemieckiemu (według koncepcji pruskiej), ale także włoskiemu.

Rzucić Wiedeń na kolana

To, w jaki sposób Prusy osiągną swój cel, ogłasza Otto von Bismarck – w 1862 r. mianowany kanclerzem przez Wilhelma Hohenzollerna, który na pruski tron wstąpił rok wcześniej. Nowy kanclerz, odtąd główny architekt polityki Berlina, zapowiada, że zjednoczenia nie wywalczy się dyskusjami, lecz „żelazem i krwią". W tamtych czasach nie jest to zresztą nic nadzwyczajnego – wojna traktowana jest powszechnie jako uprawnione przedłużenie dyplomacji.

Bismarck odwołuje się do idei nacjonalistycznych. Brytyjski historyk Eric Hobsbawm zauważył, że było to wówczas „nowe zjawisko, bowiem przez większą część XIX stulecia nacjonalizm identyfikowano raczej z ruchami liberalnymi i radykalnymi oraz z tradycją rewolucji francuskiej".

Wprawdzie kilka lat wcześniej Habsburgowie przegrali wojnę z Francją oraz Królestwem Piemontu i Sardynii, dzięki czemu ruszył szybki proces *il Risorgimento* (jednoczenia Półwyspu Apenińskiego), jednak tym razem nie wydają się być na straconej pozycji. Przeciwnie. Bo choć starcie, do którego wkrótce dojdzie, w polskiej historiografii zapisze się jako wojna prusko-austriacka, określenie to nie oddaje jej faktycznego charakteru. Naprzeciw siebie stają w niej nie tylko Hohenzollernowie i Habsburgowie, lecz także – i to po stronie Wiednia, a nie Berlina! – trzy niemieckie królestwa: Bawaria, Saksonia i Hanower.

Powszechne jest oczekiwanie, że wojna potrwa długo. Tymczasem rozstrzyga się po dwóch miesiącach. To jeszcze czasy, gdy o losach wojny może decydować jedna bitwa: w tym wypadku stoczona 3 lipca 1866 r. pod wsią Sadowa koło Hradec Králové. Po obu stronach walczą Polacy, ułani poznańscy przeciw galicyjskim. Armia pruska triumfuje. Otto von Bismarck rzuca Austrię na kolana.

Nadzieja na jedność

„Żelazny kanclerz" myśli jednak długofalowo – i na dłuższą metę nie chce robić sobie z Austrii zaprzysięgłego wroga. Nie zajmuje, jak doradzają niektórzy, ani Czech, ani ziem rdzennie austriackich, zaś kontrybucja jest symboliczna. Traktat pokojowy to dla Habsburgów najwyżej uszczypliwość. W innym razie mógłby nie dojść do skutku – i to już 13 lat później – sojusz niemiecko-austriacki, który później wystąpi wspólnie podczas I wojny światowej.

Ale polityczne skutki wojny są poważne. Prusy eliminują Austriaków z rywalizacji o prymat wśród państw niemieckich. Osłabiona Austria, trawiona narodowościowymi napięciami, musi się zmienić: Franciszek Józef (ten sam, długowieczny) zgadza się oddać część władzy Węgrom, najliczniejszej z mniejszości. Powstaje dualistyczne państwo: unia Cesarstwa Austrii i Królestwa Węgier. Austro-Węgry, które przetrwają kolejne pół wieku.

W Prusach panuje euforia. Ślązak Anton Oskar Klaussmann zanotuje w memuarach: „Opinia publiczna zmieniła się radykalnie. Tak często opluwany Bismarck stał się nagle ulubieńcem wszystkich. ↦

↦ Król Wilhelm, Moltke [Helmuth von Moltke, szef sztabu generalnego i reformator armii – red.], Roon [Albrecht von Roon, minister wojny – red.], książę Fryderyk Karol, następca tronu, stali się bohaterami narodowymi. Powstał Związek Północnoniemiecki, a wraz z nim przynajmniej częściowo odrodziła się nadzieja na jedność Rzeszy Niemieckiej".

Udana prowokacja

Pokonując Austrię, Prusy naruszają wypracowaną po kongresie wiedeńskim równowagę sił w Europie i wchodzą nieodwracalnie na kurs kolizyjny z Francją – ostatnią przeszkodą na drodze do zjednoczenia państw niemieckich. W Paryżu rządzi wtedy Napoleon III Bonaparte, bratanek pierwszego z tej dynastii Napoleona I Bonaparte. Kilkanaście lat wcześniej przeprowadził zamach stanu i koronował się cesarzem.

Iskrą, która podpala beczkę prochu, jest plotka – umiejętnie rozegrana przez Bismarcka. Na tron hiszpański zaproszony zostaje jeden z Hohenzollernów (wyznania katolickiego), co wzbudza gniew i strach Francuzów: obawiają się, że Prusy wezmą ich w kleszcze. Pruski król Wilhelm I odrzuca hiszpańską ofertę, ale dla Francuzów to za mało. Ustami ambasadora w Berlinie domagają się złożenia przez Wilhelma przysięgi, że „po wsze czasy" Hohenzollernowie nie zasiądą na tronie w Madrycie. Wilhelm odmawia, o swojej rozmowie z ambasadorem depeszuje do Bismarcka, a ten depeszę „redaguje" tak, by odmowa wyglądała na jak najbardziej impertynencką – po czym taką „poprawioną" wersję poleca opublikować czym prędzej w prasie.

Oburzony Napoleon III połyka haczyk i 19 lipca 1870 r. wypowiada Prusom wojnę. Czyli robi to, na czym zależało Bismarckowi – bo choć kanclerz dążył do tej wojny, to równocześnie chciał uniknąć roli agresora.

W Prusach natychmiast rusza powszechna mobilizacja. Także na Śląsku. 21 lipca Jacob Oeri, nauczyciel z Kluczborku, napisze w liście: „Wojna wdziera się w każdy aspekt życia. Nagle trzeba zacząć myśleć o rzeczach zupełnie niezwykłych. Co w takiej sytuacji myśli się i mówi o Napoleonie, to sobie dopowiedzcie sami. Wściekłość jest straszna i wielka, nie jest tak jak *anno* [18]66, kiedy w sumie odbierano siebie [Prusy] jako stronę agresywną i nie każdy rozumiał polityczną konieczność ataku; obecnie panuje raczej przekonanie, że trzeba wyprzedzić skok tygrysa. Już nie ma w tej chwili w Niemczech żadnej partii; nikt nie agituje za pokojem, bowiem wojna uchodzi za absolutną konieczność; to powtórka roku 1813".

Wojna roku 1870 **to początek konfliktów nowoczesnych.** Kolej umożliwiła szybki przerzut wojsk, a telegraf szybką komunikację.

Zwłaszcza ostatnie słowa mówią wiele: w 1813 r., gdy po klęsce Napoleona w kampanii rosyjskiej formowała się kolejna antynapoleońska koalicja, Prusy ogarnęła fala autentycznego antyfrancuskiego wzmożenia. Młodzież masowo zgłaszała się do armii, by walczyć z Napoleonem. Kolejne zmagania z lat 1813-15 miały przejść do historii Prus jako *Befreiungskriege*, wojny wyzwoleńcze.

Pruski Blitzkrieg

O ile wojna prusko-austriacka podzieliła niemieckie państwa, o tyle prusko-francuska je do siebie zbliża: wokół króla Prus i ich kanclerza jednoczy się większość niemieckich władców. Niemcy mają też nad Francuzami inne przewagi: liczebność wojsk, sprawność dowództwa (po stronie francuskiej przez jakiś czas dowodzi osobiście Napoleon III, czym popełnia ten sam błąd co podczas I wojny światowej Mikołaj II Romanow: odium klęski spada wprost na władcę). Istotną rolę odgrywa też lepsze wykształcenie pruskich żołnierzy. Nieco później, w 1875 r., odsetek analfabetyzmu wśród rekrutów wynosił 18 proc. w armii francuskiej, 42 proc. w austriackiej, 79 proc. w rosyjskiej i tylko 2 proc. w niemieckiej.

Konflikt prusko-francuski z 1870 r. to początek wojen nowoczesnych. Rozwój kolei umożliwia szybki przerzut wojsk, a telegraf szybką komunikację. Niedawno wynaleziony aparat fotograficzny sprawia, że w przeciwieństwie do wojen toczonych jedno pokolenie wcześniej (uwiecznionych tylko na obrazach) ten konflikt można „zobaczyć" również dziś.

Szala przechyla się szybko na korzyść Prus. Jeszcze raz ze wspomnień Ślązaka Klaussmanna: „Nieuniknione napięcie, jakie pojawia się na początku każdej kampanii, trwało tym razem tylko około dwu tygodni. Już na początku sierpnia przyszły pierwsze wieści o zwycięstwach. Wkrótce było ich tak wiele, że wywołało to powszechne osłupienie. Poszliśmy przecież na tę wojnę nie bez obaw, niepewni zwycięstwa. (...) Napoleon III potrafił stworzyć wokół swej armii taką aurę, że powszechnie uważano ją za najlepszą w świecie".

Istotnie, już po kilku tygodniach konflikt jest rozstrzygnięty. 2 września, po kapitulacji 80-tysięcznej francuskiej armii pod Sedanem, do niewoli trafia sam Napoleon. Spotyka się z Bismarckiem, stara się jeszcze coś ugrać. Ale nie reprezentuje już cesarstwa, ono rozpada się jak domek z kart. Historyk Jan Baszkiewicz napisze: „Na wieść o upadku Sedanu tłumy w Lyonie, Marsylii, Bordeaux żądały republiki. To samo 4 września w Paryżu. Pod presją ulicy paryskiej rozsypały się bez oporu instytucje Cesarstwa: regencja, parlament, rząd Palikao. Z ratusza adwokat Leon Gambetta ogłosił manifestującym paryżanom Trzecią Republikę. (...) Nikt nie stanął w obronie Cesarstwa". Genezą francuskiej III Republiki jest więc przegrana z Niemcami. To samo będzie powodem jej upadku w 1940 r.

Armii pruskiej nic nie może już powstrzymać. Niebawem dojdzie do Paryża.

Całe Niemcy się schlały

Jeszcze podczas wojny kolejne państwa niemieckie deklarują, że godzą się na proklamowanie cesarstwa niemieckiego pod pruskim przewodnictwem. Zgadza się nawet Bawaria Wittelsbachów, długo nieprzychylna dominacji Prus (choć na swoich zasadach: utrzyma własną politykę zagraniczną i armię w czasie pokoju). 18 stycznia 1871 r. Wilhelm Hohenzollern koronuje się na cesarza w Sali Lustrzanej pałacu w Wersalu – upokarzając tym dodatkowo pokonanych Francuzów. Prawie pół wieku później, w 1919 r., w tym samym miejscu Niemcy będą podpisywać traktat pieczętujący ich klęskę w I wojnie światowej.

O tytuł cesarski toczył się spór. Hohenzollern nie chciał przyjąć tytułu „cesarza Niemców" (brzmiał mu on nieco demokratycznie), zaś innym dynastiom niemieckim nie w smak był tytuł „cesarza Niemiec". Ostatecznie koronował się jako „cesarz niemiecki" – dołączając tym

MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH / EAST NEWS

Mieszkańcy Pszczyny czekają na Wojsko Polskie, wkraczające na przyznaną Polsce część Górnego Śląska, czerwiec 1922 r. W tle pomnik ku czci poległych w wojnach z Austrią i Francją, w 1926 r. zamieniony na pomnik Piłsudskiego.

do elitarnego klubu, obok cesarzy rosyjskiego, austriackiego, marokańskiego, etiopskiego, brazylijskiego, japońskiego i chińskiego (wkrótce dojdzie brytyjski: w latach 1876-1947 brytyjscy królowie będą także cesarzami Indii).

W maju 1871 r. Francuzi podpisują pokój z Niemcami, przyjmując ich surowe warunki. Tracą Alzację i Lotaryngię oraz muszą wypłacić horrendalnie wysoką kontrybucję: pięć miliardów franków w złocie. Niemcy zastrzegają sobie też prawo do defilady zwycięstwa w Paryżu. Przyparci do muru Francuzi przełykają i to upokorzenie – i oto pierwsza defilada Cesarstwa Niemieckiego przechodzi po Polach Elizejskich. Być może kroczy w niej mój daleki krewny, Maciej Hajok. Źródła podpowiadają, że doszedł z górnośląskiej wioski, mojej rodzinnej Ostroppy, do Paryża.

Nauczyciel Jacob Oeri zanotuje: „Niejedna poczciwa kluczborska kobiecina na próżno oczekuje męża, który od rana do wieczora siedzi w knajpie, na usprawiedliwienie mając fakt, że całe Niemcy tego dnia się schlały”.

Miejsce ma mapie świata

Zjednoczenie udało się do pewnego stopnia. Do dziś samodzielnie funkcjonują Austria czy Liechtenstein. Do połączenia wszystkich niemieckich krajów nigdy nie doszło, jeśli nie liczyć rządów Adolfa Hitlera. Koncepcja jednego państwa wytrzymała jednak próbę czasu i nie podzieliła losów choćby koncepcji jedności Słowian. Nie upadła ani wraz z końcem cesarstwa w 1918 r., ani po podziale Niemiec na RFN i NRD po II wojnie światowej.

Wtedy, w 1871 r., powstaje europejski gigant i „spóźnione” państwo narodowe. Pisarz Thomas Mann określił je mianem: Nieświęta Rzesza Niemiecka Narodu Pruskiego. Ale mapa Europy się uspokaja. Nigdy już Stary Kontynent nie będzie tak dominujący jak w półwieczu poprzedzającym I wojnę światową. Można powiedzieć, że II Rzesza – jak ją nazwano, nawiązując do tej powołanej w X stuleciu – powstała w ostatnim momencie, aby wziąć udział jako mocarstwo w epoce globalnej dominacji Europy. Aby uzyskać dla siebie – jak ujmie to w 1897 r. Bernhard von Bülow (sekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych cesarstwa, a potem kanclerz) – należne sobie „miejsce pod słońcem” wśród innych potęg kolonialnych.

W ciągu tamtych kilku dekad, przed rokiem 1914, świat staje się po raz pierwszy w dziejach globalny. Nie jest już tylko geograficzną koncepcją, zaczyna się jego globalna historia. Kolej i statek parowy skracają czas podróży z miesięcy do tygodni i dni, a telegraf – obieg informacji do godzin i minut. Książka Juliusa Verne'a „W osiemdziesiąt dni dookoła świata” z 1872 r. szybko przestaje być *science fiction*, staje się literaturą podróżniczą.

Europa wciąż jest silniejsza gospodarczo niż Stany Zjednoczone, zaś w Europie największą potęgą przemysłową stają się Niemcy. Późno dołączają one do wyścigu mocarstw, ale mają wielkie ambicje: rzucają wyzwanie światowemu Pax Britannica. W 1914 r. Wilhelm II Hohenzollern (wnuk Wilhelma I) roztoczy przed poddanymi wizję germańskiej Europy oraz – po przejęciu angielskich i francuskich kolonii – germańskiego świata, nad którym nigdy nie zajdzie słońce. Ale koniec będzie wyglądać zupełnie inaczej: pokój wersalski z 1919 r. pozbawi Niemcy wszystkich kolonii. W tym momencie Wilhelm będzie już, od dobrych kilku miesięcy, tylko byłym cesarzem, korzystającym z azylu w neutralnej Holandii.

Długie życie pomników

Wtedy, po 1871 r., Niemcy muszą wymyślić sobie nową tradycję. Powstają pomniki Bismarcka i cesarza, a także ofiar wojen zjednoczeniowych, jak również pomniki zwycięstwa pod Sedanem. Aż do upadku cesarstwa w 1918 r. najważniejszym świętem państwowym obok urodzin kajzera będzie właśnie *Sedantag*, Dzień Sedanu, wspomnienie tamtej wiktorii.

W Polsce do dziś zachowała się część tych upamiętnień. O genezie niektórych mało kto pamięta. Tak jest z rzeźbą Śpiącego Lwa na bytomskim rynku. Wieńczyła ona cokół z nazwiskami 147 miejscowych, którzy polegli na wojnie z Francją. Po II wojnie światowej lew zaginął, aż kilkanaście lat temu został odnaleziony w warszawskim ZOO i sprowadzony do Bytomia. Dziś, gdy emocje ostygły, można sobie na to pozwolić.

Symboliczne są losy monumentu ofiar wojen zjednoczeniowych z rynku w Pszczynie: II Rzeczypospolita zamieniła go na pomnik Józefa Piłsudskiego, a po 1945 r. komuniści przemianowali na pomnik poległych czerwonoarmistów; do dziś stoi w takiej roli na miejscowym cmentarzu wojennym.

WOJNA PRUSKO-FRANCUSKA nie przyniosła kresu rywalizacji Berlina i Paryża. Pogłębiła tylko konflikt, który miał ponownie wybuchać pod postacią dwóch kolejnych wojen, już światowych. Nieprzypadkowo po 1945 r. idea integracji europejskiej rozpoczęła się właśnie od próby uzdrowienia relacji francusko-niemieckich.

© ZBIGNIEW ROKITA

Korzystałem z książek: Eric Hobsbawm „Wiek imperium 1875–1914”, Anton Oskar Klaussmann „Górny Śląsk przed laty”, Sebastian Rosenbaum „Germania. Niemiecka polityczność na Górnym Śląsku 1871–1945”, Zygmunt Zieliński „Niemcy. Zarys dziejów”.

ZAWIEDLIŚMY

SZYMON MALINOWSKI, FIZYK ATMOSFERY:

Co 25-30 lat podwajamy zużycie środowiska. Za połowę tego zużycia odpowiada pokolenie, którego jestem przedstawicielem. Kierujemy się w stronę przepaści i zostawiamy po sobie zgliszcza.

MARTYNA SŁOWIK: Śnią się Panu koszmary o katastrofie klimatycznej?

SZYMON MALINOWSKI: Pożary lasów w Australii, na Syberii czy w Biebrzańskim Parku Narodowym mi się nie śnią. Nie uciekam przed ogniem ani rosnącym poziomem wody w morzu. Ale gdy naczytam się naukowej literatury i najnowszych badań na temat konsekwencji ocieplenia klimatu, to następnego dnia jestem wyraźnie niewyspany. W nocy kotłuje mi się w głowie.

Pomówmy o emocjach.

Przeraża mnie wizja reakcji społecznej na nadchodzącą rzeczywistość. Wizja walki między ludźmi o dostęp do wody, a więc do życia. Przestaniemy myśleć racjonalnie, a takie piękne zdobycze naszej cywilizacji i kultury jak dzielenie się, pomaganie i solidarność mogą zupełnie zniknąć. Mogą rozpaść się więzi społeczne i ład, który znamy i w którym żyjemy. Nasza cywilizacja pogrąży się w chaosie, może zginie, a wraz z nią większość ludzi.

Boję się, że jestem przedstawicielem ostatniego pokolenia, które doświadczyło stabilnego klimatu. Moje dzieci i wnuki już tego nie zaznają. Czuję żal, bo zawsze chcielibyśmy zostawić potomkom lepszy świat. By ci, którzy przychodzą po nas, żyli lepiej. Ale tak się nie stanie, jeśli w ciągu kilkudziesięciu lat nie ograniczymy emisji dwutlenku węgla – do zera. Pokazują to wyniki różnorodnych badań.

Osobiście chciałbym mieć wnuki. Ale gdy pomyślę, jakie życie im przygotowaliśmy, to zaczynam się zastanawiać, czy to ma sens. Do jakiego stopnia życie w takim schyłkowym świecie może być szczęśliwe? Dlaczego mając wiedzę o pro-

RAMSEY UNITED

PROF. SZYMON MALINOWSKI
jest fizykiem atmosfery, dyrektorem Instytutu Geofizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Aktywny popularyzator, twórca strony naukaoklimacie.pl. Bohater filmu „Można panikować" (reż. Jonathan L. Ramsey), dostępnego w serwisie YouTube; na zdjęciu w parku Kaszubskie Oko w Gniewinie, niedaleko elektrowni Żarnowiec, wrzesień 2019 r.

cesach fizycznych, które mówią o ograniczeniach naszej planety, kierujemy się w stronę przepaści i zostawiamy po sobie zgliszcza? Co sobie nasi następcy o nas pomyślą? My jesteśmy tymi, którzy to spieprzyli.

W jaki sposób?

Wzrost gospodarczy o 3 proc. rocznie, który trwa od początku epoki przemysłowej, oznacza, że co 25-30 lat podwajamy zużycie środowiska, jego najważniejszych zasobów. Przy okazji rosną emisje gazów cieplarnianych. Za połowę tego zużycia odpowiada więc to pokolenie, którego jestem przedstawicielem. Tak zwany budżet węglowy, czyli ilość węgla (pierwiastka) zawartego w paliwach kopalnych, jakie możemy spalić i jeszcze uniknąć katastrofalnej zmiany klimatu, jest już mniejszy niż nasze emisje od początku istnienia rodzaju ludzkiego. Mamy piękny świat i bezmyślnie go niszczymy, często nawet tego nie zauważając. Czuję egzystencjalny smutek.

Da się go wyczuć również w poświęconym Panu dokumencie „Można panikować", który niedawno miał premierę. A poza tym nie jest Pan po prostu wkurzony? Klimatolodzy, wśród nich Pan, od lat ostrzegają, ale nikt nie chce słuchać.

Nigdy nie liczyłem na to, że w tym zawodzie będzie łatwo. Spodziewałem się, że uprawianie nauki może być frustrujące i bardzo trudne.

Dlaczego?

Jaki jest pani *success rate*, jeśli idzie o teksty dziennikarskie? Jaki procent z nich się ukazuje?

Myślę, że więcej niż 95 proc.

W przypadku artykułów naukowych to zwykle kilka, może kilkanaście procent. Przynajmniej jeśli chodzi o trudniejsze teksty, w których jest element nowości, przedstawia się wyniki nowatorskich badań i publikuje w najważniejszych czasopismach. Jest się bardzo trudno przebić. W procesie *peer-review*, czyli recenzji naukowej, często okazuje się, że ocena naszych wyników przez niezależnych recenzentów jest drastycznie różna od naszej samooceny. Czasem niesłusznie, bardzo często słusznie. Trzeba mieć i grubą skórę, i pokorę, żeby to, nad czym się pracowało przez miesiące czy lata, badać i opisywać ponownie, lepiej, precyzyjniej. Ale tak wygląda nasza praca, i tak dochodzi się w nauce do dobrze udokumentowanej i uzasadnionej wiedzy. Wielokrotne sprawdzanie, doskonalenie, cyzelowanie, czasem przyznawanie się do porażki, że się myliliśmy i zmarnowaliśmy czas i wysiłki.

To jest trudne, jednak tym, co mnie frustruje, jest społeczne niezrozumienie tego, jak działają nauki przyrodnicze. Ten brak wyobraźni, odrzucanie wyników badań uzyskanych po wielokrotnych recenzjach, sprawdzeniach czy powtórzeniach przez niezależnych badaczy w imię własnych przekonań zbudowanych na podstawie zasłyszanej gdzieś, miłej dla ducha, opinii. W przypadku kryzysu klimatycznego skutkuje to zupełnym niezrozumieniem lub wyparciem zagrożenia, przed którym stoimy. Siedzimy w domach, patrzymy w telewizor, mamy podane jak na tacy obrazki, które nam się mają podobać, i łykamy to jak młode pelikany. Przestajemy myśleć. Wydaje nam się, że te obrazki przedstawiają to, jak działa świat, i że tak zawsze zostanie. ↦

Powtarzamy: „Tak zawsze było, jest i będzie".

A to nieprawda. Ani tak nie było, ani tak nie będzie. Zapominamy, że jeżeli chcemy, żeby coś się zmieniło, to musimy działać. Sami sobie odbieramy sprawczość. To dla mnie kolejny powód frustracji.

Jak Pan reaguje, gdy rozmawia z negacjonistą klimatycznym?

Kiedyś potrafiłem się zagotować i bardzo to przeżywałem. Teraz jestem przyzwyczajony. Stwierdziłem, że jak ktoś wdrukował sobie taki pogląd, to szkoda wysiłku, by go przekonać do zmiany. Zburzenie takiego światopoglądu jest strasznie trudne. Lepiej docierać do nieprzekonanych, powątpiewających czy nieświadomych. Ich wciąż jest większość. To moja strategia.

A co z nielicznymi naukowcami, którzy przekonują, że za zmiany klimatu nie odpowiada człowiek?

Negacjonistom ze świata nauki nie przepuszczę. Podpierają się autorytetem, który – często zasłużenie – zbudowali w pewnej dziedzinie nauki, aby podważać osiągnięcia nauki w innej dziedzinie, np. fizyce atmosfery. Uważają, że praca w wycinku nauki, którym się zajmują, uprawnia ich do wydawania sądów o tym, o czym niewiele wiedzą. Takie zachowanie uważam za wyjątkowo nieetyczne.

Negacjoniści ze świata nauki to zawsze osoby wyspecjalizowane w innych dziedzinach niż klimatologia?

Najczęściej to osoby spoza klimatologii albo zajmujące się klimatologią opisową. Opisują klimat, ale nie badają związków przyczynowo-skutkowych. W Polsce klimatologia opisowa to dominująca część klimatologii, pozostałość jeszcze z czasów słusznie minionych, bo badania atmosfery i oceanu miały znaczenie militarne i w krajach satelickich nie były rozwijane.

W skali globu zdarzają się wyjątki, np. znany mi osobiście amerykański fizyk atmosfery Richard Lindzen. To szczególny przypadek, moim zdaniem wynikający z problemów osobowościowych. Sformułował tzw. hipotezę tęczówki. Głosi ona, że w miarę ocieplania się klimatu nastąpią takie zmiany zachmurzenia, które zniwelują działanie rosnącej ilości gazów cieplarnianych emitowanych przez człowieka do atmosfery. Ta hipoteza została obalona wynikami badań. Lindzen okazał się jednak bardziej przywiązany do niej niż do nauki.

Marzymy o polskim samochodzie elektrycznym czy grafenie. Czymś, co przyniesie dużo pieniędzy. A zapominamy, że nauka może pomóc **w podejmowaniu ważnych społecznie decyzji.**

Skąd biorą się takie osoby?

Naukowcy to ludzie, więc mają wszystkie ludzkie cechy i przywary. To nie jest wyjątkowa i wyjęta spod kategorii „człowieczeństwo" kasta. Mogą się mylić, popełniać błędy, kłamać czy nie mówić prawdy dla odniesienia korzyści. Taka bywa natura człowieka.

Ale tu nie chodzi o naukowców, chodzi o naukę. Ci naukowcy, którzy wypowiadając się publicznie, przekraczają granice kompetencji i przedstawiają swoje opinie jako wiedzę, prowadzą wprost do podważania najlepszego systemu zdobywania wiedzy i jej doświadczalnego uzasadniania, jaki zbudowała nasza cywilizacja, czyli nauki.

Ludzie często nie dostrzegają różnicy między naukami ścisłymi a innymi, np. prawnymi. W naukach ścisłych, takich jak fizyka, nie ma miejsca na interpretacje wykraczające poza doświadczalnie udowodnione zależności. One po prostu są, można je obserwować, badać, opisywać, jeśli zostały wielokrotnie potwierdzone – uznać za prawa, ale nie da się ich zmienić. Nawet najlepszy typ argumentacji czy biegłość retoryczna nie zmienią praw fizyki. Nie zmienią własności węgla obecnego w atmosferze, nie zakażą lodowcom topnienia, a gatunkom – wymierania.

Metody argumentacji i dochodzenia do prawdy czy rozsądzania sporów w naukach społecznych są czymś zupełnie innym i różnym niż metody dochodzenia do prawdy w naukach eksperymentalnych, przyrodniczych. Szkoła nie uczy tych różnic, dlatego mamy z tym duży problem.

Może jesteśmy za głupi?

Nie zgadzam się. Dzieci mają odruch badania, eksperymentowania, sprawdzania na własnej skórze. Ale później zaczyna się im wtłaczać w głowy zastane formułki, zamiast próbować zorganizować ich czas i naukę tak, aby musiały pewnych rzeczy doświadczać i wyciągać na tej podstawie wnioski.

Jeżeli nie nauczyliśmy się tego w dzieciństwie, to nie ma już dla nas nadziei?

Zawsze jest. Znakomita większość z nas rzeczywiście nigdy nie przeprowadziła żadnego doświadczenia, choćby bardzo prostego, nie interpretowała wyników. Każdego do tego zachęcam, nawet gdy już jest dorosły.

Są kraje, w których rządzący i społeczeństwo bardziej słuchają głosu naukowców?

Nigdzie nie jest tak, że wyniki badań naukowych w większości przekładają się na działania rządów czy społeczeństw. Ale są miejsca, gdzie idzie to lepiej. Chociażby w Czechach. Stworzono tam jawne i kompleksowe doradztwo naukowe, które stoi za posunięciami rządu w sprawach pandemii. U nas nawet jeśli ktoś rządowi doradza w kwestiach epidemicznych, to cały proces jest niejawny, nikt nie przedstawia ani rozumowania, ani argumentów za i przeciw takim czy innym decyzjom. Posunięcia są „objawiane" z góry, a my mamy wierzyć, a nie pytać, rozumować, prosić o wyjaśnienia.

Dlaczego?

Mamy kulturę tajności, a nie jawności i przejrzystości. W Polsce występuje ewidentna trudność w dostępie do informacji publicznej. Przez długie lata byliśmy jednym z nielicznych krajów, gdzie za dane meteorologiczne, zbierane za pieniądze podatników, trzeba było dodatkowo zapłacić, jeśli chciało się je pozyskać w celu np. przeprowadzenia nakazanych prawem analiz wpływu inwestycji na środowisko. W tym szczególnym przypadku na szczęście to się zmieniło, ale przykład dobrze ilustruje problem. Mierzymy, zbieramy, zapisujemy mnóstwo danych za pieniądze podatnika, ale dotarcie do nich, uzyskanie informacji zbiorczych

czy szczegółowych wymaga niezłej ekwilibrystyki.

Brakuje nam państwowych instytucji, które kompleksowo zajmowałyby się doradztwem?

Zdecydowanie tak. Istnieją wprawdzie państwowe instytuty badawcze, ale w rzeczywistości w Polsce od czasów końca komunizmu nie było żadnej instytucji państwowej, która zajmowałaby się szeroko rozumianym doradztwem naukowym dla celów politycznych. Państwo w ogóle nie wygenerowało takiej potrzeby. Czasami projektowo próbuje się zgromadzić fachowców, żeby przygotowali raport na jakiś temat. Ale nie ma systemowej, kompleksowej i ciągłej pracy ułatwiającej politykom podjęcie światłych decyzji, uzasadnionych faktami i stanem wiedzy. Także w zakresie klimatu.

W USA, mimo że rządzi tam przecież jeden z największych negacjonistów klimatycznych, Donald Trump, istnieją państwowe instytucje, takie jak National Oceanic and Atmospheric Administration (NOAA) czy NASA, które otwarcie mówią o kryzysie klimatycznym i kompleksowo badają ten problem, przedstawiają raporty i analizy.

Może nas na takie instytucje nie stać?

To bardziej kwestia kultury i priorytetów społeczeństwa. Widać to i w wydatkach na naukę, i w sposobie ich alokowania. Gdy myślimy o nauce, to myślimy o niej nie jako o narzędziu, które pomagałoby w organizacji społeczeństwa i podniesienia bezpieczeństwa i dobrobytu, tylko jako o czymś, co ma przynieść dużo pieniędzy. Marzymy o polskim samochodzie elektrycznym, błękitnym laserze czy grafenie. Zapominamy o tym, że nauka dostarcza wiedzy, która może pomóc w podejmowaniu właściwych, ważnych dla społeczeństwa decyzji i w ten sposób przyczyniać się do dobrobytu i stabilności.

W trakcie obecnej pandemii podjęliśmy natychmiastowe działania, ale jesteśmy opieszali w przeciwdziałaniu katastrofie klimatycznej. Dlaczego? Wirusa nie widać gołym okiem, a niektóre skutki kryzysu klimatycznego, np. wysychające rzeki i jeziora, upalne lata, topniejące lodowce, obserwujemy przecież od dawna.

Wirusa rzeczywiście nie widać, ale zagrożenie nim wydawało się bezpośrednie. Z własnego doświadczenia wiemy, na czym polega zakażenie drogą kropelkową. Większość z nas choć raz w życiu przechodziła grypę albo ostre przeziębienie, być może zapalenie płuc. Wyobrażenie sobie kolejnej, nowej choroby zakaźnej było proste. Poza tym to, co w przypadku choroby zakaźnej trzeba robić, jest zgodne z naszymi wyobrażeniami.

Wiemy, że jak ludzie na nas kaszlą i kichają, np. w tramwaju, to jest nieprzyjemnie, a w dodatku możemy zarazić się tym katarem albo gorszym paskudztwem. Ograniczenie kontaktów społecznych jest więc zrozumiałe.

Pamiętamy swoją grypę i dwa tygodnie spędzone w łóżku, nieprzyjemny katar kichającego współpasażera, a nie działa na nas wspomnienie o powodzi, przerwach w dostawie wody czy oparzeniach słonecznych, z których długo się leczyliśmy?

Powódź nie dotknęła każdego z nas, kilkugodzinne awarie wodociągów nie są tak uciążliwe, bo na razie zdarzają się rzadko. Oparzenie słoneczne może nie było przyjemne, ale wolimy pamiętać tamten ciepły wieczór nad Morzem Śródziemnym.

Często myślimy „moja chata z kraja", nie pamiętamy, żeby rzeka wylała, a nawet jeśli, to tylko raz. Teoretycznie wiemy, czym jest powódź, a budujemy wielkie osiedla na zagrożonych terenach, np. na Łuku Siekierkowskim w Warszawie. Wiele zjawisk fizycznych traktujemy jako dopust boży, coś, z czym nie da się nic zrobić, co przyjdzie albo nie przyjdzie, ale nie mamy na to wpływu.

O chorobie nie myślimy jako o boskiej karze?

Na przykładzie pandemii koronawirusa bardzo dobrze widać, czego jako ludzie się boimy. Na przykład tego, że ktoś wniesie pilnik do paznokci na pokład samolotu, którym lecimy, włamie się do kabiny pilota i poderżnie mu gardło. Dlatego zbudowaliśmy na lotniskach pasażerskich całego świata świetny system, który tak nas przetrzepie, że nie pozwoli wnieść niczego ostrego na pokład.

Jednocześnie, wiedząc dobrze, czym jest choroba zakaźna, że naukowcy ostrzegają o możliwości pandemii, nie stworzyliśmy żadnego większego systemu, który pomógłby w wykrywaniu na lotniskach zainfekowanych i utrudniał błyskawiczne rozprzestrzenianie się chorób na cały świat. To już jest dla nas zbyt abstrakcyjne. Zbudowaliśmy świat, który jest stosunkowo bezpieczny, i wydaje nam się, że tak musi być zawsze. W dodatku brakuje nam umiejętności myślenia przyczynowo-skutkowego. Dlatego tak trudno wyobrazić nam sobie globalne skutki katastrofy klimatycznej.

Pan wierzy, że uda się ją powstrzymać?

Zmian, które już zaszły, nie cofniemy. Czas płynie tylko w jednym kierunku. Ale uważam, że nadal mamy szansę coś zrobić. Wyniki badań pokazują, że mamy szansę nie dopuścić do takiego rozwoju sytuacji, który spowoduje, że świat, który znamy, kompletnie upadnie. Z każdego poziomu zagrożenia jest jakaś szansa, choćby częściowego, wyjścia. Warto się zorganizować i ją wykorzystać.

Nie jest Pan zmęczony prostowaniem mitów klimatycznych?

Powtórzę to, co powiedziałem w filmie: ludzie mają nie wiedzę, ale poglądy. Ktoś te mity musi prostować. Gdybym podjął inne wybory w życiu, pewnie nie miałbym tej odpowiedzialności. To jest mój obowiązek.

Ale miewam też satysfakcję z tego, co robię. Cieszy mnie, że mogę prowadzić ciekawe badania, a niektóre wyniki przydają się innym. Cieszy mnie, że film, w który włożyliśmy dużo pracy i energii, spowodował taki oddźwięk. Po premierze zostaliśmy zasypani prośbami, aby zachować go w wolnym dostępie w internecie. To się udało. Ogląda go coraz więcej osób, wywołał społeczną dyskusję. Cieszy mnie też, że grupa „Nauka o klimacie", którą zbudowaliśmy w 2013 r. wraz z przyjaciółmi, jest wspierana przez wielu kolegów badaczy i coraz lepiej rozpoznawalna. Założyliśmy portal, profil na Facebooku, wydaliśmy książkę, prowadzimy szkolenia i imprezy popularnonaukowe. Ludzie nas czytają, coraz bardziej się interesują i coraz więcej rozumieją. Organizuje się coraz więcej grup, które chcą przeciwdziałać katastrofie klimatycznej, podejmują różne pożyteczne inicjatywy i zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Czy zdążymy? Nie potrafię odpowiedzieć.

© Rozmawiała MARTYNA SŁOWIK

KULTURA

KOMU ZABRAKŁO KULTURY

Właśnie się okazało, że możemy żyć bez koncertów, przedstawień i wystaw. Ale okazało się też, jaką fikcją jest przekonanie o pełni takiego życia. I jaką moc ma pragnienie wyzwolenia się z niego.

DARIUSZ KOSIŃSKI

ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

W CIĄGU CAŁEJ KAMPANII PREZYdenckiej tylko raz doszło do jakiegoś sporu o kulturę i to nie w jej głównym nurcie. Współpracująca z Rafałem Trzaskowskim we władzach Warszawy Agata Diduszko-Zyglewska przypomniała dokonania ministra Piotra Glińskiego, w tym tak oczywiste akty destrukcji, jak zmiany dyrektorów w teatrach Polskim we Wrocławiu i Starym w Krakowie. Minister w odpowiedzi powtórzył to samo, co mówi od pięciu lat: że pretensje wynikają z niezgody dawnych „elit" na obsadzanie ważnych stanowisk osobami spoza ich środowiska.

Dyskusji dalej nie toczono i nikt nawet się nie zająknął, że po kilku latach niekompetencja panów Morawskiego i Mikosa jest oczywista nawet dla ideowych sojuszników ministra, a każdy, kto przyczynił się do umieszczenia tych panów na dyrektorskich stanowiskach, ponosi odpowiedzialność za zniszczenie dwóch niegdyś świetnych i ważnych instytucji kultury. Niewielu to jednak obchodzi, więc po szybkiej wymianie ciosów sprawa przycichła.

Radosne dni

W rezultacie tego generalnego braku zainteresowania od połowy marca, czyli od pandemicznego zamrożenia kultury, odnotować można jedynie dwa liczące się wydarzenia jej dotyczące: piosenkę Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój" oraz specjalną konferencję prasową premiera Mateusza Morawieckiego, w czasie której ogłoszono zasady wznowienia rozgrywek polskiej ligi piłkarskiej. Pierwsze wydaje się oczywiste, drugie wymaga wyjaśnienia.

Piłkarską konferencję premiera 29 maja uważam za ważne wydarzenie w sferze kultury nie ze względu na nią samą, ale przez kontrast. Odmrożenie ligi ogłoszono w ramach widowiska, jak na warunki pandemiczne, całkiem rozbudowanego. Przed Stadionem Narodowym czekali dziennikarze, do których – budując niemal westernowe napięcie – zbliżał się Morawiecki w towarzystwie prezesa PZPN i minister sportu. Doszedłszy do kulminacyjnego punktu premier ogłosił „radosny dzień" powrotu ekstraklasy jako znaczący dowód powrotu „normalności".

Natomiast odmrożenie kin, teatrów, muzeów i innych instytucji obwieszczono w ramach jednej z wielu konferencji premiera i ministra zdrowia z doproszonym na tę okoliczność ministrem kultury, informującym o tym kolejnym z wielu elementów procesu wychodzenia z pandemicznego lockdownu.

Ów kontrast mówi bardzo wiele i bardzo jasno o priorytetach rządu, podważając zarazem jeden z filarów tożsamości Prawa i Sprawiedliwości, mianowicie jego odmienność od Platformy Obywatelskiej. Obie formacje bowiem w równym stopniu uznają, że państwo powinno swoim autorytetem (nie mówiąc już o środkach publicznych) wspierać wielki sportowy biznes. Kulturą zajmują się, bo wypada. Dają na nią pieniądze i usiłują jakoś nią zarządzać. Ale w zasadzie niewiele ich ona obchodzi, więc od lat zajmują się nią ci politycy obozu władzy, z którymi prezes nie bardzo wie, co zrobić. Przyzwyczailiśmy się do tego i już nawet nie śni nam się, że premier w towarzystwie ministra kultury i – powiedzmy – ze dwóch dyrektorów ważnych narodowych instytucji mógłby ogłosić pod Teatrem Wielkim „radosny dzień" jego po-

Marta Baranowska, tancerka Baletu Dworskiego Cracovia Danza, podczas przygotowywania choreografii w Film Studio, które powstało w czasie pandemii. Kraków, 3 czerwca 2020 r.

nownego otwarcia. Zapewne dlatego nikt nawet nie zauważył, że coś się tu szczególnego wydarzyło.

Wszyscy natomiast zauważyli i gorąco komentowali aferę wokół piosenki Kazika i próby wyciszenia jej popularności przez atak na Listę Przebojów Trójki. Nawet sam twórca pod wpływem tych wydarzeń po kilkudziesięciu latach na estradzie doszedł do wniosku, że to, co robi, może mieć skutki polityczne! Zaiste świadomościowy happy end i dowód na moc kultury. Mimo złości, jaką wzbudziło zniszczenie Trójki – prawdziwie radosny dzień dla wszystkich ludzi z nią związanych. Oczywiście będą i tacy, którzy powiedzą, że to nie dowód na siłę twórczości, ale efekt szczególnego zbiegu okoliczności, politycznej presji i niefortunnych decyzji pogubionych medialnych dworaków.

Pozwolę sobie jednak zauważyć, że całej afery by nie było, gdyby piosenka Kazika nie została tak świadomie i mistrzowsko skonstruowana w tradycji podwórkowej ballady i gdyby jej polityczne i etyczne przesłanie nie wbijało się natrętnie do głowy dzięki precyzyjnie dobranym środkom artystycznym. To jest piosenka trafiająca nie tylko do niszowych grup fanów (jak dawniejsze polityczne interwencje tego samego artysty), ale w swej pozornej łatwości potencjalnie groźna nawet dla fanów Zenka. Siła jej rażenia wynika więc nie tylko z kontekstu sytuacji, zbiegu polityczno-społecznych okoliczności, ale przede wszystkim z jej artystycznej jakości.

Prawo do narracji

W reakcji na aferę wokół utworu Kazika czołowi przedstawiciele władzy zajmujący się kulturą bez ogródek wypowiedzieli swoje przekonania. I tak Krzysztof Czabański, prezes Rady Mediów Narodowych, stwierdził w Polskim Radio, że cała awantura bierze się z dążenia mediów komercyjnych do zniszczenia publicznych jako konkurencji w walce o pieniądze z reklam. Oskarżył też „wiadome środowiska", które „były przyzwyczajone, że miały *de facto* monopol na to, co kiedyś nazywało się propagandą, a przez ostatnie lata nazywa się »narracją o świecie«". Z kolei Piotr Gliński w RMF FM powiedział, że „każda władza, niestety, po 1989 roku wykorzystywała media publiczne", więc i obecna tak czyni, bo „media publiczne są w jakimś sensie związane z władzą polityczną i tak zawsze było. Nie bądźmy hipokrytami".

Wypowiedzi te dotyczą mediów masowych, przede wszystkim telewizji, prasy ↦

↦ i radia, ale po kilku latach obserwowania, jak rząd PiS traktuje całą sferę kultury, nie mam wątpliwości, że można je odnieść do niej jako całości. Polityka kulturalna rządzącej partii polega na użyciu publicznych pieniędzy na rzecz wsparcia własnej narracji przy jednoczesnym dążeniu do wyciszenia tego, co ją zakłóca, nawet jeśli nie ma wiele wspólnego z postawą dającą się zakwalifikować jako opozycyjna.

Kultura – jak powiedział minister Gliński, informując o jej odmrażaniu – jest dla tego rządu „ważna" o tyle, o ile uznają jej znaczenie dla umocnienia pożądanych postaw oraz ustalenia i podtrzymania określonego zestawu „tradycji". Jednocześnie nie zakazuje się, a nawet czasem finansuje z pieniędzy publicznych działania niewpisujące się w dominującą „narrację" narodowo-katolickiego hurrapatriotyzmu. O co chodzi? PiS zręcznie rozgrywa tu napięcia dręczące kulturę od czasu jej rozpadu na „wysoką" i „popularną", bez trudu znajdując posłuch dla pytań o powody, dla których z pieniędzy publicznych ma być finansowana twórczość niezrozumiała lub wręcz niedostępna dla większości osób te pieniądze dostarczających.

Argument ten powracał przy każdym sporze między rządem a ludźmi kultury, protestującymi przeciwko aktom „cenzury". Dla tych drugich było jasne, że ataki na Teatr Powszechny w Warszawie za wystawienie „Klątwy" czy polecenie zdjęcia z wystawy w Muzeum Narodowym pracy Natalii LL to akty godzące w wolność twórczości artystycznej, jednak większość elektoratu akceptuje twierdzenie, że takie prowokacyjne i „obrażające wartości", a przy tym niezrozumiałe dla większości dzieła mogą powstawać w ramach inicjatyw prywatnych, niekonieczne zaś powinny być wspierane ze środków publicznych.

To twierdzenie, czy też może raczej – związany z nim dylemat, wcale nie ma jednolitych kolorów partyjnych, a różnice poglądów nie przebiegają tu według linii podziału PiS-PO. Gdyby ludzie rządzący kulturą z ramienia PiS byli nieco zręczniejsi, mieli lepsze rozeznanie w środowisku i nie kierowali się w tak wielkim stopniu resentymentami i poczuciem wykluczenia ze znienawidzonych, a przecież pożądanych „elit", mogliby bez większego trudu zbudować całkiem pokaźne i liczące się zaplecze osób wspierających ich politykę. Wierna publiczność modelowego Teatru Powszechnego w Warszawie to naprawdę mniejszość i wcale nie jest tak, że tylko garstka środowiska artystycznego, w większości osoby związane z Kościołem, oraz liczący na masową popularność chałturnicy byliby gotowi otwarcie wesprzeć bardziej konserwatywny projekt kultury narodowej.

> PiS stał się nie tyle partią prowadzącą jakąś politykę kulturalną, ile zamienił się **w ugrupowanie akulturalne.**

Z powodów irracjonalnych, z niewiedzy, albo po prostu na skutek działania wewnętrznych nacisków i personalnych gierek ministerstwo błyskawicznie zraziło do siebie większość swoich potencjalnych sojuszników, zmieniając niektórych z nich w zajadłych wrogów i sprawiając, że nawet ci, którzy ideowo zgadzają się z polityką ministerstwa, powstrzymują się od współpracy z nim. W efekcie symbolem polityki kulturalnej PiS jest Zenek Martyniuk właśnie.

Na przykładzie kultury widać jak w soczewce podstawowy mechanizm obecnych rządów, które – niezależnie od sporej liczby sensownych działań, akceptowanych nawet przez środowiska ideowo bardzo odmienne, nie jest w stanie zrobić tego, co wydawałoby się pożądane choćby dla utrzymania długotrwałej i stabilnej władzy.

PiS traktuje swoją ofertę jako pakietową, niemal odruchowo narzucając zasadę „bez światłocienia", zakładającą pełną i całkowitą jednolitość narracji nawet tam, gdzie w zasadzie można by dopuścić warianty indywidualne i pośrednie.

Być może jest to lekcja wyciągnięta z porażki PO, która – jak na liberałów przystało – w dużo mniejszym stopniu pilnowała (i pilnuje) zwartości szeregów i spójności „narracji". PiS tymczasem wydaje się wręcz przewrażliwiony na tym punkcie, karząc każdą, nawet jedynie estetyczną odmienność od narzuconej wzniosłości bogoojczyźnianej tradycji, której rewersem jest przymilna fikcja disco polo. Wszystko, co znajduje się pomiędzy biegunami solennej ceremonii i ludycznej zabawy, nie mieści się w obowiązującej „narracji".

Twarz i resztka

W efekcie przyjęcia strategii wyrazistych oraz całościowych wyborów politycznych i propagandowych PiS stał się nie tyle partią prowadzącą jakąś politykę kulturalną, ile zamienił się w ugrupowanie akulturalne.

Między przyjętą i propagowaną przez PiS postawą a tym, co stanowi fundament kultury, zwłaszcza współczesnej, zachodzi fundamentalna sprzeczność. Kultura dzisiejsza niemal odruchowo przyjmuje bowiem postawę krytyczną, to znaczy – skierowaną przeciwko wszelkim narracjom dążącym do dominacji. Czyni to na dodatek z powodów, których myślący i działający w ich kategoriach nie są w stanie zrozumieć. Nie chodzi bowiem o budowanie kontrnarracji, ale o wynajdywanie sposobów na twórcze ujawnienie i wykorzystanie tego, co w żadnej ze zbiorowych ideologicznych narracji się nie mieści, a co właśnie tworzy fundamentalne doświadczenie ludzkiego życia.

Tu musimy odejść na chwilę od bieżącej polityki i przenieść się w sferę spraw śmiertelnie poważnych, a zarazem codziennych. Partyjne myślenie o kulturze jako o narracji czy propagandzie nie ma nic wspólnego z powodami, dla których kulturą tak intensywnie zajmują się ci, którzy nie traktują jej jak kotylionu u politycznego garnituru, ale poświęcają jej życie. Krótko i prosto: celem kultury jest pełnia, czyli przeciwstawienie się nieuniknionemu ograniczeniu związanemu ze sposobami społecznego istnienia.

To może i banał, ale znaleźliśmy się w takiej sytuacji, że banały trzeba powtarzać: czy to na scenie politycznej, czy w teatrze życia codziennego, choćby ze względu na skuteczność działania i sprawność komunikacji musimy przyjmować określone role. Odgrywając je, zapewniamy sobie coś niezwykle cennego, co Erving Goffman nazywał trafnie „twarzą" – ważną i wartościową tożsamość społeczną, którą posiadamy, a którą nadają nam inni. Utrata twarzy, czyli podważenie uprawnienia do występowania w danej roli, reprezentowania wytworzonej osobowości, uchodzenia za tego, za kogo chciało się uchodzić, to jedno z największych nieszczęść, jakie może spotkać człowieka żyjącego społecznie. Czasem – dosłownie zabójcze.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

Barbara Nowacka na mównicy. „Takiej hołoty chamskiej to jeszcze nikt nie widział w tym Sejmie!" – pokrzykiwał prezes PiS Jarosław Kaczyński podczas jej wystąpienia. Debata nad wotum nieufności dla ministra zdrowia w rządzie PiS Łukasza Szumowskiego. Warszawa, 4 czerwca 2020 r.

Na to niebezpieczeństwo narażeni jesteśmy wszyscy. Nie dlatego, żeśmy z natury kłamcami i obłudnikami, ale po prostu dlatego, że każda i każdy z nas jest złożony i skomplikowany w sposób uniemożliwiający nam pełne zaistnienie w repertuarze dostępnych ról społecznych. Nawet jeśli gramy ich wiele (a każdy z nas to robi) i nawet jeśli każda z nich daje nam satysfakcjonujące poczucie „bycia sobą", to przecież są w nas pragnienia, lęki, wyparcia, zapomnienia, marzenia, pokusy, których nie jesteśmy w stanie, a bardzo często nawet nie chcemy w jakikolwiek sposób ujawniać i uruchamiać.

Twarz jest zawsze maską jakiejś części naszej złożonej osobowości i nawet jeśli mamy szczęście i wszystkie nasze twarze udaje nam się skutecznie zachować, to zawsze pozostaje niemieszcząca się w żadnej z nich resztka, ciemna plamka, sprawiająca, że nawet najbardziej udane życie może się w każdej chwili okazać „nie tym".

Kultura to z jednej strony obszar, w którym ta ciemna plamka może się względnie bezpiecznie ujawnić, z drugiej zaś – sfera możliwych doświadczeń pełni. To znaczny takich stanów, w których wszystko co ciemne i niewysłowione zostaje na moment rozjaśnione i staje się całością. Grecy mieli na takie doświadczenia jedyne możliwe słowo – *arretha*, niewypowiadalne. Najbardziej sensownie jest na ich temat milczeć, choć właśnie słów na ich temat wypowiadamy najwięcej. Zdajemy się bowiem wierzyć, że jeśli zdołamy je wysłowić, to zostanie wreszcie usunięta zasadnicza sprzeczność między nimi a naszym społecznym sposobem istnienia, który polega na umiejętności sensownego wypowiadania się, zabierania głosu, co – jak wiadomo – Arystoteles nazwał polityką.

Państwo kulturowej kwarantanny

Partia Jarosława Kaczyńskiego zdaje się tego wszystkiego kompletnie nie rozumieć i zgodnie z tradycją wszelkich formacji purytańsko-militarystycznych uznaje własną narrację za jedyną dającą się wysłuchać publicznie – jedyny akceptowalny rdzeń publicznego funkcjonowania. Wszystko, co się w niej nie mieści, powinno zostać stłumione i ukryte.

Oznacza to, że świat społeczny tworzony przez PiS jest skazany na niepełnię i fałsz. Wcześniej czy później doprowadzą one do jego rozpadu nie z powodów politycznych, społecznych czy ekonomicznych, które twórcy tej koncepcji uważają za jedyne „ważne", ale z powodów kulturowych. Tak się po prostu nie da długo żyć, co – gdyby ktoś tego jeszcze nie wiedział – przekonująco udowodniła właśnie pandemia. Państwo PiS kreuje wielki i masowy *lockdown*, zapewniający może nawet i dostatnią egzystencję, ale uniemożliwiający w kluczowym momencie wypowiedzenie własnej prawdy, która łamie głos, a w żadnej nagłaśnianej narracji się nie mieści.

Dojmującym dowodem i przejmującym przykładem była jedna z najważniejszych, a już zapomnianych scen minionych miesięcy: fragment sejmowej debaty nad wnioskiem o odwołanie ministra Szumowskiego. Wszyscy pewnie pamiętają, jak w odpowiedzi na słowa Borysa Budki, który domagał się zakończenia demonstracji lekceważenia przez prezesa PiS i przedstawicieli rządu, Jarosław Kaczyński rzucił z typową dla siebie szczerością słowa o „chamskiej hołocie". Wywołały chwilowe wrażenie, ale niczego nowego nie wniosły, bo prezes już dawno zapewnił sobie prawo do wystąpień łamiących wszelkie reguły gry; przecież w imię nieżyjącego brata wszystko, co jego, jest lepsze niż nasze. Ten „lepsizm" (piękne słowo) wytknęła mu w debacie Barbara Nowacka. I właśnie jej wystąpienie wydaje mi się tą szczególnie ważną, a niezauważoną sceną.

Córka Izabeli Jarugi-Nowackiej stanęła naprzeciwko brata Lecha Kaczyńskiego jako osoba mająca niekwestionowalnie równe prawo do żałoby i traumy po tej samej katastrofie, na której prezes zbudował swoją pozycję. Upomniała się o to prawo, łamiącym się głosem pytając, w imię czego on mógł iść 10 kwietnia na grób matki, a ona nie. Jego bólowi przeciwstawiła swój. I w tej samej chwili kierujący debatą marszałek Ryszard Terlecki wyciszył jej mikrofon...

Polityka, której skutek i symbol stanowi to odruchowe i cyniczne wyciszenie, jest głęboko i fundamentalnie szkodliwa dla wszystkich żyjących w państwie według niej urządzanym. Jest to oczywiste z perspektywy tych, którzy idąc za własnymi wyzwaniami muszą odrzucić dominującą narrację, by nie popaść w schizofrenię totalnego ukrycia (osoby nieheteroseksualne to przykład najbardziej oczywisty, ale przecież niejedyny).

Ale nawet ci, którzy wartości tej narracji akceptują, znajdują się w sytuacji fałszywej. Wyciszając wszystko, co się w niej nie mieści, państwo uniemożliwia swoim obywatelom swobodne działanie w sferze, która ma zasadniczy wpływ na ich życie widziane nie z perspektywy przetrwania w dostatku i zapewnienia „przedłużenia gatunku", ale z perspektywy sensu jednostkowej egzystencji. Życie w nim jest – powtórzę – jak życie pod nieustanną kwarantanną: jesteś zdrowy i względnie bezpieczny, masz co jeść i gdzie spać, a nawet możesz pozwolić sobie na obejrzenie kolejnego serialu na Netfliksie, ale wszystko, co naprawdę ważne, jest gdzie indziej.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

STAR TRIBUNE VIA GETTY IMAGES

Pięciopiętrowy mural przedstawiający Boba Dylana autorstwa brazylijskiego muralisty Eduarda Kobry. Minneapolis, 3 kwietnia 2020 r.

Pieśni czasów ostatecznych

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Bob Dylan, 79-letni mędrzec o chrapliwym głosie wydał właśnie pierwszą płytę po literackim Noblu. Zaiste, tego Nobla wartą.

Powracając w epicentrum pandemii z nowym zbiorem autorskich piosenek, Dylan zaprosił nas do gry. Do jego świata prowadzi teraz brama w postaci szafy grającej, a nad nią lśni neon „ROUGH AND ROWDY WAYS", czyli „szorstkie i brutalne maniery". Tytuł wprost nawiązuje do piosenki klasyka muzyki country Jimmie'ego Rodgersa „My Rough and Rowdy Ways". Pominięcie zaimka dzierżawczego nie jest tu bez znaczenia. Ale to wyjaśni się pod koniec.

POZIOM 1

„I Contain Multitudes"

SKŁADAM SIĘ Z MNOGOŚCI

Pieśń-kamerton, zapowiadająca, co się tu wydarzy. Znak ciągłości i zarazem radykalne odejście. Do tego drugiego Dylan przyzwyczajał nas niemal od początku. Ileż to razy mylił tropy, zacierał ślady, porzucał to, do czego już nas przekonał. Zmieniał style, maski, poetyki. Już pierwsze wysłuchanie tego – zaskakująco leniwego jak na utwór otwierający 70-minutowy album – manifestu dowodzi, że zaczyna się podróż w nieznane.

Takich faktur dotąd nie mieliśmy – ledwie pulsujących plam gitary i smyczków, medytacyjnego głosu. I treści mogącej zapełnić całą dyskografię innego artysty. Ciągłość zwiastuje zaczerpnięty z Walta Whitmana tytuł – bo jakże inaczej opisać kosmos, którym jest twórczość noblisty? „Kwiaty, jak wszystko, spotyka śmierć (...) szczątki znanych ci ludzi w moich ścianach są (...) maluję pejzaże, akty i ludzkie kości / składam się z mnogości (...) śmierć ze mną w jednym łóżku śpi" – śpiewa Dylan, ale czy „ja" tej pieśni to „ja" autorskie? Tego nie dowiemy się do końca, choć album robi wrażenie bardzo osobistej wypowiedzi. Wsączamy mnogość w nasze DNA i ruszamy dalej.

POZIOM 2

„False Prophet"

FAŁSZYWY PROROK

Po niemal bukolicznej pierwszej rozgrywce droga zakręca o 180 stopni: muzyka prosto z archiwów wczesnego rhythm'n'bluesa, zagrana z rockową agresją: „Jam jest wróg wiarołomstwa / wróg swarów i spięć / wróg nieprzeżytego życia / w którym zgubił się sens / jam nie fałszywy prorok (...) nie pamiętam swych narodzin, zapomniałem własną śmierć".

I znów: kto mówi? O zagadce osoby Dylanowskiego narratora można by napisać ileś doktoratów. Wszak już w 1965 r., gdy ukazał się singiel „Like a Rolling Stone", nikt nie mógł przysiąc, czy adresatem tej diatryby jest zagubiona aktorka Edie Sedgwick, publiczność Dylana czy on sam. „False Prophet" dobiega „z podziemnych sfer", może z czyśćca – czyściec mógłby być scenerią całej płyty. I naszego życia, bo czyż nie jesteśmy dziś w swoistym czyśćcu, który uruchomiliśmy spuszczonym z łańcucha wirusem? „Znów dzień wątpliwości / goryczy

i wściekłych łez". Uczestnicy protestów na ulicach amerykańskich mogliby wypisać te słowa na transparentach. Spójrzmy na własne życie rzetelnie – i w drogę.

POZIOM 3

„My Own Version of You"

MOJA WŁASNA WERSJA CIEBIE

Wielokrotnie posądzany o plagiat (w tym przez samą Joni Mitchell), Dylan nie kradnie. Przetwarza, zgodnie z folkową tradycją. Wykorzystując czyjś motyw muzyczny, czyjąś frazę poetycką, czyjś wątek fabularny – składa hołd mnogości tych, którzy byli przed nim. W duchu Eliotowskiego eseju „Tradycja i talent indywidualny" określa sam siebie w ciągu odwiecznych inspiracji i długów artystycznych, spłacając te ostatnie własnymi, często zaskakującymi kontekstami i ekstrapolacjami.

W tym gotyckim, miejscami rapowanym walcu, którego narrator niczym doktor Frankenstein z dobytych z grobów fragmentów chce stworzyć własną wersję idealnej istoty, odbija się etos świadomego artysty: „Być albo nie być – powiesz mi, jaki w tym sens? / Może zechcesz mnie okpić – nie uda ci się (...) historię ludzkości jak na dłoni tu mam / wiernie jej obraz twoja oddaje twarz (...) chcę przywrócić komuś życie, zawrócić czas / towarzyszyć mi będzie i śmiech, i płacz". Twórczość to także plądrowanie grobów. Cała płyta – i wiele poprzednich – skrzy się od umiejętnie splecionych cytatów i aluzji.

POZIOM 4

„I've Made Up My Mind to Give Myself to You"

JUŻ WIEM, ŻE TOBIE ODDAĆ SIĘ CHCĘ

Gdy już myślimy, że wiemy wszystko, trafiamy w objęcia melodyjnego kantyku. I nagle staje się jasne, po co Dylanowi były kilkuletnie wyprawy na terytorium Franka Sinatry, czego plonem stało się pięć krążków z repertuaru Wielkiego Śpiewnika Amerykańskiego – jak niemal 30 lat temu zaczerpnięcie z krynicy starych ballad, która wskrzesiła jego talent poetycki. Jędrny, ale subtelny, wręcz tkliwy śpiew, aksamitna muzyka i jego najcieplejsza perełka od czasu „Make You Feel My Love" (1996). Nucący barkarolę Offenbacha męski chórek tworzy czarujące tło dla słów łagodnego oddania – ale znów: komu? Ukochanej? Publiczności? Bogu? Sztuce? Jak sam kiedyś śpiewał znacznie surowszą nutą, „zawsze przecież służysz komuś" (1979). Czułość to najlepsza szata dla służby.

POZIOM 5

„Black Rider"

CZARNY JEŹDZIEC

O tym, że gra toczy się na pograniczu tego i tamtego świata, wiemy od początku, od słów „idę na samą krawędź, idę do końca" z „I Contain Multitudes". Jaki los wytargujemy, pasując się z fałszywymi prorokami i światem symulakrów? Apokaliptyczny czarny jeździec jest być może ponurym żniwiarzem. Ale narrator nie oddaje mu pola. „Wracaj do swojej żony, od mojej wara ci / bo maskę ogłady mogę odrzucić w mig (...) O, czarny jeźdźcu, mów mi, kiedy i jak / jeśli to ma być teraz, ja odpowiem ci »tak« (...) o, czarny jeźdźcu, stań już, ani drgnij / rozmiar fiuta niczego nie gwarantuje ci".

58 lat temu Dylan śpiewał buńczucznie, że chce umierać na stojąco. Dziś mówi to samo – ciszej, ale tylko pozornie łagodniej. Strach nie może być dyktatorem. W finale pieśń niknie w medytacyjnej ciszy. Ten utwór mógłby wyjść spod ręki Nicka Cave'a. Obydwaj artyści darzą się nawzajem ogromnym szacunkiem.

POZIOM 6

„Goodbye Jimmy Reed"

BYWAJ, JIMMY REED

Poziom, na którym dokonuje się wyznania wiary. Tylko pozornie – jakże by inaczej, z Dylanem wciąż jest „tylko pozornie" – mamy tu do czynienia z prostym hołdem wielkiemu bluesmanowi (1925–1976). O wyborach i rozterkach religijnych Dylana napisano już książki. Z pewnością jest wierzący, z pewnością Biblia jest księgą, do której zagląda najczęściej.

Z pewnością też powiedział w wywiadzie ponad trzy dekady temu: „Żaden ksiądz, rabin czy pastor nie nauczyli mnie tego, czego nauczyły mnie pieśni. Wierzę w pieśni". Wierzy też, że oprawa zasłania nam sacrum. „Bywaj, Jimmy Reed, Jimmy Reed Bóg wie skąd / najstarszej wiary łaknę, ty daj mi ją (...) gadali mi: nie na wiele cię stać / bo nie umiem na gitarze za plecami grać"... Pieśń jest głębszą modlitwą niż modły dobiegające ze świątyń.

POZIOM 7

„Mother of Muses"

MATKA MUZ

Po Wierze czas na kolejną cnotę teologalną – Miłość. W tej niemal psalmicznej pieśni Dylan zanosi supliki do Mnemosyne, patronki pamięci. Przyznaje się do miłości, jaką darzy Kaliope, muzę poezji homeryckiej, a więc tę, która w najpiękniejszy sposób służy pamięci – i między wierszami wyraża wdzięczność za otrzymany dar niezmarnowanego życia: „Matko Muz, wysłuchaj mnie dziś / przeżyłem już więcej, niż pisano mi (...) rozpal mnie, ocal mnie, od złego mnie zbaw / spraw, bym niewidzialny stał się jak wiatr". Sztuka, walka, cnota, prawa obywatelskie, pieśń to elementy współtworzące wielką mozaikę życia, a strażniczką jej – Pamięć.

POZIOM 8

„Crossing the Rubicon"

PRZEKRACZAM RUBIKON

Doskonale wiemy, gdzie się znaleźliśmy. W drugiej zwrotce Dylan precyzuje: „trzy mile na północ od czyśćca / Wielki Cień jest o krok stąd". W obliczu nieodwracalnego, następstwa własnych, świadomych decyzji, stać nas na nieugiętość („uczynię twoją żonę wdową / nie doświadczysz późnych lat") – ale też na kontemplację piękna. Szemrany nóż w garści, Duch Święty w sercu. Rolę noża pełni tu bezpardonowa, archetypowa muzyka bluesowa. Duch wieje przez poezję. Jak śpiewał Dylan w „Not Dark Yet" (1997), „mrok jeszcze nie zapadł, ale zbliża się". Żyjemy w czasach ostatecznych, Rubikon za nami, nie pora na niefrasobliwość. Nie to byśmy chcieli usłyszeć w czasie pandemii. Ale Dylan nigdy nie zapewniał nam komfortu.

POZIOM 9

„Key West (Philosopher Pirate)"

KEY WEST (FILOZOF PIRAT)

Tło tej dziewięcioipółminutowej akordeonowej ballady jawi się niczym raj na horyzoncie, do którego zmierza bohater obarczony brzemieniem dobrych i złych decyzji i uczynków, który „po złej stronie torów przyszedł na świat / jak Ginsberg, Corso i Kerouac", twórcy bitnikowskiej rebelii. Elegijny nastrój burzą drobne krople dziegciu: „przejrzysta woda i pachnące orchidee / sprawić mogą, że z serca krew ci się poleje (...) mnie dwunastolatka wyfraczyli od głów do stóp / i zmusili, żebym z prostytutką wziął ślub". Zapach Pól Elizejskich może być trujący, ale spod ich upojnie dusznego kobierca zda się dobiegać puls życia. „Key West", „Highlands", „Beyond the Horizon", ↦

↦ „Beyond Here Lies Nothin'" – w ciągu ostatniego ćwierćwiecza Dylan nieraz spoglądał w dal ku Niepojętemu. Dal się skraca – i pozostaje zagadką.

POZIOM 10

„Murder Most Foul"

ÓW OHYDNY MORD

Ostatnia prosta jest najdłuższa. Pierwszym opublikowanym utworem z nowej płyty była ta blisko 17-minutowa panorama duszy amerykańskiej, próbującej poradzić sobie z pokłosiem zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Grubo ponad pół wieku po tragedii w Dallas. Skąd ta decyzja?

U Dylana raczej przypadków nie ma. Nie wydaje się też, by i datę premiery płyty wybrano przypadkowo – 19 czerwca to tzw. Juneteenth, Dzień Wyzwolenia, w tym roku obchodzony w cieniu zabójstwa George'a Floyda, które mogłoby stać się jeszcze jednym z kilkudziesięciu imion i nazw przywołanych w utworze: „Zabili go raz i zabili go znów / ofiara z człowieka, rytualny grób / w dniu jego śmierci ktoś tak do mnie rzekł: / »Właśnie się rozpoczął Antychrysta wiek« (...) graj »Księżycową« w tonacji Fis-dur / graj »Klucz do gościńca«, by usłyszał go król". Odmalowany tu wielopłaszczyznowy pejzaż roi się od cytatów, strzępów, wątków teorii spiskowych, nazwisk i tytułów. Dylan wprost zwraca się do dyskdżokeja, prosząc o kolejne nuty niczym na zabawie tanecznej – lub apelu poległych. Piosenki zdają się być pociechą w narodowej traumie, ale razem tworzą kakofonię.

W tym jednym utworze, potężnym niczym Wielka Powieść Amerykańska, skupia się świat jak w soczewce. Chaos staje się naszym żywiołem, który przecież otacza nas od dawna – w internecie, w galeriach handlowych, w głowach. Miliardy impulsów, głoszone przez fałszywych proroków o szorstkich i brutalnych manierach, wdzierają się nam pod skórę i korę mózgową, modyfikują duchowe DNA, tworzą naszą nową, wypłukaną z substancji wersję. Jeśli cokolwiek ma prawo ocaleć, to Pamięć.

Drapieżnie melancholijna płyta powinna stać się świadectwem, które przyszli archeologowie odkopią, gdy czarny jeździec odmówi nam już łaski. Ona pokaże, że niektórzy z nas rozumieli.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Historia naszej seksualizacji

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Przez 35 lat czwarta część słynnej „Historii seksualności" Michela Foucaulta była niedostępnym obiektem pożądania. Ukazując się właśnie w Polsce, trafiła na swój czas.

Zdążyliśmy przyzwyczaić się do tego, że wielcy zmarli regularnie wydają pośmiertne płyty i powieści, grają w filmach albo występują na scenie jako hologramy. Najsławniejsi filozofowie i humaniści XX w. również kontynuują karierę z zaświatów.

Jacques Derrida „wydał" po śmierci już przeszło dwadzieścia tomów pism, esejów i materiałów seminaryjnych. Ściga się z nim Roland Barthes, którego krewni systematycznie przekazują do druku to, co planował i czego nie planował upubliczniać – do tej drugiej grupy należy najpewniej intymny „Dziennik żałobny", wydany we Francji w 2009 r. (u nas w 2013). Sześć lat temu wiele zamieszania zrobiły „Czarne zeszyty" Martina Heideggera, jego zapiski z czterech dekad (do tej pory ukazało się siedem tomów z dziewięciu planowanych), w których doszukiwano się koronnych dowodów na antysemityzm niemieckiego filozofa.

W 2018 r. uwagę intelektualnego świata przykuła francuska premiera książki zmarłego w 1984 r. Michela Foucaulta. Właśnie ukazało się polskie wydanie „Wyznań ciała" („ciało" jest tu rozumiane jako materia organiczna, ludzkie mięso) w starannym przekładzie Tomasza Stróżyńskiego. Jest to czwarta część wielkiego i niedokończonego projektu zatytułowanego „Historia seksualności", poświęcona myśli wczesnochrześcijańskiej. W 1976 r., kiedy w paryskim wydawnictwie Gallimard ukazał się pierwszy tom „Historii...", „Wola wiedzy", projekt ten był zapowiadany jako *opus magnum* Foucaulta i prekursorska próba opowiedzenia dziejów wynalazku kultury Zachodu, jakim jest jego zdaniem seksualność.

Początkowo planował napisać sześć tomów, kończąc na wieku XIX. Ogłosił nawet ich tytuły. Drugi, „La chair et le corps" („Cielesność i ciało") miał dotyczyć katolickich praktyk wyznania i pokuty ewoluujących po soborze trydenckim; trzeci, „La croisade des enfants" („Krucjata dziecięca") – chrześcijańskiej seksualizacji dzieci (sic!); czwarty, „La femme, la mère et l'hystérique" („Żona, matka i histeryczka") – medycznego podejścia do seksualności kobiet; piąty, „Les pervers" („Zboczeńcy") – dyskursu na temat dewiacji seksualnych, a szósty, „Populations et races" („Ludność i rasy") – kwestii demograficznych.

Żaden z nich nie ujrzał światła dziennego, choć szkice tomu drugiego i trzeciego znajdują się w przepastnych archiwach Biblioteki Narodowej Francji. Natomiast teksty, które w 1984 r. w odstępie ledwie trzech miesięcy ukazały się jako druga i trzecia część „Historii seksualności", z pierwotnym zamysłem mają niewiele wspólnego.

„Użytek z przyjemności" dotyczy starogreckich sposobów skatalogowania przyjemności cielesnych (termin seksualność jeszcze wtedy nie istniał, pojawi się dopiero w XIX w.), a „Troska o siebie" poświęcona jest rzymskim i helleńskim rozważaniom nad rozkoszą oraz moralnymi aspektami seksu. Z ich przeglądu wyłania się wezwanie do praktykowania sztuki życia, która za obiekt troski i doskonalenia się obiera samego praktyka, przyzwalając jego ciału na przyjemność. Trzy opublikowane za życia autora tomy ukazały się w Polsce w 1995 r. w doskonałym tłumaczeniu Bogdana Banasiaka, Tadeusza Komendanta i Krzysztofa Matuszewskiego.

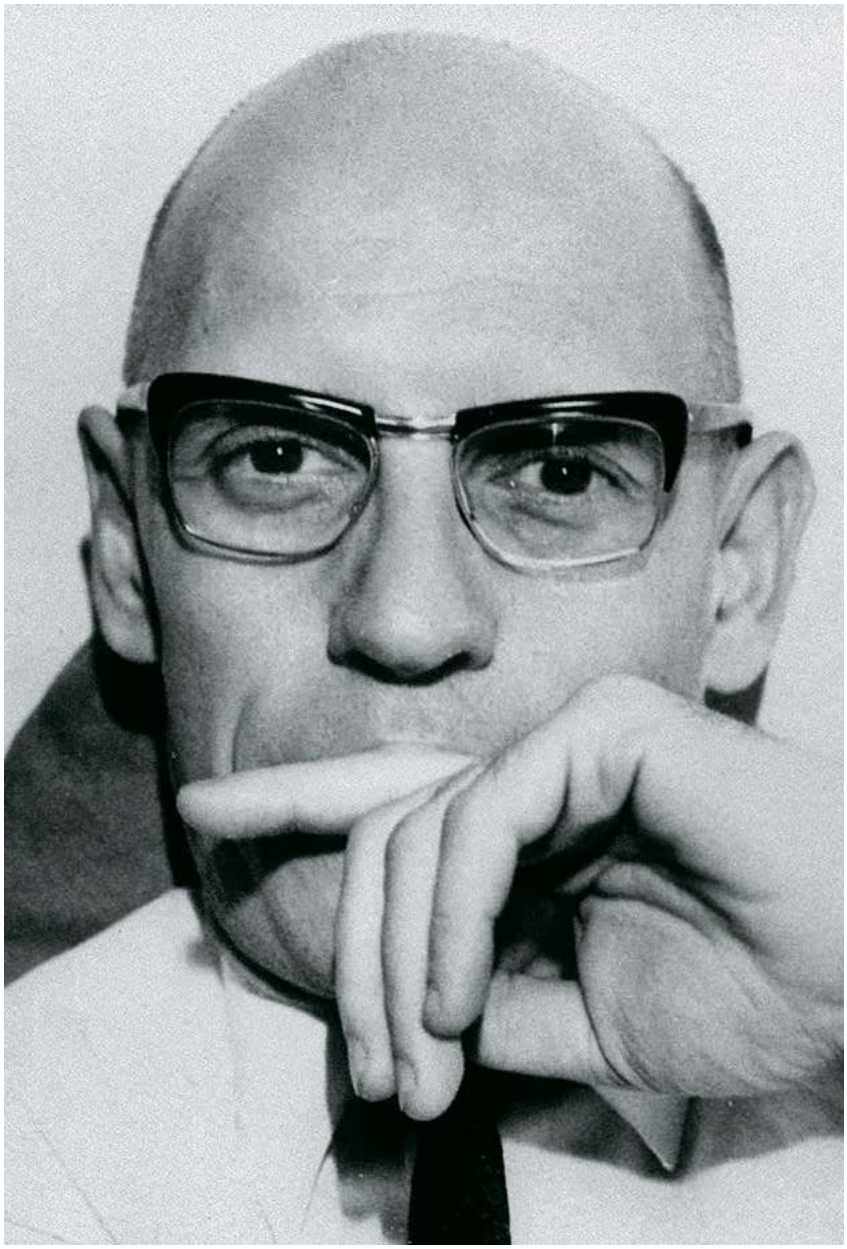

OZKOK / SIPA / EAST NEWS

Michel Foucault

Los Kafki

Wielbiciele myśli intelektualnej najwyższego lotu powinni skakać z radości, że czwarty tom nareszcie ujrzał światło dzienne. Perypetie tego brakującego woluminu mają jednak gorzki posmak.

W tym przypadku nie chodziło o zaginiony manuskrypt znaleziony po latach na strychu, o filozoficznego złotego Graala ani o zapiski oznaczone klauzulą tajności na określoną liczbę lat, jaka miała upłynąć od śmierci ich twórcy. Dobrze wiedziano, nad czym Foucault pracował w ostatnich tygodniach życia. Jasne było też to, że wszystkie materiały pozostały w rękach jego partnera życiowego i spadkobiercy Daniela Deferta. Nie oczekiwano jednak ich rychłej publikacji. Foucault zastrzegał kilkakrotnie w rozmowach prywatnych i raz na piśmie, że nie życzy sobie, by po jego odejściu wydawano teksty, których nie zdążył dokończyć lub nie planował ogłaszać drukiem.

Mówił też, że chciałby, aby jego prace uniknęły losu utworów Franza Kafki, którego wolę zignorował Max Brod, wydając po śmierci przyjaciela najsławniejsze dziś jego dzieła. W porównaniu do Kafki jest jednak więcej kokieterii niż trafności. W momencie śmierci w czerwcu 1984 r. Foucault był niekwestionowaną gwiazdą europejskiej humanistyki, a publikacja tekstów nieukończonych mogłaby nie tyle przydać mu sławy, co zmobilizować krytyków do kąśliwych polemik.

Defert w porozumieniu z krewnymi zmarłego stopniowo zaczął czynić wyjątki od zakazu pośmiertnych publikacji. W latach 90. ukazały się cztery tomy zbierające rozproszone, ale już niegdyś wydane w różnych językach wystąpienia, wywiady i krótkie teksty filozofa. Natomiast na przełomie wieków rozpoczął się wielki projekt opublikowania wykładów wygłaszanych niemal rokrocznie w Collège de France (ostatni tom ukazał się we wspólnej serii wydawnictw Gallimard i Seuil w 2014 r., a kilka kursów zostało już przetłumaczonych na język polski). Odstępstwo od woli zmarłego tłumaczono tym, że chodzi o teksty publicznie wygłoszone, zachowane na nagraniach słuchaczy. Sam Foucault miał za życia przebąkiwać o ich publikacji z myślą o studentach.

Przypadek „Wyznań ciała" jest jednak inny. To bodaj najwięcej razy zmieniana i przeredagowywana książka Foucaulta, o której ostateczny kształt walczył w ostatnich miesiącach życia.

Co takiego się stało, że 35 lat po śmierci autora dzieło wydobyto z ukrycia? Jak powściągliwie nadmienia we wprowadzeniu redaktor Frédéric Gros, spadkobiercy Foucaulta uznali, że nadszedł odpowiedni czas i okoliczności. Ich motywacja raczej nie jest w pierwszej kolejności finansowa, ale zdaje się wynikać z upływu czasu. Foucault nie prowokuje dzisiaj jak kiedyś, dla młodych stał się postacią historyczną. Sam Defert skończył 82 lata i już sześć lat temu sprzedał Bibliotece Narodowej Francji liczące 37 tys. stron archiwum dawnego partnera. Sukcesywnie jest ono udostępniane badaczom, którzy wcześniej czy później dotarliby do maszynopisu „Wyznań ciała". Defert i bliscy Foucaulta zdecydowali się ich uprzedzić, ogłaszając drukiem zredagowaną wersję jego ostatniej książki.

Czy bez „Wyznań ciała" nie da się w pełni zrozumieć zamysłu Foucaulta – krytycznego opisu problemu seksu w kulturze Zachodu? Część jego przyjaciół była zdania, że czwarty tom miał być kluczem do całej „Historii seksualności" i zamknięcie go w archiwach oznacza ogromną stratę. „Ci, którzy podjęli decyzję o niepublikowaniu tomu, wzięli na siebie wielką odpowiedzialność" – podkreślał Pierre Nora w wywiadzie udzielonym w 1986 r. Jednocześnie przyznawał: ↦

↦ „Jestem dogłębnie przekonany, że w dniu, w którym [Foucault] przystąpił do poprawiania tego tekstu, miał zamiar napisać go całkiem na nowo i że ta tak typowa dla niego metoda przepisywania na nowo zaprowadziłaby go znacznie dalej, niż sam planował". A tej wędrówki nie zdążył już odbyć.

Przerwana historia

Foucault zaczął pisać „Wyznania ciała" wkrótce po premierze „Woli wiedzy" i wracał do nich wielokrotnie w ostatniej dekadzie życia, część z rozważań prezentując m.in. na seminariach w Berkeley, Dartmouth College, w Nowym Jorku i Toronto. Jesienią 1982 r. przekazał oficynie Gallimard manuskrypt, który miał być drugim tomem „Historii seksualności". Z publikacją się nie spieszył, a potem za namową przyjaciela, Paula Veyne'a postanowił poprzedzić prawie już gotową książkę woluminem o starogreckiej i rzymskiej idei afrodyzji. Ostatecznie ukazały się dwa dodatkowe tomy, nad którymi chory na AIDS Foucault gorączkowo pracował, chyba świadomy tego, że kończy mu się czas. Od marca do czerwca 1984 r., zmagając się z kolejnymi infekcjami, podjął się ponownej redakcji „Wyznań ciała".

Trzy dekady po jego śmierci redaktorem książki został wspomniany Frédéric Gros, bodaj najbardziej dociekliwy i skrupulatny z edytorów prac Foucaulta. Pracował zarówno w oparciu o manuskrypt, jak i maszynopis przygotowany przez nieobeznaną z pismem i stylem filozofa osobę, a w konsekwencji pełen błędów. Na tę „niewierną" oryginałowi wersję Foucault zdążył nanieść pewne poprawki, nie mając już przy sobie manuskryptu. Gros porównał obie wersje, pierwszeństwo dając pierwotnemu tekstowi pisanemu ręką myśliciela.

Mimo szacunku redaktora dla osieroconego tekstu wątpię, czy autor byłby w pełni zadowolony z efektu. Zabrakło ostatniego szlifu, błyskotliwych puent i mocnych stwierdzeń, które można przyjąć jak objawienie lub gorąco z nimi dyskutować. „Wyznania ciała" są erudycyjną ucztą, ale złożoną z przestudzonych dań. Edytorska kosmetyka nie ukryje faktu, że jest to książka niedokończona. Gdyby Foucault miał czas ją zamknąć, zapewne przerabiałby ją jeszcze wiele razy, cyzelował słowa i wyeksponował własny głos, w obecnej wersji nieco skryty za pismami Ojców Kościoła.

Zwiedziony tytułem czytelnik, szukający w „Historii seksualności" pikantnej kroniki erotycznych praktyk, będzie srodze rozczarowany. Już pierwszy tom zapowiadał, że Foucault traktuje opowieść o seksualności jako pretekst. Jego zamiarem była genealogia współczesnego podmiotu, dzieje czynienia z człowieka istoty moralnej. Jednym z narzędzi, które skupia jak w soczewce paradoksy rządzenia wolnymi ludźmi, jest dla Foucaulta seksualność, kulturowy wynalazek służący zakleszczeniu czegoś tak pierwotnego jak seks w nakazach etyki Zachodu. Przez „rozgadanie" filozofów, teologów i medyków prywatne podejście do seksu stało się kwestią społeczną, publiczną, którą można stawiać pod moralnym pręgierzem.

Sięgając po „Wyznania ciała", ma się jeszcze silniejsze wrażenie, że seks jest dla Foucaulta tylko przynętą, bo stawką w grze, którą opisuje, są reguły mówienia prawdy o samym sobie, jakie wytworzyła myśl wczesnochrześcijańska. To ona, twierdzi filozof, sprowadziła ludzkie ciało do mięsa, pozbawiła je potrzeby przyjemności i obwiniła o ściąganie duszy w dół, ku moralnemu upadkowi. Czwarta część „Historii seksualności" nie jest jednak tyradą na temat szkodliwości doktryny chrześcijaństwa. Chodzi o ukazanie peregrynacji niebezpiecznej idei mówiącej o tym, że na postawie kształtowania czyjegoś stosunku do ciała oraz seksu można uformować moralnego i przydatnego społeczeństwu człowieka. Nie bojąc się modnego dziś słowa, można powiedzieć, że przedmiotem tego dzieła jest seksualizacja nowoczesnego podmiotu, która korzeniami sięga początków naszej ery.

Foucault podkreśla, jak wiele wczesne chrześcijaństwo przejęło z antyku, od filozofów pogańskich. Jednak Ojcowie Kościoła dokonali stopniowo, począwszy od II w., zwrotu. Najpierw uwznioślili prokreację jako dzieło Boga-Logosu, powstałe na podobieństwo stworzenia świata. Potem zaś z podejścia do seksu uczynili formujące chrześcijanina doświadczenie – indywidualne, ale mające popychać wszystkich w tym samym kierunku, czyli do zaprzeczenia własnej seksualności. To mówienie „prawdy" o seksie miało prowadzić do tego, że człowiek sam zacznie powściągać libido i troszczyć się o duszę, zapominając o ciele.

Prawda i ciało

Jak zjadaczy chleba przerobiono w aniołów cnoty? Pierwszym krokiem było uczynienie z chrztu i pokuty ćwiczenia z *metanoi*, rozpoznania w sobie chrześcijanina. Od czasów Tertuliana prowadziło do tego szereg kroków, które pasterz pomagał przejść nowej owcy. Człowiek upadał po to, by powstać, a narzędziem odrodzenia stało się wyznanie prawdy o sobie-grzeszniku, przemyślane i demonstracyjne, inaczej niż w antyku wyrażające totalne podporządkowanie pasterzowi. „W tych praktykach duchowości chrześcijańskiej tkwi zasadniczy paradoks: mówienie prawdy o sobie samym jest fundamentalnie związane z wyrzeczeniem się siebie" – pisze Foucault.

A co z seksem? Otóż jednocześnie pojawiła się w intelektualnym dyskursie chrześcijaństwa tendencja do upodlenia seksu jako „dziecka" grzechu pierworodnego i śmierci. Seks miał pojawić się po wygnaniu człowieka z raju, by mu przypomnieć, że utracił życie, a trwać może jedynie płodząc kolejne śmiertelne ciała. Grzech przekazywany w spadku czyni winnym sam mechanizm dziedziczenia – konieczny przecież do przetrwania rodzaju ludzkiego.

Z tego dylematu chrześcijaństwo wyszło w najgorszy możliwy sposób, przekonuje Foucault. Piórem i autorytetem m.in. Grzegorza z Nyssy i Ambrożego z Mediolanu uświęcono monastyczną ascezę i dziewictwo w kontraście do nawet najbardziej monogamicznego pożycia seksualnego. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa praktykowanie dziewictwa nie było czymś nadzwyczajnie wychwalanym, ale podobnie jak w antyku rodzajem życiowej filozofii albo ucieczką od opresyjnego społeczeństwa. Jednak w IV w. zaczęto je przedstawiać jako warunek zdrowia moralnego i pracy nad sobą oraz jawne opowiedzenie się człowieka za unią wyłącznie z Bogiem.

Dziewictwo stało się czymś naturalnym, bo pochodzącym od dobrego

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Stwórcy, a małżeństwo – tylko ciut mniejszym złem niż nieunormowana lubieżność, demograficzną koniecznością, a w najlepszym przypadku etapem dojrzewania do abstynencji seksualnej. Tym samym węzeł małżeński został sprowadzony do (bardzo określonych) pozycji ciała, bez uwznioślenia związanego z nim stanu duszy.

Rezultaty były odwrotne do zamierzonych – wskutek kompulsywnego rozgadania na temat alkowy małżeństwo zredukowano do ekonomii prokreacji i patriarchalnego parawanu, za którym można uprawiać legalny seks. A najlepiej czynić to tak, jak chciał św. Augustyn, jakby się udawało, że nie o seks tu chodzi, bez dopuszczenia do głosu pożądania. Foucault uważa, że w czasach Augustyna doszło do „libidynizacji aktu seksualnego" oraz moralnej dyskredytacji libido jako siły, która nie tyle działa obok czy wbrew wolnej woli, lecz na własnych prawach nią manipuluje.

Kończy Foucault swoje rozważania kolejnym dramatycznym zestawieniem rozumienia aktu seksualnego w starożytności – gdy pomimo społecznych obostrzeń chodziło o jedność ciał i emocji – i we wczesnym chrześcijaństwie, kiedy pojęcie grzechu „rozczłonkowało" to, co wcześniej zespolono. „Mimo to jedność się odbudowała, ale już nie wokół rozkoszy i relacji, lecz wokół pożądania i podmiotu", czyli wokół życia w doktrynalnej prawdzie o sobie samym, niezmąconej przez to, co o człowieku mogłoby wyznać jego ciało. Dzieło się urywa, zanim autor opowie o tym, jakie owoce zbierze dyskurs o seksie na polu rządzenia całymi populacjami.

Chrześcijaństwo przyciągało ludzi spragnionych prawdy o sobie i życiu, przezwyciężającej śmierć. **Według Foucaulta ofiarą złożoną na ołtarzu tej prawdy musiał stać się seks.**

Po francuskiej premierze „Wyznań ciała" posypały się recenzje, ale mało w nich było zachwytów, za to sporo skarg. Że za mało Foucault napisał o kobietach, za mało o dzieciach, a o mniejszościach seksualnych właściwie w ogóle – i nic a nic, co można by traktować jako osobiste wyznanie, testament umierającego na AIDS geja albo chociażby publicystyczny komentarz do współczesności.

Tym, co wyróżnia jego propozycję spośród dziesiątek opublikowanych historii seksualności, jest powiązanie zmieniającego się podejścia do seksu z dyskursem prawdy moralnej o człowieku jako o panu swojej woli. Foucault unika spowszedniałego spojrzenia na Kościół jako instytucję indoktrynującą maluczkich. Skupia się na terapeutycznym przekazie, jakim chrześcijaństwo przyciągało ludzi spragnionych prawdy o sobie i życiu, przezwyciężającej śmierć. Pokazuje też, dlaczego ofiarą złożoną na ołtarzu tej prawdy musiał stać się seks.

„Wyznań ciała" trudno nie czytać dziś równolegle z wypowiedziami tych ludzi polskiego Kościoła i polityki, którzy przyczynili się do kariery teorii spiskowej o homoseksualistach seksualizujących dzieci albo o feministkach promujących rozwody i aborcję. Po lekturze „Wyznań ciała" trudno się opędzić od myśli, że jako spadkobiercy rzymskiej tradycji rzuciliśmy seks na pastwę intelektualnego i teologicznego rozgadania.

Tego czasu nie da się cofnąć, a dawnego dyskursu obalić. Jednakże w kontekście współczesnych prób demonizacji seksu milczenie w tej materii oznacza tchórzliwy unik. Jedyne co zostaje – i co trafnie przewidział Foucault – to jeszcze więcej mówić, prawić i analizować, licząc na to, że może uda się przegadać tych, którzy w seksualności widzą tylko bicz na cudze dusze.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

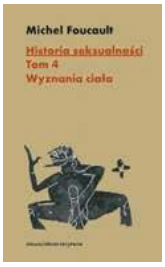

Michel Foucault **HISTORIA SEKSUALNOŚCI, TOM 4: WYZNANIA CIAŁA** *oprac. Frédéric Gros, przeł. Tomasz Stróżyński, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2020.*

REKLAMA

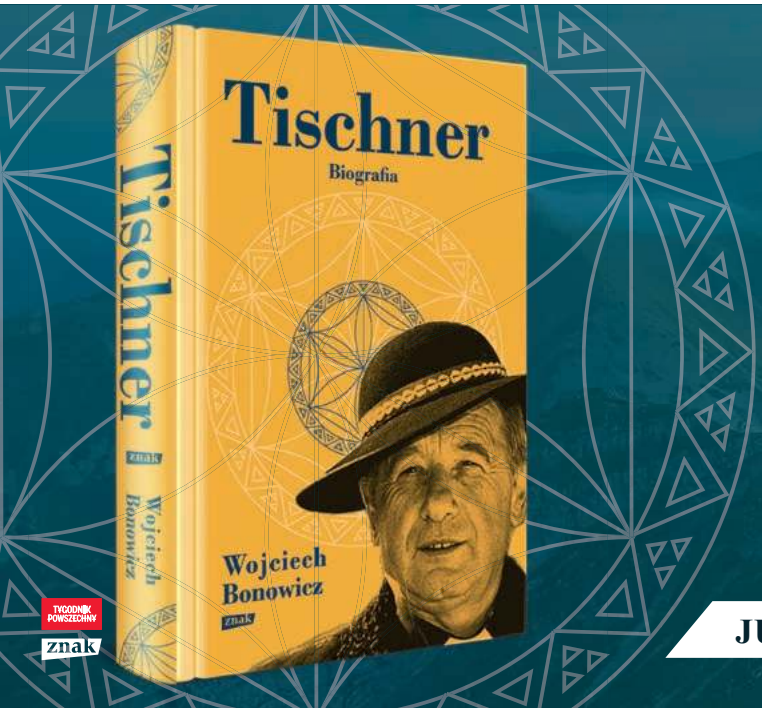

Spotkanie z człowiekiem, który przywraca ludziom nadzieję

Ktoś mi kiedyś powiedział, że jak Tischner wchodził do pokoju, to jakby się drzwi otwierały w człowieku. Drzwi się otwierały – i żyć się chciało. Każdy z nas nosi w sobie pragnienie, żeby przyszedł taki ktoś, kto mu powie: „Słuchaj, cała ta twoja szamotanina ma sens". Każdy chce to usłyszeć.

Tischner. Biografia to nowa książka. Choć można też powiedzieć – zmieniona i znacznie poszerzona wersja książki *Tischner* opublikowanej w 2001 roku. Dodałem wiele wątków, bo przez ostatnich dwadzieścia lat zebrałem mnóstwo nowych informacji, dotarłem do kolejnych dokumentów, wysłuchałem nowych opowieści.

Wojciech Bonowicz

TYGODNIK POWSZECHNY znak

JUŻ W SPRZEDAŻY

kod rabatowy w księgarni **37tischner** znak.com.pl KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

Mafioso kontra mafia

ANITA PIOTROWSKA

„Zdrajca" łączy rekonstrukcję procesu w Palermo i szekspirowską tragedię. Można w nim też dostrzec polemikę z epickim kinem gangsterskim spod znaku „Ojca chrzestnego".

GUTEK FILM

Kadr z filmu „Zdrajca"

Jest maj 1992. Pośród Sycylijczyków zgromadzonych przed barowym telewizorem wybucha nieskrywana radość. Oto w zamachu bombowym zginął sędzia Giovanni Falcone, pogromca Cosy Nostry. W jednej z wcześniejszych scen widzimy nabazgrany na murze napis: „Niech żyje mafia, która daje nam pracę!". Ale to nie bezkompromisowy śledczy ani tym bardziej społeczny kontekst działalności mafii wysuwa się na pierwszy plan w najnowszym filmie Marca Bellocchia.

Oba zjawiska doczekały się już filmowych przedstawień, a znany z gniewnego temperamentu twórca „Pięści w kieszeni" nie próbuje czegokolwiek kontestować czy demaskować. Jego „Zdrajca" to rozpisany na trzy dekady portret wpływowego i wiernego dotychczas „żołnierza", Tommasa Buscetty, który swoimi zeznaniami pogrążył mafijnych współbraci. Film łączy historyczną rekonstrukcję tzw. Maksiprocesu i zaglądającą głęboko w duszę szekspirowską tragedię, ale można także dostrzec w nim polemikę z epickim kinem gangsterskim spod znaku „Ojca chrzestnego". Francis Ford Coppola z nostalgicznym patosem celebrował upadek etosu mafijnego – Bellocchio odziera swego bohatera z heroicznego nimbu.

I nic dziwnego: po tym, co z mitem gangsterskim zrobił chociażby Martin Scorsese czy Matteo Garrone („Gomorra"), trudno dziś sięgać bez ironii po operowe środki wyrazu. U Bellocchia słychać co prawda „Nabucca" Verdiego, ale trafniej podsumowuje ten film popularna piosenka „Lasciatemi cantare" z repertuaru Toto Cutugno. Jej wymowa została zresztą zmieniona i traktuje nie o „prawdziwym Włochu", ale o „prawdziwym Sycylijczyku", co jest najciekawszym wątkiem „Zdrajcy". Przed nami

W dniu 10 czerwca 2020 r. **Sąd Rejonowy w Chełmie** I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 117 /20 wydał postanowienie o zezwoleniu wnioskodawcy Skarbowi Państwa reprezentowanemu przez Prezydenta Miasta Chełm na złożenie do depozytu sądowego kwoty 409,00 zł (czterystu dziewięciu złotych) tytułem odszkodowania ustalonego decyzją Wojewody Lubelskiego z dnia 17 października 2019 roku znak: GN-Ch.7570.2.85.2018 ES za przejęcie na rzecz Skarbu Państwa z dniem 11 maja 2019 roku prawa własności nieruchomości położonej w obrębie 0006 – Miasto Chełm, oznaczonej w ewidencji gruntów i budynków jako działka nr 110/3, o powierzchni 0,0038 ha, w związku z realizacją inwestycji drogowej, polegającej na rozbudowie i przebudowie drogi krajowej nr 12 w Chełmie od km 0+000,00 do km 8+110,6 w ramach inwestycji pod nazwą: „Przebudowa drogi krajowej nr 12 w granicach administracyjnych miasta Chełm", z zastrzeżeniem, że powyższa kwota ma być wypłacona dotychczasowym właścicielom wymienionej wyżej nieruchomości, użytkownikom wieczystym nieruchomości oraz osobom, którym przysługuje do nieruchomości ograniczone prawo rzeczowe pod warunkiem wykazania praw do przedmiotowej nieruchomości. Wobec powyższego wzywa się uprawnionych do odbioru depozytu.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 81/20 z wniosku Agnieszki Koziej toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Julii Koziej zmarłej w dniu 14 marca 2019 roku w Chełmie i Tadeuszu Koziej zmarłym w dniu 19 czerwca 2019 roku w Chełmie, ostatnio stale zamieszkujący oboje w Chełmie przy ul. Młodowskiej 7/19.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Julii Koziej i Tadeusza Koziej, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje nabycie spadku; gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

film o kimś, kto zdradził swoje plemię, a tym samym całą swoją dotychczasową tożsamość.

Awanturniczo-testosteronowy wigor tej historii stoi w sprzeczności z jej ciemnym, fatalistycznym przesłaniem. Filmowy Buscetta w przepysznej interpretacji Pierfrancesca Favina to istny król życia, sybaryta, kobieciarz, który nie wierzy w „teatr pokoju" odgrywany przez klany z Palermo i Corleone, coraz brutalniej walczące o wpływy na rynku narkotyków. Chciałby z tym skończyć, próbuje zbiec na stałe za ocean, a w dodatku, jak na ironię, w szponach heroinowego nałogu znalazł się jeden z jego synów. Ratując najbliższą rodzinę bohater wchodzi w konflikt z interesami tej większej, potężniejszej familii, wymagającej bezwzględnego posłuszeństwa i lojalności. Dokądkolwiek by wyjechał, Sycylia upomni się o swego wiarołomnego syna. Ale pamięta o nim także Rzym.

Stoczywszy fascynujący pojedynek z sędzią Falconem, „żołnierz" zaczyna pogrążać niegdysiejszych towarzyszy, obnażając całą obłudną mitologię honoru i innych spaczonych wartości, na których ufundowano Cosę Nostrę. 80-letni dziś Bellocchio opowiada o tym w stylu nieco staromodnym, jakby dla lat 80. i 90. szukał języka filmowego właśnie w tamtych czasach. Nie zmienia to jednak faktu, iż jego „Zdrajca" jest najbardziej udanym dziełem tego reżysera od czasu „Witaj, nocy" (2003), gdzie po autorsku mierzył się z innym historycznym zdarzeniem – porwaniem byłego premiera Aldo Moro przez Czerwone Brygady.

Tu również wydobywa z konfliktu, tego zewnętrznego – skruszony mafioso kontra mafia, jak i wewnętrznego – Buscetta kontra Buscetta, całą moralną dwuznaczność. Zwalisty Favino w swojej wiecznie spoconej, grubo ciosanej twarzy kumuluje sprzeczne często myśli i emocje: „sycylijską" żądzę wendety i zwykły ludzki strach, niepewność wybranej drogi i wyrzuty sumienia, potrzebę zerwania z przestępczym procederem i upokorzenie związane z degradacją, potrzebę ucieczki i potrzebę przynależności. Włoski aktor nie potrzebuje, jak Robert De Niro w „Irlandczyku", komputerowej charakteryzacji, by odegrać przed kamerą i dziką witalność, i zmęczenie życiem. Sztance znane z innych gangsterskich eposów wypełnia żywym ludzkim mięsem.

Najlepsze i najzabawniejsze momenty tego gęstego filmu to sceny sądowe z lat 1986-87, kiedy przed oblicze trybunału w Palermo trafiło (choć nie zawsze fizycznie) prawie pół tysiąca mafiosów, na czele z Salvatore Riiną. Chwilami nie bardzo wiadomo, czy to show, czy szał – na oczach kamer zamknięci w klatkach bossowie odgrażają się i żądają konfrontacji twarzą w twarz ze „zdrajcą", to znów grają beztrosko w karty i palą cygara. Jeden z oskarżonych dostaje nagle ataku rzekomej epilepsji, drugi wygłasza iście literacką przemowę, inny znów rozbiera się do naga, a jeszcze inny demonstracyjnie zaszywa sobie usta, by *omertà*, czyli zmowa milczenia, nie została złamana. Na galerii rozhisteryzowane kobiety walczą jak lwice o swoich mężczyzn i nawet sędziom zaczynają puszczać nerwy. Południowy temperament? Raczej desperacja w obliczu spóźnionej, acz dla wielu niespodziewanej sprawiedliwości.

Na dodatek jeden z najważniejszych informatorów zeznających w procesie, Salvatore Contorno, posługuje się niezrozumiałym dla Włochów z Północy sycylijskim dialektem – kolejny przyczynek do uruchomienia w filmie społeczno-ekonomicznego wymiaru sprawy, czego Bellocchio jednak nie nakręca. Pojawia się za to wątek chadeckiego premiera Giulia Andreottiego, podejrzewanego o kontakty z mafią i postawionego w tej sprawie przed sądem – w 2008 r. rozwinął ów temat, we właściwej sobie filmowej manierze, Paolo Sorrentino w „Boskim".

I choć zdawać by się mogło, że natłok zawartych w „Zdrajcy" informacji i faktów nie sprzyja identyfikacji z bohaterem, to jednak przez cały czas chce się kibicować Buscetcie – smutnemu niedźwiedziowi, który równocześnie wygrał i przegrał wszystko. Który już nigdy i nigdzie nie będzie u siebie. Który do końca swych dni będzie sypiał z bronią, śniąc własną śmierć. W ujęciu Bellocchia i Favina pozostaje bohaterem skomplikowanym i pełnokrwistym, nie zaś płaską ikoną poświęcenia czy zdrady. ©

ZDRAJCA *(„Il traditore") – reż. Marco Bellocchio. Prod. Włochy/Francja/Niemcy/ /Brazylia 2019. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 3 lipca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Zniknięcie mojej matki

Dokumentalny, reż. Beniamino Barrese, Włochy 2019, Canal+ Dokument, 1 VII, 22.45

W 1973 r. Benedetta Barzini, topowa modelka związana m.in. z Fabryką Warhola, wycofała się ze świata blichtru, została radykalną aktywistką feministyczną, aż w końcu zamieszkała na bezludnej wyspie. Po latach jej syn próbuje dociec, co tak naprawdę stało za tym zniknięciem. Osobisty dokument staje się także zapisem walki o prawo do życia na własnych warunkach.

2. Quiz

Miniserial, reż. Steven Frears, Wielka Brytania 2020, odc. 1-3, HBO GO, od 1 VII

Twórca „Królowej" i „Skandalu w angielskim stylu" tym razem powraca do wydarzeń z 2001 r., kiedy to były major brytyjskiej armii Charles Ingram wraz z dwojgiem wspólników dokonał przekrętu na milion funtów, wygrywając lokalną edycję telewizyjnych „Milionerów". W roli głównej Matthew MacFadyen.

3. Bóg istnieje, a jej imię to Petrunia

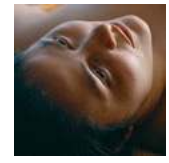

Komedia, reż. Teona Strugar Mitevska, Macedonia i inne 2019, Cinemax 2, 4 VII, 20.30, 5 VII, 11.35, 8 VII. 20.30, 10 VII, 22.25

Tytułowej bohaterce, otyłej 32-latce z macedońskiego miasteczka, niewiele się w życiu udało. Aż do momentu, gdy weźmie udział w prawosławnym rytuale z okazji święta Epifanii, zarezerwowanym dla mężczyzn. Petrunia wywołuje obyczajowy i medialny skandal, obnażając zakłamania tkwiące zarówno w patriarchalnej tradycji, jak i w postępowej nowoczesności.

4. Supernova

Dramat, reż. Bartosz Kruhlik, Polska 2019, player

Najlepszy debiut ubiegłorocznego festiwalu w Gdyni to trzymająca w napięciu opowieść o tym, jak bezkarni mogą być demokratycznie wybrani politycy. Wypadek samochodowy na wiejskiej drodze uruchamia rozmaite mechanizmy ludzkich zachowań i obnaża społeczne podziały. Czy potrzeba kosmicznego wstrząsu, ażeby wreszcie coś zmienić?

Lektor:
Księga tajemnic

▪ *Izolda Kiec*
GINCZANKA.
NIE UPILNUJE MNIE NIKT
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020, ss. 224.

W chwili śmierci w 1944 r. miała 27 lat, ale nie znamy dnia, w którym ją zabito, i nie jesteśmy pewni, czy stało się to w obozie w Płaszowie, czy na dziedzińcu podgórskiego więzienia przy Czarnieckiego. Przed wojną wydała jeden tom wierszy, „O centaurach" (1936), po wojnie dzięki uporowi Jana Śpiewaka ukazały się jej „Wiersze wybrane" (1953). Minęły ponad trzy dekady, kiedy młoda poznańska polonistka powiedziała profesorowi Jerzemu Ziomkowi, że chciałaby napisać doktorat o twórczości Zuzanny Ginczanki i jej biografii. Profesor zgodził się w sposób dość nietypowy: „wybitny uczony i najlepszy nauczyciel wyrecytował natychmiast wiersz »Zdrada«".
Czyli wiersz Ginczanki zaczynający się od słów: „Nie upilnuje mnie nikt. / Grzech z zamszu i nietoperzy / zawisł na strychach strachu półmysią głową w dół – / O zmierzchu wymknę się z wieży...".
Potem był opracowany przez Izoldę Kiec tom „Udźwignąć własne szczęście" (1991), liczne artykuły, monografia Ginczanki i kolejne edycje jej wierszy zebranych, a teraz – biografia. Autorka „O centaurach" z postaci pamiętanej jako legenda lat 30. stała się poetką czytaną i na nowo interpretowaną. Książka Izoldy Kiec pokazuje jednak, że w życiorysie i utrwalonym wizerunku Ginczanki więcej jest wciąż pytań niż odpowiedzi, że wspominający ją przyjaciele płci obojga przeczą sobie wzajemnie, że czasem nie sposób ustalić podstawowych faktów.
W dodatku zmitologizowany obraz przesłania żywą i fascynującą kobietę – piękną, zdolną, obdarzoną cienkim poczuciem humoru i zbuntowaną przeciw ramom, w jakie chce ją wtłoczyć świat.
Narracja przerywana jest obszernymi cytatami, na przykład z przedwojennych publikacji o Równem – mieście, gdzie Zuzanna Polina Gincburg wychowała się w domu babki Klary (Chai) Sandberg (na zdjęciu widać, jak piękną kobietą była Klara!), zamożnej właścicielki składu aptecznego i filantropki. Izolda Kiec cytuje też powojenne wiersze dedykowane pamięci Ginczanki i nie jestem pewien, czy to akurat najwłaściwsze dla nich miejsce. Znacznie ciekawsze są listy i dokumenty.
Na koniec spacer: Kraków, ulica Mikołajska 26. Tu, w mieszkaniu numer pięć, Ginczanka znalazła ostatnie schronienie i stąd zabrało ją gestapo (jak dowodzi Izolda Kiec, wciąż nie jest jasne, skąd Niemcy dowiedzieli się o kryjówce). Skromna kamienica o średniowiecznych jeszcze początkach, w pierzei zamkniętej gmachem giełdy, po wojnie – Komitetu Wojewódzkiego PZPR, dzisiaj – Akademii Muzycznej. Jest sobota, ale słychać, jak ktoś ćwiczy na wiolonczeli. Na tablicy wmurowanej niedawno koło bramy numeru 26 czytam: „Wybitna poetka języka polskiego z wyboru". To prawda – urodziła się w Kijowie, w równieńskim domu babki mówiło się raczej po rosyjsku, polskie gimnazjum i polszczyzna jako język wierszy były ojczyzną przez nią wybraną. Ta ojczyzna jest jej wciąż coś winna. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

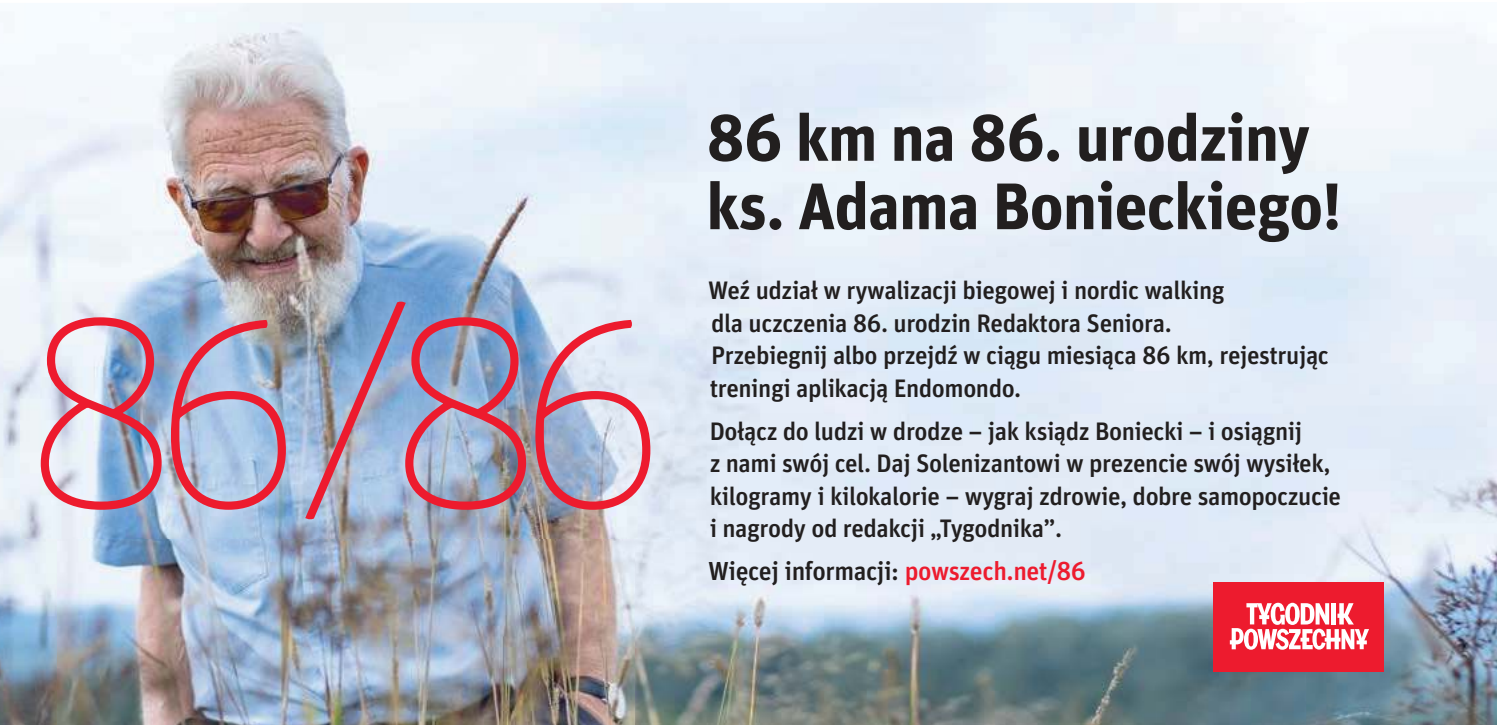

PAWEŁ

Bravo:
Popłoch pospolity

Nie mogłem go nie zauważyć, rzucał się w oczy z daleka. Zobaczyłem w niedzielę wielki popłoch. W oczach wyborczych sztabowców – tak, to też, ale o tym czytacie w pierwszej części numeru, tutaj tymczasem niech popłoch pospolity, *Onopordum acanthium*, zagości zielono, włochato, kolczasto, jako wielka roślina podobna do ostu, która mnie zachwyciła w zakamarkach krakowskiego ogrodu botanicznego. Chciałem na moment wynurzyć się ze strumienia politycznych narracji, ochłonąć w bezsłownej ciszy.

„Rzeka, o której tylko tyle wiecie, że jest z zieleni i mówi o niczym..." – kończy się jeden z wierszy Tadeusza Nowaka śpiewanych przez Marka Grechutę w sposób tak genialny, jakby te słowa czekały niedoskonałe na papierze, aż zaistnieją na strunach głosowych i strunach gitary. Poeci są szczególnie świadomi, że człowiek mieszka w mowie: to znaczy nie w słowach zapisanych systemami znaków, tylko wypowiadanych przez jedną niepowtarzalną osobę w jednej niepowtarzalnej chwili. Coraz więcej łączności z bliźnimi przenosimy w tekstowe środowisko komunikatorów, rozmowa telefoniczna zaczyna być czynnością niemalże intymną. Czuję się z tym niekomfortowo – a żeby te tasiemcowe wymiany krótkich zdań przypominały mi dawne rozmowy, kasuję regularnie ich zapis. W czasach, które mnie kształtowały, było jasne, że rozmowy nagrywa tylko Spółdzielnia Ucho, a zwykłemu człowiekowi wystarczy pamięć, żeby w odpowiednim momencie wypomnieć ukochanej, że w mniej więcej połowie zeszłego roku któregoś późnego wieczora obiecała, iż przestanie dłubać nożem w maśle.

Wypłukać zielenią wszystko, com przeczytał w ostatnich tygodniach – taki miałem zamiar, ale jako człowiek cierpiący na tekstoholizm, bałem się zapaść w totalną znaczeniową pustkę lasu. Wybrałem więc miejsce, gdzie co prawda natura jest na pierwszym planie, ale podporządkowana rygorom poznania, poukładana w kategorie i rządki. Redaktorska dusza czuje w ogrodach botanicznych radość, bo jest co czytać: te tabliczki z nazwami, które często brzmią, jakby je Witkacy powymyślał: taki na przykład szczwół plamisty.

Popłoch, poza frapującą nazwą, zachęcającą, by zanurzyć się w odmęty etymologii, ma też całkiem pożyteczne właściwości. Otóż jego purpurowe, włochate kwiaty mają koszyczki, których mięsiste dno można zjadać tak, jak się zjada dno kwiatowe karczocha. Obiecałem sobie, że jeśli odnajdę kiedyś popłoch w stanie dzikim („przydroża, przychacia, nieużytki" – radzi encyklopedia), to pozbieram kwiaty i wreszcie chociaż raz poczuję się prawie jak osioł – od dzieciństwa mnie fascynowało, że on chrupie osty, i to nie tylko na kartach „Kubusia Puchatka".

Akurat w zeszłą niedzielę pięknie się czerwieniły poziomki, ale jako prawy obywatel nie schyliłem się po żadną. Za to bez skrępowania pakowałem nos w przywiędłe już kwiaty róży cukrowej, tej, która powstała, aby robić z jej płatków konfiturę. Rosła w ciekawym kącie kompleksu, gdzie odtworzono przydomowy ogródek typowy dla małopolskiej wsi sprzed jeszcze połowy stulecia. Tyleż pożyteczny, co symboliczny, warzywno-maryjny (bo to głównie kultowi Bożej Rodzicielki przypisane były najważniejsze kwiaty w ludowej tradycji), a także leczniczo-magiczny. Wraz ze zmianą obyczajów i kultury materialnej naszej wsi i przedmieść zmieniły się gusta co do nasadzeń, a zioła i byliny potraciły swoje ukryte sensy.

Zamiast bzów w ogródkach rosną tuje, a zielsko i kwiaty zastąpiły gładko koszone dywany. Oraz ładniutkie krzaczki i drzewka pościągane z czterech stron świata. Nie zawsze takie miłe i niegroźne dla nowego środowiska. Tym też się zajmują ogrody botaniczne – uczą i przestrzegają, jak zgubne mogą być rośliny inwazyjne. #Obcywnatarciu – pod tym hasztagiem warszawski ogród publikuje mrożące krew opowieści o tych sprawach. Bożodrzew – znam to eleganckie drzewo z ulic, a teraz wiem, że za jego posadzenie można pójść do paki! Na ministerialnej liście szczególnie groźnych gatunków są też oczywiście barszcze i rdestowce, czyniące spustoszenie nad rzekami.

„Tu jest Polska", wołamy, siejąc swojskie kąkole i len z torebki z Łąką Powszechną.

Jest taka sfera życia, gdzie ksenofobia i niechęć do przybysza nie budzą mdłości, lecz przeciwnie: bywają użyteczne dla większego dobra. Szkoda, że botanika myli się jednak z polityką i wielu sieje wśród swoich wyborców popłoch... nie, nie pospolity, lecz wręcz ordynarny. A jego kwiaty bynajmniej nie będą dla nas jadalne. ©℗

ADOBE STOCK

Na przyszłą wiosnę obiecuję przejrzeć parę przepisów na karczochy, aby sprawdzić, co wyjdzie, jeśli damy kwiaty popłochu z przychacia. Tymczasem płynąc na nieubłaganej fali sezonu, zajmijmy się czereśniami. Co roku coś z nimi kombinuję: a to jako składnikiem gazpacho, a to do jakichś sałatek. Ale tak naprawdę jedyną lepszą formą jedzenia czereśni niż prosto z drzewa do ust jest prościutka zapiekanka francuskich chłopów clafoutis – kiedyś już o niej pisałem, i bardzo chcę was znów do niej namówić. Mieszamy w misce 100 g białej mąki z 70 g cukru. Po kolei wbijamy trzy jajka, po każdym starając się je dobrze rozmieszać widelcem. Potem kolej na 400 ml mleka (można 100 ml zastąpić tłustą śmietanką albo dać trochę stopionego masła, ciasto wyjdzie bogatsze). Otrzymujemy rzadkie ciasto jak na naleśniki. Można je zaromatyzować ulubionym alkoholem. Formę o średnicy ok. 26 cm smarujemy masłem, obsypujemy cukrem. Wykładamy ok. 400 g czereśni z pestkami, wlewamy masę – tyle, żeby zostało ok. 0,5 cm do brzegu, bo będzie rosła. Pieczemy w 200 stopniach ok. pół godziny, aż będzie dobrze zrumienione i popękane. Odstawiamy co najmniej na godzinę, aż wystygnie i osiądzie.

ZMYSŁY

DOPUST BOŻY, ODPUST NIEZUPEŁNY

Mój idol wśród zarażonych najpierw krył się po piwnicach, a następnie okopał się na terenie ogródków działkowych i długo odpierał ataki milicjanta, po prostu plując na niego.

JACEK PODSIADŁO

Na samo południe 25 marca 2020 r. arcybiskup przewodniczący episkopatowi zaordynował bicie dzwonów w całej Polsce jako element modlitwy o ustanie zarazy. Jeszcze o dziesiątej Radio Zet gorączkowo sprawdzało, „o co dokładnie chodzi w akcji i jak wziąć w niej udział". Dziennikarze rychło odkryli, że „akcję zapoczątkował papież Franciszek" i że „polskie kościoły będą brały udział w akcji (...) także przez symboliczny gest bicia dzwonów", w końcu nie podali jednak, jak wziąć w niej udział, toteż moje uczestnictwo w akcji polegało na prostym wystawieniu na balkon rejestratora dźwięku.

Mimowolnie zarejestrowałem przy tym, że chyba żaden z wieśniaków wypasających psy na miejskich łąkach nie wziął udziału w akcji, nie zadzierano głów, nie pojawił się charakterystyczny szmer modlitw, każdy na swoim jedynie skupiał się pupilu, dzwony jak gdyby na nikim nie robiły wrażenia.

Kiedyś było inaczej. Ale też było to pierwsze od bardzo dawna w tej okolicy bicie dzwonów przeciw epidemii, toteż ludność mogła nie wiedzieć, jak się zachować.

Czysta Europa

W 1348 r. w Europie podniosła się fala zarazy, której zawdzięczamy m.in. „Dekameron" Boccaccia, „sprowadzona wpływem ciał niebieskich albo też słusznie przez Boga zesłana dla ukarania grzechów naszych". Tak naprawdę spowodowały ją nie ciała niebieskie i nie boskie wyroki, ale, jak pisał de Machaut i wielu innych, przeklęte, wiarołomne żydostwo. W końcu paneuropejskie zatruwanie studni i rzek przez żydostwo wyszło na jaw „i w wielu miejscowościach zabijano i palono Żydów, innych wieszano", jak pisał zadowolony Długosz w „Rocznikach".

Nowoczesna nauka potwierdziła starodawne diagnozy. Wybitna internautka Krystyna Trzcińska Gładkowska na łonie serwisu neon24.pl stanowiącego „forum Polaków" poddała dokładnym oględzinom rysunek Roberta Sawy powstały w 2014 r. i przedstawiający wyobrażone przybycie Żydów do Lublina. Wysnuła z oględzin wnioski następujące: „Na obrazie widzimy, że żydzi do Lublina przybyli z pustymi rękoma, a tylko jeden z mężczyzn ściskał pod pachą lekką sakiew. Widząc treść obrazu, niech każdy z Nas w swoim

Epidemia koronawirusa: szakale w pustym Tel Awiwie. Izrael, 9 kwietnia 2020 r.

ODED BALILTY / AP / EAST NEWS

sercu szczerze odpowie: jaka mogła być zawartość sakwy pod pachą jednego mężczyzny, która nielegalnym żydowskim nachodźcom na terytorium SŁOWIAN gwarantowała dach nad głową? Czyżby jedynym bagażem żydów były saszetki z trucizną?".

Dla prymasa Polaka poglądy wrocławskiego księdza, który kazał, iż dzisiejsza epidemia to kara za homoseksualizm i aborcję, zaś Chińczycy to brudasy jedzący nietoperze i martwe płody, są „dziwną teologią". Wypada się z tym zgodzić, ale i wypada przypomnieć, że przez kilkaset lat „dziwna teologia" była powszechnie wyznawana, choć sam papież Klemens VI i kilku jego następców uznawało za „dziwne", że oskarża się Żydów o sianie zarazy, która zbiera wśród nich żniwo takie samo, jak wśród chrześcijan.

Tymczasem oskarżenie to było pochodną ogólnikowego przekonania, że powietrze jest zatruwane przez „coś nieczystego". Dlatego w obliczu moru z miast usuwano wszelkie nieczystości i inne źródła smrodu, udrażniano rynsztoki, zakazywano działalności babrającym się w cuchnących skórach zwierząt garbarzom, a jednocześnie pozbywano się „nieczystych" ludzi, przy czym „brud" duszy traktowano na równi z brudem ciała. Dlatego wypędzano żebraków, ladacznice, wszelkich „jawnogrzeszników" i ludzi „innych", wśród których najłatwiej było dopaść innowierców. Ponieważ zaś Żydzi nie tylko wydzielali nieprzyjemny *foetor judaicus*, ale też dopuszczali się zbrodni trucicielstwa nieporównywalnej z niewinnym jedzeniem nietoperzy, zamiast ich wypędzać, po prostu ich mordowano.

Razem z wieściami o nadchodzącej zarazie szły wieści o wymuszonych torturami zeznaniach Żydów z Toledo, którzy „przyznali się" do rozsyłania przez posłańców po całej Europie skórzanych woreczków z trucizną, celowo wąskich, aby łatwo dawało się je ukryć. Słysząc o tych woreczkach niech każdy z Nas w swoim sercu szczerze odpowie: czy nie jest jednym z nich „lekka sakiew" wypatrzona przez wybitną internautkę z portalu neon24.pl na obrazie z 2014 r.? Czy wciąż zamierzamy się dziwić, że 14 lutego 1349 r. w spodziewającym się epidemii Strasburgu 900 Żydów spalono żywcem „prewencyjnie", a fala pogromów przeszła u boku Czarnej Śmierci przez całą Europę?

↦

Do lasu, na działkę

Minęły stulecia, elementy pararzeczywistości zagnieździły się w rzeczywistości, modlitwy awansowały do roli akcji, studnie wyginęły wskutek inwazji wodociągów, dżumę, cholerę, „gorączki" i „kurcze" zastąpił SARS-CoV-2... Krótko mówiąc, świat trochę się zmienił, a trochę pozostał taki, jaki był. Morowe powietrze znowu jest albo biczem bożym, albo czymś przywleczonym przez „nachodźców".

Ponieważ nie ma na nie rady, dla uspokojenia narodu podsuwa mu się placebo: kiedyś puszczanie krwi, obcinanie głów zmarłym, gąbki maczane w occie i jezuickie pigułki, dziś maseczki, umywanie rąk i posługiwanie się łokciami w kontaktach z bliźnimi.

Znów stawia się krzyżyk na mieszkaniach ludzi dotkniętych zarazą (chciał je znakować np. starosta Wysokiego Mazowieckiego) i znów się je „zabija", choć z powodu diakrytycznego stanu polszczyzny gwóźdź i wrzeciądz nie nadają się nawet na nazwy „apek" dla podlegających aresztowi domowemu. Znów przychodzi czarna godzina na wszelkie hultajstwo. Gdy kto przybywa z daleka, nie „wietrzy" się go już w pewnej odległości od miasta, ale poddaje kwarantannie domowej. Zakaz wychodzenia z domu najmocniej dotyka bezdomnych, a także kobiety publiczne i inne ladaco. Jak zawsze pod swój koniec, świat się odwraca do góry brzuchem. Zawarte są złote wrota wielkich świątyń handlu, poczynają za to prosperować drobne sklepiki. Ludzie uciekają z miast do lasów. Z lasów do miast przychodzą zwierzęta.

Dawniej zwierzęta w okresach zarazy przychodziły do miast zwabione wonią ludzkiej padliny. Dziś ośmielają je raczej puste ulice i pełne śmietniki. Lud w swej mądrości od niepamiętnych czasów uchodził do lasów, bo szybko zauważył, że zaraza nie ima się tych, którzy stronią od innych. Wiele jest wartych cytatu relacji o zamieszkiwaniu w leśnych szałasach i jamach, o tym, jak leśnych ludzi nie miał kto grzebać i jak zachęcano do tego, przyzwalając na przejęcie całego dobytku tego, kogo się pochowa, czyli najczęściej zakażonych łachmanów i jakiegoś dzbanka.

Przytoczę fragment z „Pamiętników do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza" Kazimierza W. Wójcickiego, bo się w nim opowiada, jak sam król podał tyły: „wszyscy się rozbiegli z Warszawy dla powietrza gure bioroncego, Sadowniczy Królewski umar z powietrza, zaczym y Krul z Warszawy do Łowicza umknoł, gdyż tam ieszcze nie było zarazy powietrzney, zabiegali też, aby nie nanieśli z Warszawy powietrza, y należytą ostrożność mieli, prezerwatywy od powietrza sporzondziwszy". Nasz król nie był gorszy od innych. „Od kilku dni postrzegam, jak całe bez mała miasto wyjeżdża; wszędzie wozy i kolasy pełne ludzi uciekających na wieś przed zarazą. (...) Królowa Matka wyrusza do Francji i nie wróci przed zimą" – napisał o Londynie 1665 r. Samuel Pepys.

Najczęściej było właśnie tak: i motłoch, i elity, i władze czmychały z miast, ustanowiwszy tymczasowe władze „powietrzne", które stanowiła garstka profesjonałów-desperatów: lekarzy, aptekarzy i grabarzy. Gdyby na siłę szukać analogii w sytuacji obecnej, należałoby spojrzeć na Szwecję, gdzie nawet rząd w zakresie walki z epidemią wykonuje polecenia „powietrznych" specjalistów z Urzędu Zdrowia Społecznego. Natomiast nasza władza dzisiejsza w swej pysze i nierozumie zamknęła narodowi drzwi do lasu przed nosem, używając jako prezerwatyw biało-czerwonych tasiemek i kłamliwie podając, że lud już się w tych lasach na potęgę gromadził.

> Trzech grabarzy było oskarżonych o sporządzanie **maści z mózgów i kiszek ofiar dżumy** oraz smarowanie tą maścią klamek w celu napędzenia sobie klienteli.

Zdarzało się i dawniej, że władza wzbraniała ucieczki do lasów, ale nigdy nie była to dobra decyzja, ani w Wilnie w 1657 r. (Kraszewski: „Ten pomór tem stał się miastu szkodliwym, iż Rząd nowy, nie dozwolił na razie, rozbiedz się mieszczanom"), ani w 1708 r. w Oleśnie, gdzie ocaleli tylko ci, którzy uciekli z miasta przed jego zamknięciem, ani w Moskwie w 1771 r., kiedy przesadne restrykcje spowodowały „czumnoj bunt", ani podczas rozsiewu ospy w roku 1963, kiedy zamkniętym miastem stał się Wrocław.

W tym ostatnim mieście zatrzymam się na chwilę, bo lektura ksiąg o zdarzeniach tam mających miejsce naprowadziła mnie na trop wielu jeśli nie godnych upamiętnienia postaw, to przynajmniej przypadków wartych zapamiętania. Wśród nich szczególną moc oddziaływania na wyobraźnię mają indywidualne zrywy wolnościowe na bazie alkoholu. Właśnie we Wrocławiu objawił się mój idol wśród zarażonych: opisany przez Zbigniewa Horę we wspomnieniach „Variola Vera" uciekinier z izolatorium, który najpierw krył się po piwnicach, a następnie okopał się na terenie ogródków działkowych i długo odpierał ataki milicjanta, po prostu plując na niego. Ujęto go dopiero po trzech dniach wolności!

A w „Epidemii czarnej ospy we Wrocławiu..." Grażyny Trzaskowskiej trafiłem na notatkę służbową pracownika stacji sanitarno-epidemiologicznej, w której także została opisana próba zastosowania broni biologicznej w postaci plucia: „W dniu 26 VII 1963 r. udałem się wraz z instruktorem higieny XY do mieszkania Obywatelki ZZ w celu zabrania w/w do izolatorium z uwagi na kontakt I rzędu z ospą naturalną. (...) Po szarpaninie w mieszkaniu, w czasie której zostałem mocno pogryziony i podrapany przez w/w Obywatelkę, udało nam się wspólnie z MO wsadzić wymienioną do samochodu. W czasie jazdy Ob. ZZ próbowała wyskoczyć z samochodu, trzymając się kurczowo drzwi samochodu, które zasłoniłem własną osobą, przez co naraziłem się na wysłuchanie wulgarnych, niecenzuralnych słów, na obrywanie guzików fartucha ochronnego a nawet na dłuższe oplucie twarzy plwociną. (...) Jednakże w czasie postoju samochodu uciekła, po czym upiła się niemal do utraty przytomności i w takim stanie została odwieziona do izolatorium w tym dniu po południu". Przykłady opluwania policjantów współcześnie w dowolnej ilości wytrząśnie z rękawa na życzenie zainteresowanych rzecznik Ciarka.

Natomiast na idola wśród grabarzy upatrzyłem sobie kopidoła będącego ofiarą zabójstwa w świetle prawa popełnionego przez sąd wójtowski w Lublinie w 1711 r. Nazywał się Marcin Morawski i był jednym z trzech grabarzy oskarżonych o sporządzanie maści z mózgów i kiszek ofiar dżumy

ROBERT SAWA

Przyjazd Żydów do Lublina. Rysunek Roberta Sawy ze zbiorów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

oraz smarowanie tą maścią klamek w celu napędzenia sobie klienteli. Na torturach Morawski przyznał się do wszystkiego i zdradził, dlaczego trupia maść nie zarażała jego: „Mnie dlatego nic nie szkodzi, że czarta mam przy sobie, bo baba mi to uczyniła, żebym miał przy sobie na lat siedem”. Wobec takich zeznań sąd nie mógł wymierzyć kary innej, jak tylko kara śmierci poprzez obcięcie najpierw rąk, a potem dopiero głowy, a następnie wystawienie u rozstaju dróg tejże głowy i rąk nabitych na pal.

Święci od epidemii

Od wiosny 1679 r. aż do końca roku 1680 szalała dżuma na Śląsku. Szczególnie sobie upodobała Opole i przytuloną do niego wieś Groszowice, która „opustoszała od morowej zarazy, po czem został osobny cmentarz »podborny« z kaplicą”, jak podaje dziewiętnastowieczny „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego”.

Kiedy pomimo zakazu przemieszczania się przemieszczam się dziesięciokilometrową trasą na rowerze, ścieżką wzdłuż Odry, czuję się nieswojo. Na pewno trasa ta łapie się pod bulwar w rozumieniu premiera i ministra zdrowia. A człowiek jest tak ulepiony, że łatwo popada w paranoję. No bo widząc mnie, jak tak jadę rowerem przez peryferie zadżumionego miasta, niemalże skradam się, niech każdy z Was szczerze w swoim sercu odpowie: co może zawierać sakiew rowerowa z Decathlonu przytroczona do mego bagażnika? Czy może to nie być maść z mózgów i kiszek?

Jeszcze bardziej mi nieswojo, kiedy sobie przypomnę, że zarazę przywlókł wtedy do Opola, jakżeby inaczej, obcy. Było to na wiosnę, jak teraz. Przybysz pozarażał kogo mógł w miejscowej karczmie, po czym skonał. Pomór poszedł taki, że mieszkańcy sąsiednich miejscowości zburzyli pół mostu, żeby się zabezpieczyć od Opola. Kiedy po dwóch latach ustąpił, feralną karczmę zburzono, a na jej miejscu postawiono kaplicę.

Wdzięczność opolan za zabranie morowego powietrza była ogromna, toteż i kaplica dziękczynna wyszła im dość spora. Jej budowę ukończono prawdopodobnie dopiero w 1711 r., tak się wnosi z daty umieszczonej na odlanym wtedy i umieszczonym na wieżyczce dzwonie. Poświęcono świątynkę wszystkim świętym od epidemii, a więc Sebastianowi, Rochowi, Rozalii, Karolowi Boromeuszowi i Franciszkowi Ksaweremu. Dziś jest to po prostu kościół Sebastiana przytłoczony przez napierające nań z boku kamienice. Lubię go nie tylko ze względu na dzwon, ale też dlatego, że w czasach pruskich i niemieckich kazano w nim po polsku, a w czasach polskich, czyli obecnie, odprawia się nabożeństwa w języku niemieckim.

W Groszowicach nie ma już ani boru, ani „podbornego” cmentarza ofiar siedemnastowiecznej epidemii. Jest za to uliczka Podborna prowadząca donikąd, bo dalej już tylko Odra, i domy zbudowane także na terenie dawnego cmentarza. Przy jednym z nich stoi kapliczka św. Rocha, postawiona pod koniec XIX w., podobno na miejscu kapliczki poprzedniej, jeszcze z czasów zarazy pochodzącej.

Stoi sobie po prostu w przydomowym ogródku, na prywatnej działce, której właścicielka życzliwie się odnosi do nieznanego nachodźcy, pozwala oglądać i fotografować. Św. Roch za przeszkleniem dziarsko maszeruje z kosturem w dłoni, jest jeszcze młody i nie ma na razie psa. Dopiero w przyszłości zarazi się dżumą, pomagając chorym, i będzie musiał uciekać do lasu, gdzie uratuje go zdziczałe psisko, przynosząc mu jedzenie. Złapią go i umrze w więzieniu, ale przedtem zdoła, podrabiając pismo anioła, wyryć paznokciem na ścianie celi nieskromną inskrypcję, iż tu oto leży *santo subito*, święty od zaraz Roch od zaraz.

© JACEK PODSIADŁO

STANISŁAW

Mancewicz:
O dwu dobach

Z DOŚWIADCZENIA OSTATNICH LAT WYNIKA, że cisza wyborcza to jedyna prawdziwa chwila, w której można powiedzieć, że człowiek żyje normalnie i w jako tako normalnym kraju. Można, zdaje się, leżeć do góry brzuchem i wyłączyć całą aparaturę wczesnego ostrzegania przed atakiem, które to urządzenia każdy tu chyba na swoją miarę skonstruował i sobie w głowie zainstalował. Tryb przypuszczający bierze się z pory pisania tych zdań – był to przedwyborczy piątek. No więc przez dwa nadchodzące dni ogólnokrajowe przepisy teoretycznie gwarantowały, że żaden członek rządu, parlamentu, żaden urzędnik, takoż też chyba żaden pracownik propagandy, policji – nikt z nich człowieka wolno sobie chodzącego po ulicy nie mógł wyzywać, plwać nań, kopać ani lać pałą za byle co. I to jest zdaje się wszystko (jeżeli to aktualne), czym może się nasze państwo pochwalić, jeśli idzie o stwarzanie obywatelowi minimum komfortu życiowego. Dwie doby ciszy, spokoju i ulgi. Niby mało, ale jakże dużo. Każdy, kto ma skórę troszkę cieńszą, wie, jak to wiele.

Zważyć należy, że są to jedyne dwa dni, gdy w całym kraju obowiązuje rodzaj wymuszonej miłości bliźniego i nakaz przestrzegania jeszcze kilku boskich przykazań, bynajmniej nie tylko tych mniej ważnych. To jedyne dni w ciągu roku, pod warunkiem że się dobrze i zgrabnie ułoży kalendarz wyborczy. Najczęściej jednak te wakacje od chamstwa i przemocy zdarzają się przecież znacznie rzadziej. Oto Polska staje się w tych miłych dniach krajem ogromnie i podręcznikowo tolerancyjnym. Wyjętym z XIX-wiecznego oleodruku dla dzieci po prostu. No więc ta garść spostrzeżeń, słabych, ale jednak wyraźnych sygnałów, wywołuje w nas natychmiastowe potrzeby biznesowe i pomysły monetyzujące.

Z ciszy wyborczej w Polsce – tak się wydaje – można by zrobić atrakcję turystyczną dla cudzoziemców ogromnie zamożnych, złaknionych oryginalnego safari, ciekawych najrzadszych zjawisk zarówno w przyrodzie ożywionej, jak i nieożywionej. Płacących natychmiast, bez namysłu – przelewem, kartą albo gotówką. Za usługi i realizacje najdziwaczniejszych kaprysów, za pokazywanie im najniesłychańszych krajobrazów i podawanie im do kosztowania kęsów z najwyszukańszej kuchni. Mamy tu na myśli na razie wyłącznie Ziemian. Naturalnie są tacy na naszej planecie, którzy nie uwierzą w naszą ofertę, ale żyjmy nadzieją, że ktoś, komu ufają, ich przekona. Jedźcie – powie im – to są po prostu jaja nieprawdopodobne, ta Polska. To warte każdych pieniędzy. I pojadą. I dobrze. Ale czemu – pytamy teraz – coś tak szalenie rzadkiego zamykać przed innymi wrażliwościami i rozumami, poza ciszą wyborczą w Polsce słusznie lękającymi się uprawiania tu bez ochroniarzy i przewodnictwa turystyki przyjazdowej klasy premium?

Oto można by wreszcie i bez obaw, na te dwa dni akurat, sprowadzać wycieczki istot, dajmy na to, z Syriusza. Jak widać, już sama nazwa tej gwiazdy – jak by zapewne powiedział najbardziej umiarkowany i inteligentny dziennikarz telewizji publicznej – pozostawia wiele do życzenia. No więc można by. Bez lęku, że ich niebieska skóra i czarne oczy, bądź na odwrót, staną się szokującą sensacją miejscowej telewizji bądź żerem dla tutejszych działaczy politycznych szczebla lokalnego oraz, rzecz jasna, centralnego. Można by sprowadzić tu na ten ciszy czas i Marsjan, których nosy są poza kanonem tutejszego piękna, albo ze dwa autobusy istot z Merkurego, gdzie dzietność reguluje się sama, dajmy na to na poziomie nie do ogarnięcia przez tutejszych ministrów edukacji bez edukacji.

Widać z tego, co powyżej, że owe dwa dni, które z perspektywy zeszłego piątku mogą się powtórzyć za niecałe dwa tygodnie, można spędzić miło. Milej niż inne weekendy. Na marzeniach i snuciu biznesowych pomysłów. Oczywiście, nie wolno zapominać, gdzie mieszkamy, że to tylko dwa dni, to chwilka, że poniedziałki są zawsze straszne. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

Jest Was prawie 8 tysięcy – dziękujemy!

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie ośmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów?

Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom.

„Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	**69 zł**	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI
TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

WSPÓLNIE PRZYSPIESZAMY BIEG RZECZY

+48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

INTERNET SYMETRYCZNY
TRANSMISJA DANYCH
KOLOKACJA
CLOUD COMPUTING
HOSTING
USŁUGI GŁOSOWE
OUTSOURCING IT
KONSULTING